KAMIL GIŻYCKI

Przez Urianchaj i Mongolię
Wspomnienia z lat 1920-1921

Przez Vrianchaj i Mongolię

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/isbn_9788375650167

KAMIL GIŻYCKI

Przez Urianchaj i Mongolię
Wspomnienia z lat 1920-1921

Łomianki

Kamil Giżycki
Przez Urianchaj i Mongolię
Wspomnienia 1920–1921

Redakcja Katarzyna Wasylik
Przedmowa Jerzy Tulisow
Skład komputerowy Dominik Jastrzębski
Projekt okładki Mikołaj Jastrzębski
W projekcie okładki wykorzystano zdjęcie współczesnej Mongolii autorstwa Jerzego Tulisowa

© Copyright by spadkobiercy Kamila Giżyckiego

© Copyright for this edition Wydawnictwo LTW

Niniejsza edycja na podstawie wydania pierwszego:
Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oraz Domu Książki Polskiej, Warszawa–Lwów 1929

ISBN 978-83-7565-016-7

Wydawnictwo LTW
ul. Sawickiej 9, Dziekanów Leśny
05-092 Łomianki
tel./faks (022) 751-25-18
www.ltw.com.pl
e-mail: wyd@ltw.com.pl

PRZEDMOWA

W rewolucji i wynikłej z niej wojnie domowej w Rosji wzięli udział liczni Polacy, zarówno ci „miejscowi", z zaboru rosyjskiego, jak i ci, którzy znaleźli się na Wschodzie w latach I wojny światowej jako jeńcy, głównie w austriackich mundurach. Niektórzy po powrocie z tułaczki chwycili za pióro, by opisać swoje przygody. Był wśród nich Kamil Giżycki.

Urodził się 19 sierpnia 1893 r. na Podhalu w rodzinie ziemiańskiej. Już w dzieciństwie zdradzał pociąg do przygód: mając zaledwie sześć lat, zaliczył trzydniową robinsonadę w pobliskim lesie, a w pięć lat później uciekł do... Marsylii z zamiarem zamustrowania się na jakiś statek. Te ambitne plany rozbiły się jednak o mur niezrozumienia starszych i kilka następnych lat niedoszły żeglarz spędził przykładnie w ławie szkolnej. Po ukończeniu gimnazjum wyjechał do Niemiec studiować tajniki budowy maszyn. W 1914 r. został zmobilizowany do armii i skierowany na front wschodni, gdzie niebawem dostał się do niewoli. Nie przebywał w niej zresztą długo: wkrótce, z błogosławieństwem Ententy, w Rosji powstał złożony z jeńców Korpus Czechosłowacki. Nasz Galicjanin wstąpił do niego, a gdy z Korpusu wyodrębniła się Polska Dywizja Syberyjska, znalazł się w jej szeregach. I tak zaczęła się jego wschodnia przygoda. Brał udział w walkach z czerwonymi, przeżył rozbrojenie dywizji i swoje dwukrotne aresztowanie, przedarł się przez Sajany do Urianchaju, czyli dzisiejszej Tuwy. Tu doszły go wieści o wybuchu wojny polsko-bolszewickiej. Nie chcąc w takiej chwili pozostawać bezczynnym, związał się z miejscowymi białymi i wydał swoją własną wojnę Kremlowi. Ale *nec Hercules contra plures*: wobec liczebnej przewagi czerwonej partyzantki i niechęci stacjonujących w Urianchaju Chińczyków K. Giżycki był zmuszony szukać schronienia w Mongolii. Ku swemu rozczarowaniu ani tam, ani w pobliskiej Dżungarii nie znalazł białych zdolnych do kontynuowania walki. Ale w końcu los zetknął go z baronem Ungernem.

Był to już rok 1921. Po spektakularnym wypędzeniu Chińczyków ze stolicy Mongolii „krwawy baron" szykował się do wznowienia wojny z wszechwładnymi na Syberii bolszewikami. Polski inżynier spadał mu jak z nieba. Ungern powierzył mu produkcję trujących gazów (według recepty innego Polaka, Ferdynanda Ossendowskiego) i środków wybuchowych, zwłaszcza tak przydatnych na polu walki granatów. Dla mającej kłopoty z zaopatrzeniem dywizji barona było to wielką pomocą, lecz nie mogło dać jej zwycięstwa. Jej wyprawa zabajkalska okazała się fiaskiem, czego skutkiem był bunt i wydanie wodza w ręce czerwonych. Resztki oddziału ungernowców uszły przez stepy do chińskiej Mandżurii. Był wśród nich i Giżycki. Przez jakiś czas był instruktorem w armii „war lorda" Czang Tso-lina, a potem etapami, zdobywając pracą środki na podróż, powrócił do Polski.

Inny po takiej porcji przygód osiadłby na resztę życia w domu, ale nie Giżycki. W następnych latach widzimy go w roli podróżnika, pracownika konsulatu, plantatora w Afryce, łowcy dzikich zwierząt i pisarza – autora poczytnych reportaży i wspomnień. Po wojnie, w której brał udział jako żołnierz AK, mieszkał na Śląsku i poświęcał się pracy pisarskiej. Pisał powieści, opowiadania, słuchowiska. Zmarł we Wrocławiu w 1968 r.

Swoje przygody w sercu Azji K. Giżycki opisał w książce *Przez Urianchaj i Mongolię*. Być może przykład dał mu Ossendowski, który przebywał na Wschodzie w tym samym co on czasie, a potem wydał bestseller *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*. Obaj autorzy należeli do otoczenia Ungerna i byli nim zafascynowani, z tym że Ossendowski swą relację ubarwił zmyśleniami, zaś Giżycki trzymał się faktów. Ja – a jestem mongolistą – przypominam sobie tylko dwa przypadki, gdy Giżycki świadomie mija się z prawdą. Raz w rozdziale siódmym, gdzie mowa jest o gusłach sojockiego szamana[a], i raz w rozdziale dziewiętnastym zawierającym wtręt o Karakorum, mętny, wręcz bałamutny[b]. Opis szamańskich cudów można by tłumaczyć stanem pisarza – był wówczas chory – ale w drugim wypadku

[a] w tym wydaniu s. 45–46
[b] s. 113–114

nic go nie tłumaczy. Prawdopodobnie uznał, że w książce o Mongolii nie może zbraknąć wzmianki o Karakorum, więc ją dodał, choć sam tego miejsca najwyraźniej nie widział.

W czasach, gdy triumfy odnosił Ossendowski, książce Giżyckiego trudno było zdobyć uznanie. Dziś chyba to się zmieniło – mnie w każdym razie Ossendowski trochę irytuje, a *Przez Urianchaj i Mongolię* zaliczam do ulubionych lektur. Nie ukrywam, że sentyment mój ma podłoże osobiste – podróżowałem po ziemiach opisanych przez Giżyckiego – ale jest to tylko część prawdy. Autor ten jest niewątpliwie utalentowanym pisarzem, mistrzem opisów przyrody i bystrym obserwatorem ludzkich zachowań. Niektóre z podpatrzonych przezeń scenek – wojak w zdobycznym *dessous* czy starzec „ujeżdżany" przez utytułowanego smarkacza[d] – mówią o życiu ówczesnej Mongolii więcej niż niejeden długi elaborat.

Oczywiście książka *Przez Urianchaj i Mongolię* zawiera też pewne usterki. Można je podzielić na dwie grupy. Jedną tworzą drobne błędy rzeczowe, drugą – zniekształcenia faktów historycznych. Pierwsze (np. ser „tarak"[e] – podczas gdy powinno być jogurt) niewarte są wzmianki. Inaczej rzecz się ma z drugimi. Bez ich sprostowania nie sposób pojąć opisanych wydarzeń.

Po pierwsze, trudno zgodzić się z autorem, że to Rosja skłoniła Mongołów do wyzwolenia się spod kurateli Pekinu. Inicjatywa wyszła od książąt mongolskich, a Rosja udzieliła jej jedynie warunkowego poparcia. To przez nią Mongolia, zamiast upragnionej niepodległości, uzyskała tylko autonomię w ramach republiki chińskiej. I jeszcze musiała za to zapłacić utratą praw do Urianchaju zajętego w 1914 r. (nie w 1912 r.) przez sąsiada z północy.

Tłumaczy to tak często przez Giżyckiego podkreślane wpływy chińskie w Mongolii. Szczególnie wzrosły one po 1919 r., gdy Chińczycy, korzystając z kłopotów Rosjan, wprowadzili do tego kraju swoje oddziały. Stąd też wrzenie, którego świadkiem stał się

---

[c] s. 65
[d] s. 117
[e] s. 109

nasz rodak. Powiększała je jeszcze propaganda czerwonych i obecność zbiegłych z Rosji białych.

Stosunek Giżyckiego do rewolucji i bolszewików jest jednoznacznie wrogi. Dostrzega wprawdzie bohaterstwo ideowych komunistów, a jeszcze częściej podłość we własnym obozie, lecz w ogóle bolszewizm jawi mu się jako szaleństwo rozprzestrzeniane terrorem albo przekupstwem. I trudno się temu dziwić, gdy człowiek bierze udział w wojnie, o całe zło świata oskarża stronę przeciwną. Ale można sądzić, że w miarę upływu czasu zapatrywania Giżyckiego ewoluowały. Przecież, gdy dożywał swych dni, było już jasne, że Mongolia pod rządami czerwonych wcale nie zbankrutowała, a odwrotnie, odniosła w wielu dziedzinach znaczne sukcesy. Przyznają to też przedstawiciele młodej mongolskiej demokracji, ich zdaniem rewolucja wręcz uratowała Mongolię.

Pomimo swego szacownego wieku książka Giżyckiego niezbyt się zestarzała – wciąż bawi, poucza i zmusza do myślenia. Inicjatywę jej wznowienia trzeba więc powitać z radością. Pewien problem stanowi tylko pisownia występujących w niej wyrazów obcych, bardzo różna od przyjętej współcześnie. Ponieważ jednak z jej zmianą ubyłoby coś z ducha książki, a balast przypisów pozbawiłby ją lekkości – uznano, że lepiej będzie zachować pisownię oryginału.

dr Jerzy Tulisow
Instytut Orientalistyczny
Uniwersytetu Warszawskiego

Rok 1918 zbiegł mi na walkach z bolszewikami na uralskim froncie w formacjach czeskich.

Na pierwszą wiadomość o sformowaniu się Polskiej Dywizji Syberyjskiej przeniosłem się do niej. Spełniły się dziecinne marzenia, zostałem polskim żołnierzem, walczącym za sprawę swej Ojczyzny.

Nie sądzone mi było jednak zginąć, jak wielu kolegom, na bezbrzeżnych stepach Syberii. Przydzielono mnie do baonu inżynierskiego, i tu w krótkim czasie zostałem kierownikiem warsztatów kompanii technicznej.

Nie będę kreślił ewakuacji 5. Polskiej Dywizji Syberyjskiej z Nowonikołajewska do Klukwiennej – gdyż myślę, że znajdą się ludzie, co tę golgotę naszą opiszą, w świetle faktów i dokumentów, nie kryjąc winy poszczególnych jednostek, która doprowadziły Dywizję do kapitulacji i złożenia broni bolszewikom, małodusznie polegając na obiecankach komisarzy.

Faktem jest, że gdyby pod Krasnojarskiem zbito bolszewików tak, jak to miało miejsce na stacji Tajga, dywizja w całości przeszłaby do Władywostoku, a potem do Polski. Tysiące ochotników polskich przypłaciło kapitulację śmiercią, setki zginęły w torturach więzień bolszewickich, setki zaś legły gdzieś w stepach i tajgach od zdradzieckich kul bolszewickich lub też zmarły z wymęczenia i głodu w drodze do Tej, która była ich myślą przewodnią, do wolnej Polski.

I. W RĘKACH BOLSZEWIKÓW

W kilka dni po złożeniu broni, i wyjeździe delegacji naszej, która miała zawrzeć umowę z wiele obiecującymi bolszewikami, komendant 5. armii sowieckiej dał rozkaz, aby wszystkich oficerów polskich przeniesiono do więzienia, z ochotników zaś dywizji naszej poczęto tworzyć robotnicze drużyny, które miały pracować w tajgach, budować nowe koleje itp.

Zbyt dobrze znałem bolszewików i ich system, aby spokojnie czekać na to, co ze mną zrobią, toteż przy pierwszej nadającej się sposobności dostałem się do Krasnojarska, skąd chciałem wyjechać na północ do Jenisiejska, dokąd czasem przychodzą statki szwedzkie, lub na południe do Minusińska, skąd można było dostać się do Mongolii i Chin.

Ponieważ byłem bez środków do życia, postanowiłem chwilowo szukać pracy i stosunków, które by mi mogły pomóc w wypełnieniu planu.

Wałęsając się po mieście, zauważyłem na jednym domu napis „Inżynieryjne Biuro Pracy". Wszedłem bez namysłu, w nadziei, że może uda mi się tu dostać jakieś zajęcie. Po dłuższej rozmowie z naczelnikiem kancelarii, obiecano mi posadę technika w fabryce narzędzi rolniczych w Tomsku.

Los chciał jednak, że w tym samym czasie w lokalu biura znajdował się komisarz bolszewicki, który poznał we mnie pomocnika komendanta pociągu nr 104. Przyjrzawszy mi się dokładnie, zapytał:

– Pan, zdaje mi się, był w polskiej dywizji, czy tak?

Gdy chciałem mu zaprzeczyć, przerwał mi, mówiąc:

– Znam pana dobrze, gdyż w przebraniu oficera rosyjskiego przychodziłem do waszego eszelonu. Pan był podówczas pomocnikiem komendanta pociągu nr 104 – nazwisko pana – Giżycki.

Na tak stanowcze i wyraźne dowodzenie – zamilkłem. Cóż było robić? Z rozkazu komisarza zostałem aresztowany i umieszczony na „odwachu". Wszakże dzięki znajomości języka węgierskiego

udało mi się zmylić czujność pilnujących mnie Węgrów-bolszewików i uciec. I znowu zacząłem się włóczyć po mieście w poszukiwaniu jakiejkolwiek pracy. Ukrywając się przed bolszewikami, kilkakrotnie omal nie wpadłem w ich ręce. Pewnego razu poszedłem do znajomych z zamiarem przenocowania u nich. Przed udaniem się na spoczynek usłyszeliśmy głośny tupot nóg i stukanie do drzwi. Rewizja! Uciekać było już za późno. Idąc więc za radą najmłodszej przedstawicielki tego domu, schowałem się do ogromnego pieca, z którego przed chwilą właśnie wyjęto chleb. Trudno opisać, co za mękę przeżywałem, siedząc w takim więzieniu. Gorące cegły parzyły mi nogi i ręce, pot zalewał twarz i oczy, a brak powietrza tamował oddech. W dodatku, w każdej chwili byłem narażony na to, że któryś z głodniejszych „towarzyszy" wsunie rękę do pieca i zamiast chleba – wyciągnie stamtąd moją nogę. Nie wiem, jak długo trwała rewizja, bo każda minuta moich męczarni wydawała mi się wiecznością. Na szczęście, wszystko skończyło się pomyślnie Po bezowocnych poszukiwaniach bolszewicy opuścili mieszkanie. Nigdy nie zapomnę tej błogiej chwili, w której dozwolone mi było wyleźć z pieca na Boży świat.

Dzięki przypadkowemu spotkaniu jednego ze znajomych dostałem posadę kierownika fabryki narzędzi rolniczych w Minusińsku.

Bezzwłocznie wyruszyłem w drogę w towarzystwie kilku żołnierzy polskich, którym udało się uciec z drużyn robotniczych. Byli to: Łukasiewicz Tadeusz, Paluch Paweł, Radera i Kotnowski Lucjan. Pięćset wiorst, od Krasnojarska do Minusińska, przeszliśmy piechotą po zamarzniętym Jeniseju, eskortując kilka sań, naładowanych żelazem i narzędziami. W celu uniknięcia podejrzeń – przy każdym zetknięciu się z ludźmi – podawaliśmy się za Niemców.

Minusińsk, mała mieścina nad Jenisejem, jest punktem koncentracyjnym handlu i przemysłu ziemi minusińskiej Urianchaju i okolicznych tajg. Statki rzeczne wywożą stąd miliony pudów zboża, skór, miodu i mięsa. Co wiosnę płyną do Krasnojarska całe flotylle tratew, unosząc wspaniałe, niebotyczne cedry, sosny, świerki i modrzewie. W chwili mego przybycia do Minusińska panował tutaj zupełny zastój w przemyśle i handlu, wywołany ciągłymi walkami białych z partyzanckim oddziałem Szczecinkina.

Fabryka, której kierownikiem miałem zostać, wskutek chaotycznej i nieporządnej gospodarki, przedstawiała kompletną ruinę. Robotnicy byli niekarni, odnosili się do mnie nieufnie i dużo trzeba było pracy, taktu i wytrwałości, żeby całą tę maszynę puścić w ruch i doprowadzić do normalnego stanu. Bezwzględny rygor, jaki zaprowadziłem od chwili objęcia swego stanowiska, początkowo był przedmiotem niezadowolenia wielu robotników. Powoli jednak najbardziej oporni dali się wciągnąć do nowego reżymu. Dzięki wyjątkowo wygodnym warunkom materialnym (pieniędzy na prowadzenie robót dostarczał Związek Banków, pod którego zarządem znajdowała się fabryka) udało mi się przeprowadzić cały szereg zabronionych przez rząd sowiecki operacji handlowych, co bardzo dodatnio wpłynęło na rozwój fabryki. Praca posuwała się naprzód w szybkim tempie.

Niespodziewane rozlokowanie w Minusińsku 27. Dywizji 5. sowieckiej armii wpłynęło ujemnie na bieg życia tego, dotychczas względnie spokojnego miasta. Dla mnie osobiście, jako dla kierownika fabryki, rozpoczął się okres całego szeregu przykrości i nieporozumień, związanych ze stanowiskiem, jakie zajmowałem. Ciągłe obstalunki bolszewików, za które nie płacili ani grosza, a które musiały być, jako „pilne", wykonywane z niebywałą wprost punktualnością, doprowadziły fabrykę do ruiny, mnie zaś – do ostatecznego stopnia zdenerwowania.

Zdarzyło się nawet, że gdy pewnego razu odmówiłem przyjęcia obstalunku, tłumacząc się tym, że nie mogę go wykonać bez zezwolenia władzy wyższej, rycerski przedstawiciel bolszewickiej armii wyciągnął zza pasa rewolwer i przyłożywszy mi go do skroni, krzyknął:

– Kontrrewolucjonisto! Zabiję na miejscu!

Gdyby nie czynna interwencja moich robotników, którzy nieoczekiwanie dla mnie samego wyrwali dzielnemu „obrońcy proletariatu rewolwer i zaprowadzili go do „Rewolucyjnego Trybunału", cała ta sprawa mogłaby wziąć wielce niepomyślny dla mnie obrót. Pomimo przychylnego stanowiska, jakie zajęli wobec mnie robotnicy i władze fabryczne, byłem dwa razy aresztowany przez bolszewików na podstawie zarzutu spekulacji i dwa razy wypuszczono mnie z Czeki za poręczeniem komitetu fa-

brycznego. Lecz w tych warunkach pracować nadal było niepodobieństwem.

Zacząłem robić starania w celu przeniesienia się do innej miejscowości, ale zarówno dyrekcja, jak i robotnicy nie chcieli o tym słyszeć. Zdarzyło się jednakże coś, co mnie zmusiło do ucieczki. Pewnego dnia zjawił się w fabryce komisarz 27. Dywizji bolszewickiej, który poznał we mnie kontrrewolucjonistę. Na próżno starałem się w niego wmówić, że nie jestem tym, za kogo mnie bierze. Żegnając się ze mną, komisarz zapowiedział, że wkrótce zjawi się znowu dla dokładnego wyświetlenia tej całej sprawy.

Natychmiast zawiadomiłem o grożącym mi niebezpieczeństwie dyrekcję, prosząc o bezzwłoczne przeniesienie mnie lub zwolnienie z obowiązków. Tegoż samego dnia wysłano mię o 70 km na południe do wsi Jermakowskaja, dokąd przyjechał też za mną Łukasiewicz. Wkrótce jednak po przybyciu do Jermakowskiej zostałem aresztowany i odstawiony do Czeki.

II. WIĘZIENIE I UCIECZKA

Teraz zaczął się dla mnie jeden z najcięższych okresów mego życia.

Przeraźliwy brud i fetor panujący w więzieniach bolszewickich, conocne śledztwa, wykluczające możliwość snu i odpoczynku i doprowadzające system nerwowy więźniów do ostatecznego rozprężenia, presje, wywierane przez bolszewików w celu wydostania od więźniów potrzebnych im zeznań – wszystko to składało się na całość, zabójczą dla ciała i ducha nieszczęsnych ofiar bolszewickiego systemu.

Śledztwa nieomal wyłącznie odbywały się w nocy, co bardziej jeszcze potęgowało grozę sytuacji.

Odbywały się zaś one w następujący sposób. Wywołanego więźnia pod eskortą dwóch czekistów wprowadzano do sali śledczej. Okna sali zasłonięte ciemnymi portierami. Na środku pokoju, przy długim stole zarzuconym papierami, siedzieli prezes sądu, sekretarz i maszynistka. Dookoła – na krzesłach, półkach i oknach niezliczona ilość rewolwerów i porozrzucanych naboi. Ściany obwieszone karykaturami katowanych „burżujów", generałów i du-

chowieństwa. Na środkowej ścianie – ogromna czerwona płachta, z napisem: *Da zdrawstwujet rewolucja i proletariat,* niżej nieco portrety Lenina i Trockiego, przy drzwiach żołnierz uzbrojony w karabin, szablę, rewolwer i kilka ręcznych granatów. Obok więźnia stoją czeluści z gotowymi do strzału rewolwerami. Półmrok panujący na sali z powodu słabego oświetlenia, ponure twarze sędziów – wszystko to razem sprawia wrażenie inkwizycji.

Nagle z hałasem otwierają się drzwi i wchodzi sędzia śledczy. Jest to 18-letni młodzieniec o charakterystycznych, niearyjskich rysach twarzy. Wita się wesoło i lekceważąco ze wszystkimi obecnymi, maszynistce posyła od ust całusa i wreszcie siada przy stole, na fotelu, niedbale zakładając nogę na nogę. Po małej chwili wyjmuje z kieszeni rewolwer, kładzie go przed sobą na stole i zaczyna opowiadać cyniczne anegdoty, którym wtóruje śmiech i piski szczypanej maszynistki. Po wyczerpaniu się repertuaru – sędzia spogląda wreszcie na zegarek (zawsze złoty i zawsze zrabowany) i mówi:

– *Nu naczinajem* (No, zaczynamy).

Następują stereotypowe pytania:

– Imię i nazwisko? Skąd? Rodzaj zajęcia? Ile lat? Za co aresztowany?

Dalszy szereg pytań nosi charakter bardziej indywidualny, uzależniony od osoby więźnia. Treść jednak dotyczy zwykle szczegółów życia oskarżonego, a przede wszystkim – okresu rewolucji. Gdzie był w roku 1917/1918 i 1919, co robił w czasie pierwszej rewolucji? W jakiej randze i w jakich wojskach służył? Czy był w „oddziałach karnych"? Czy wieszał i rozstrzeliwał krasnoarmiejców?

Pytania padają jedne po drugich z błyskawiczną szybkością i należy niezmiernie uważać na siebie i dobrze pamiętać, co się mówiło na poprzednim śledztwie, by nie poplątać się w zeznaniach. Albowiem podczas każdego badania sekretarz spisuje protokół. Bardzo często sędzia, rozłoszczony chłodną postawą więźnia lub niewyczerpującymi odpowiedziami, zrywa się z krzesła, chwyta rewolwer i mierząc w oskarżonego, woła:

– Kłamiesz! Tyś wróg rewolucji! Ja znam ciebie! Służyłeś u Krasilnikowa! Rozstrzeliwałeś szlachetnych obrońców rewolucji!

Potem w przystępie wściekłości z pianą na ustach rzuca rozkaz:

– Na lód łajdaka!

Tortury lodowe polegają na tym, że rozebranego do naga więźnia wrzuca się do lochu napełnionego lodem. Jakie męczarnie przechodzi się tam wówczas – wiedzą tylko ci, którzy osobiście przeszli przez tę gehennę cierpień. Po kilku godzinach trzymania nieszczęsnych ofiar na lodzie, czekiści wyciągają na pół zamarzniętego więźnia, który jest tak bezwładny, że nie może się ubrać o własnych siłach. Zbiry bolszewickie „rozgrzewają" go teraz przy pomocy bicia kolbami lub pochwami szabel, po czym więzień wraca na dalszy ciąg śledztwa, a stamtąd do celi. Współtowarzysze niedoli, których w przyszłości czekają podobne katusze, rozcierają nogi i ciało nieszczęśliwemu, w ten sposób wzajemnie się ratując. Ci wszakże, którzy siedzą pojedynczo, w osobnych celach, po kilkorazowych torturach lodowych tracą władzę w kończynach, nie mogąc chodzić, pełzają na czworakach, wreszcie umierają z wycieńczenia.

Porucznik Raczyński z 5. Dywizji polskiej został w ten sposób zamęczony w Krasnojarsku.

Bywają noce spokojne, bez śledztw. Lecz cisza tych nocy, nie zakłócona żadnym odgłosem z zewnątrz, doprowadzała więźniów do ostatecznego stopnia zdenerwowania. Był to bowiem spokój przed burzą. Nad ranem zwykle rozlegały się ciężkie kroki żołnierzy – otwierały się drzwi cel – i w śmiertelną ciszę więzienia, przerywaną tylko rozpaczliwym biciem serc ludzkich, padały nazwiska. Wywołanych otaczał silny konwojujący patrol i wyprowadzał na stracenie.

Zdarzały się wszakże takie wypadki, kiedy śmierć od kuli była naprawdę wybawieniem. Ileż to nieszczęsnych ofiar bolszewicy zamordowali w sposób tak bestialski, że na samo wspomnienie o tym krew ścina się w żyłach. Zwykle około północy czekiści wyprowadzali pewną liczbę więźniów do głębokiej piwnicy. Przy słabym świetle ledwo tlącej się lampy widać na ścianach sople krwi i ślady mózgów ludzkich, wstrętny zapach zgnilizny tamuje po prostu oddech. Po chwili wchodzi komisarz w towarzystwie kilku drabów z obnażonymi szablami, na których wyraźnie widać zakrzepłą krew i pęczki ludzkich włosów. Komisarz wyjmuje spis nazwisk i spośród obecnych więźniów wywołuje niektórych, po czym ustawia ich w szereg; reszta na boku czeka swojej kolei. Na dany znak – zbiry

rzucają się na bezbronne ofiary i zaczynają je siec. Świst szabel, przeraźliwe krzyki i jęki mordowanych, zagłusza turkot specjalnie w tym celu puszczonego motoru – po chwili wszystko cichnie. Komisarz, zwracając się do oprawców, mówi:

– No, chłopcy, odpocząć, z resztą skończymy później.

Na dany znak, czekiści w pośpiechu, jak gdyby uciekając od miejsca zbrodni, zaczynają tłoczyć się do drzwi, ciągnąc za sobą świeże trupy. I znowu wszystko jest jak dawniej, tylko cierpki zapach krwi, bielejące ślady mózgów ludzkich i czerwone, krzepnące powoli kałuże świadczą, że to nie był sen, lecz straszna, ohydna rzeczywistość. Pozostali więźniowie w śmiertelnej ciszy czekają swojej kolei, a każda taka chwila oczekiwania zdaje się wiecznością. Nagle cichnie stukot motoru, do piwnicy wchodzi komisarz i pod konwojem odprowadza pozostałych przy życiu więźniów do osobnych cel.

Na pożegnanie komisarz zwraca się do swych ofiar z ostrzeżeniem:

– Jeśli nie przyznacie się do swych win, popełnionych przeciwko „świętej rewolucji", to czeka was to samo, czego przed chwilą byliście świadkami.

Ten rodzaj tortury nazywa się w języku bolszewickim „moralnym wpływem".

Ja byłem również oskarżony o zbrodnię popierania kontrrewolucji. Pewnej nocy wywołano mnie i czterech innych więźniów i zakomunikowano, że mamy być przeprowadzeni do więzienia, znajdującego się po drugiej stronie Jeniseju. Pod konwojem patrolu, wśród ciemnej nocy, wyruszyliśmy w drogę. Po dojściu do rzeki – żołnierze kazali nam odczepić łódź, a sami zajęli się kręceniem papierosów. Moment ten zdecydował o dalszym naszym losie. W jednej chwili jak na komendę powaliliśmy patrol i ogłuszywszy żołnierzy kilkoma uderzeniami pięści między oczy, rzuciliśmy się do ucieczki. Ciemna noc ułatwiła nam zadanie. Dopadłszy jakiegoś płotu, przesadziłem go w mgnieniu oka i wsunąłem się do wody, między tratwy, mając głowę na powierzchni rzeki. Z drugiej strony płotu słychać było strzały, gwar bezładnych głosów, hałas i szum wywołany gorączkową bieganiną żołnierzy. Usłyszałem też raport

jednego z krasnoarmiejców, z którego dowiedziałem się, że dwóch moich towarzyszów zdołało uciec, dwóch jednak, niestety, zabito. Przeczekawszy chwilę, wygramoliłem się z wody i skierowałem się w stronę lasu, a stamtąd – do tajgi. Znalazłszy się we wsi Rozjezdżaja, położonej na skraju boru – byłem uratowany. Dzięki przyjaznym stosunkom z licznymi myśliwymi zostałem zaopatrzony w broń i sucharki i odesłany natychmiast w głąb tajgi. Po trzech dniach ukrywania się, otrzymałem przez starego kozaka Grigorija kartkę od Łukasiewicza, z której dowiedziałem się, że Łukasiewicz mieszka jeszcze w Jermakowskiej, ale jest pod nadzorem bolszewickim i ma zamiar razem z Paluchem schronić się do tajgi, by potem wraz ze mną uciekać do Urianchaju, a stamtąd przez Mongolię na wschód.

Dla osobistego omówienia planu ucieczki udałem się nocą do Jermakowskiej. Tutaj dowiedziałem się, że do tajgi wybierają się jeszcze trzej kozacy, tj. bracia W.[1] Andrzej i Siemion, oraz trzeci kozak Miszka – wszyscy świetni myśliwi i przewodnicy. Bracia W. szukali w tajdze schronienia przed mobilizacją, ogłoszoną przez bolszewików przeciw gen. Wranglowi.

Tejże samej nocy, zaopatrzeni w karabiny, wyruszyliśmy w podróż. Po drodze zajechaliśmy do chutoru, gdzie nam dano wierzchowce. Po wczesnym, lecz sutym śniadaniu, oraz zabraniu niektórych potrzebnych przedmiotów, jak narzędzi ciesielskich itp., ruszyliśmy w dalszą drogę. Wczesnym rankiem byliśmy nad brzegiem rzeki Oi, która początek swój bierze w Taskyle, przepływa wszerz tajgę i wpada pod Minusińskiem do Jeniseju. Tutaj spotkaliśmy się z Miszką, który przyprowadził dwa konie, objuczone sucharami i siecią na ryby. Po dokładnym obejrzeniu koni i zapasów karawana nasza uformowała się w ten sposób, że pierwszy szedł Miszka, za nim Łukasiewicz i Paluch – każdy z nich prowadził po dwa konie. Za nimi Siemion wiódł trzy wierzchowce. Ja z Andrzejem, idąc na samym końcu, – tworzyliśmy rodzaj ariergardy. Wszyscy uczestnicy podróży uzbrojeni byli w karabiny, siekiery i noże.

---

[1] Zamiast nazwisk postawione są litery początkowe tych osób, które albo żyją, albo rodziny ich znajdują się w sowieckiej Rosji. Nazwiska zabitych i bolszewików są autentyczne.

III. TAJGA

Tajga Minusińska jest dalszym ciągiem borów ałtajskich tajgi kuźnieckiej i łączy się z nieprzebytymi lasami werchnoangarskimi. Przestrzenie, pokryte lasem liczą setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Część tajgi, zwana minusińską, ma około 300 km szerokości, licząc od Gregoriewki do rzeki Kemczik. Kilka znaczniejszych łańcuchów górskich, zwanych Taskyłami, przecina tajgę. Wśród tych gór mają swe źródliska rzeki: Oja, Toła, Us oraz liczne potoki, które, przepływając między skałami, tworzą wiele wodospadów. Roślinność tajgi zachwyca wspaniałością sosnowych, cedrowych i świerkowych drzew, imponujących po prostu niebotyczną wielkością i olbrzymimi rozmiarami średnicy. Polany i doliny potoków porośnięte są trawą wysokości człowieka oraz krzakami wszelkiego rodzaju jagód: malin, porzeczek i wielu innych. Mieszkając przez kilka miesięcy w tajdze, przekonałem się, jak niezmierne bogactwa kryją się w jej głębinie. Podczas wycieczek na polowanie częstokroć znajdowałem rudę ołowianą, miedź, żelazo, pokłady miki, a także ametysty i rubiny. Złoto znajduje się tu prawie w każdym potoku. Skuszeni bogactwem tajgi Koreańczycy kilkakrotnie wdzierali się do jej wnętrza, lecz zazdrośni tubylcy wymordowali poszukiwaczy „złotego runa".

Tajga ma swe utarte prawa i zwyczaje. Jeden z nich polega na tym, że przy spotkaniu się dwóch nieznajomych sobie ludzi obie strony muszą przede wszystkim odłożyć na bok broń i ręce podnieść do góry, na znak, że są bezbronne. Ten, kto zwyczaju tego nie ma lub nie chce się do niego stosować, narażony jest na pewną śmierć. Zresztą w tajdze zabójstwo człowieka jest równoznaczne z zabiciem wilka lub niedźwiedzia, gdyż nie pociąga za sobą żadnych przykrych konsekwencji. Lecz o ludzi tutaj trudno. W ciągu kilku miesięcy nie spotkałem w głębinach tajgi ani jednej żywej duszy.

Pierwszy okres naszej podróży przez tajgę odbywał się w tempie bardzo przyśpieszonym ze względu na możliwość spotkania się z patrolami bolszewickimi zapuszczającymi się niekiedy w głąb tajgi. Jednym z najcięższych momentów z tego okresu było przejście przez łańcuch górski zwanym Czerwonym Taskyłem. Wspaniały

las, pokrywający zbocza tych gór, był nieomal zniesiony przez orkan, co niezmiernie utrudniało nam przeprawę. Doszedłszy do doliny „Czarnej Rzeczki", zatrzymaliśmy się na dłuższy postój, który, niestety, został zakłócony bliskim sąsiedztwem niedźwiedzi zamieszkujących tę dolinę w niebywałej wprost liczbie.

Na ogół podróż nasza odbywała się bardzo powoli ze względu na trudne do przebycia błota, jak również na niezmierne gąszcze leśne, przez które przedzieraliśmy się z toporami w ręku. Ale wszystkie przykrości naszej dotychczasowej podróży okazały się niczym w porównaniu z straszliwymi trudami, jakie nas czekały przy przejściu przez góry zwane Śnieżnym Taskyłem.

Wchodząc na szczyty tych gór, musieliśmy nasze bagaże, jak również i konie wciągać na arkanach. W ten sam mniej więcej sposób (tj. przy pomocy czegoś w rodzaju windy, bardzo prymitywnej wprawdzie, lecz niezmiernie dobrze i sprawnie działającej) spuszczaliśmy przy zejściu ze szczytów górskich nasz dobytek, tzn. konie i rzeczy. Cała ta przeprawa odbyła się w warunkach poważnie zagrażających naszemu życiu i kosztowała nas wiele czasu i sił. Tym milszy wydał nam się odpoczynek po trudach, w dolinie złotodajnego potoku zwanego Kurumistyj. Po smakowitej kolacji i kąpieli w potoku, z prawdziwą rozkoszą ułożyliśmy się do snu. Niestety – spoczynek nasz nie trwał długo. W połowie nocy zostaliśmy obudzeni groźnymi porykiwaniami niedźwiedzi. Wobec takiego sąsiedztwa trudno było bezpiecznie odpoczywać. Jeden wszakże z niedźwiedzi przypłacił życiem swą śmiałość. Wszedłszy na skałę znajdującą się na wysokości jakichś 100 metrów nad naszymi głowami, wrzucił stamtąd ogromny kamień, który wpadł do potoku. Widząc to, chwyciłem karabin i bez namysłu wystrzeliłem. Niedźwiedź, ryknąwszy przeraźliwie, wspiął się na tylne nogi, lecz w tej samej chwili runął na skałę, trafiony kilkakrotnie z rąk braci W. i Miszki. Był to ogromny okaz, zajmujący swymi rozmiarami nieomal cały występ skalny. Po zdarciu skóry i rozwieszeniu na gałęziach wysokiego cedru mięsa zabitego niedźwiedzia – ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wkrótce, idąc brzegiem Oi, dotarliśmy do miejsca, zwanego Szedakową Jamą, które było kresem pierwszego etapu naszej po-

dróży. Trudno opisać naszą radość, gdy Miszka, pokazując nam malutką lepiankę, przyczepioną na kształt gniazdka jaskółczego do ogromnych skalistych ścian, pokrywających prawy brzeg Oi, objaśnił, że jest to jedna z jego myśliwskich siedzib i że tu przebędziemy kilka tygodni do czasu zorganizowania dalszej podróży do Urianchaju. Po wydaniu dyrektyw co do zakresu pracy każdego z uczestników wyprawy, ja i Miszka – bo nam w udziale przypadła część gospodarcza – udaliśmy się po suszące się mięso zabitego niedawno niedźwiedzia. Wytopiwszy sadło, zlaliśmy je do skórzanych worków i z tą cenną zdobyczą wróciliśmy do chaty.

Kilka pierwszych dni naszego pobytu w dolinie Oi upłynęło na wytężonej pracy około domu, którego budowa okazała się niezbędną, gdyż lepianka Miszki nie mogła pomieścić w sobie kilku ludzi. Po tygodniu dom nasz był już gotów. Wprawdzie nie miał podłogi, dach zaś zrobiony został prowizorycznie z gałęzi, lecz za to na kominie i w piecu płonęły bez przerwy ogromne szczapy drzewa, na ścianach porozwieszaliśmy broń, rogi jelenie i trochę wypchanych ptaków, co nadawało naszemu domostwu pozory mieszkania. Wieczory spędzaliśmy przeważnie na łowieniu ryb, przy pomocy sieci lub tzw. trójzębów. Wypływaliśmy na środek sadzawek na małych tratwach, oświetlonych po obu stronach jasno płonącymi smolnymi szczapami. Każdy z nas trzymał w ręku długi prosty drążek, zakończony ostrym trójzębem. Polowanie polegało na przebiciu ryby wspomnianym narzędziem. Nie było to zbyt trudne, zwłaszcza, że znajdowaliśmy zwykle bardzo dużo chajriuzów (pstrągów), leżących nieruchomo pod wodą. Ja wszakże nie miałem wprawy w rzucaniu trójzębem i zawsze prawie chybiałem celu, gdy tymczasem Miszka przebijał nieszczęsne ryby z zadziwiającą zręcznością.

W kilka dni po skończeniu domu towarzysz nasz Miszka wyjechał z powrotem do wsi po zapasy żywności. Ponieważ surowe mięso było już na ukończeniu, wybraliśmy się z Andrzejem po nową zdobycz. Udało się nam zabić pięknego marała (*Cevus maral ogilby*). Wykroiwszy tylną szynkę i comber, zakopaliśmy resztę w śnieg, leżący na szczycie góry, znacząc to miejsce rogami zabitego samca. Gdy po kilku dniach wróciliśmy tam, chcąc zabrać resztę zdoby-

czy, mięsa już nie było, obok zaś leżały odrzucone rogi. Na śniegu widać było ślady łap niedźwiedzich. Przy pomocy psów udało nam się jednak odnaleźć skradzione zapasy ukryte pod stosem gałęzi o parę wiorst od miejsca, gdzie było uprzednio przez nas zakopane. Niedźwiedzie często w ten sposób rabują myśliwym zdobycz, lecz ponieważ nie jedzą świeżego mięsa, chowają je do czasu, póki się nie zepsuje. Wówczas raczą się nim do syta.

Przebywając przez czas dłuższy w tajdze, miałem sposobność przyjrzeć się dokładnie życiu jej dzikich mieszkańców. Ciemnobrunatne niedźwiedzie są w tajdze zjawiskiem codziennym. Czasami w ciągu jednego dnia można tu spotkać kilka sztuk tych wspaniałych zwierząt. Są one jednak na ogół spokojne i – nie zaczepiane – rzadko atakują ludzi. Straszne przy spotkaniu są tylko matki i ten gatunek niedźwiedzi, który ma na szyi pas białych włosów, coś na kształt kołnierzyka. Niedaleko od naszej siedziby była duża przestrzeń zarosła malinami, ulubionym przysmakiem niedźwiedzi. Często spotykaliśmy tam naszych groźnych sąsiadów siedzących na tylnych łapach i spożywających słodkie jagody. Niejeden z tych misiów życiem przypłacił swoje łakomstwo. Raz rozwścieczony niedźwiedź, rzuciwszy się z nieopisaną złością na dwóch uczestników naszej wyprawy, byłby ich niechybnie rozszarpał na kawałki, gdyby nie przytomność umysłu Andrzeja, który celnym strzałem położył trupem napastnika. Innego znów razu, wyszedłszy z Andrzejem na polowanie, ujrzeliśmy o jakie 100 kroków przed sobą leżącą na niewielkiej polanie ogromną niedźwiedzicę, obok której bawiło się dwoje jej pociech, ciągnąc za uszy większego od siebie, rocznego niedźwiadka, pełniącego w tym gronie jakby rolę opiekuna. Niespodziewany strzał Andrzeja położył kres tej słodkiej idylli. Niedźwiedzica ze strasznym rykiem próbowała się podnieść, lecz ugodzona po raz drugi – padła na ziemię, wydając chrapliwe jęki. Dwa małe niedźwiadki, przerażone tym, co się dzieje, wdrapały się ze zręcznością kotów na wysoką sosnę, zaś starszy ich opiekun zamiast uciekać, ruszył wprost na mnie. Kilkoma strzałami osadziłem go na miejscu, niewiele jednak brakowało, abym się zapoznał z jego pazurami i siłą. Ścięliśmy sosnę, na której skryły się małe niedźwiadki, i związawszy ogłuszone upadkiem zwierzęta, za-

nieśliśmy je do domu. W ten sposób nasze skromne gospodarstwo zostało wzbogacone żywym domowym inwentarzem.

Któregoś dnia odkryłem ślady jeleni, postanowiliśmy więc z Andrzejem zapolować na nie. Ponieważ polana, w której kierunku prowadziły owe ślady, znajdowała się bardzo blisko od rzeki Oi i należało do niej iść cały dzień – wyruszyliśmy przeto z domu wczesnym rankiem, aby wieczorem być już na miejscu. Całą noc przesiedzieliśmy we mchu, a o świcie byliśmy na stanowisku. Po godzinnym oczekiwaniu ujrzeliśmy stado jeleni, złożone z 12 sztuk, które przeszło rzekę i zaczęło się paść na polanie. Zbadawszy kierunek wiatru, począłem ostrożnie posuwać się naprzód. Wybrałem sobie za cel pięknego rogacza i już miałem zamiar doń strzelić, gdy uderzyło mnie dziwne zachowanie się zwierzęcia. Stróżujący jeleń, zamiast oglądać się wokoło, jak to zwykle czyni, czuwając nad bezpieczeństwem całego stada, podnosił co chwila swój ogromny łeb wysoko w górę, jakby szukał czegoś na skałach, położonych na przeciwległym brzegu rzeki. To samo czyniło całe stado. Rzuciwszy okiem w kierunku, który tak zainteresował jelenie, ujrzałem na skale, mającej około 200 m wysokości i tworzącej jakby prostopadłą ścianę przeciwległego brzegu Oi, ogromnego niedźwiedzia, zabawiającego się rzucaniem kamieni i gałęzi na jelenie. Wszystkie jednak wysiłki jego pełzły na niczym, gdyż głazy rzucane ze skały spadały wprost do rzeki. Niedźwiedź, zauważywszy widocznie bezowocność swych starań, stał przez chwilę spokojnie, jakby rozmyślając, co dalej robić, wreszcie znikł wśród skał. Po jakimś czasie pokazał się znowu, pchając przed sobą ogromną kłodę, której grubszy koniec zwisał już nad przepaścią. Praca była widocznie ciężka, nawet na niedźwiedzie siły, bo zwierzę z widocznym trudem popychało drzewo. Nagle kłoda straciła równowagę i przechyliła się, ciągnąc za sobą niedźwiedzia. Przez sekundę widziałem, jak ogromne jego cielsko zawisło w powietrzu, usłyszałem straszny ryk, po czym wszystko z łoskotem runęło w przepaść. Przestraszone jelenie uciekły w popłochu. Podchodząc do miejsca, na którym leżał w rzece wśród kamieni zabity niedźwiedź, spotkałem Andrzeja; był on również świadkiem nieudałego niedźwiedziego „salto-mortale". Przy zdejmowaniu skóry z naszej niespodziewanej

zdobyczy zauważyliśmy, że biedna ofiara własnej nierozwagi miała całkowicie pogruchotane kości.

Większość dnia poświęcaliśmy budowie tak zwanego zaporu na rzece do łowienia ryb. Zapor budowaliśmy w ten sposób, że do przerzuconych przez rzekę pni cedrowych przymocowaliśmy koryto, z którego spuszczone były do dna rzeki, pod łagodnym spadkiem, deski. Nad korytem zrobiliśmy z młodych sosenek i wierzby kratę, tak gęstą, że nie można było przez nią przecisnąć dłoni. Budowa zaporu, bardzo silna, opierała się dobrze ciśnieniu wody, która, podnosząc się na deskach do wysokości koryta, przelewała się przez kratę, pozostawiając na niej ryby. Wystarczało więc wejść do koryta i zbierać gotową zdobycz, której najwięcej zwykle bywa na jesieni, w czasie, kiedy chajriuz spływa z potoków i rzeczek górskich do Jeniseju, a potem do morza.

Poza tym chodziliśmy również robić „zasieki" na kabargę (*Moschus moschiferus war siberica*). Jest to zwierzątko w rodzaju europejskiej gemzy, lecz nieco mniejsze, a sierść ma ciemnobrązową i twardą. Jest niezwykle ostrożne i czujne, zastrzelić je więc – jest rzeczą niezmiernie trudną, Najbardziej poszukiwane są samce, które mają około pępka woreczek z galaretową masą. Masę tę, stanowiącą piżmo, pomieszaną z drobniutkimi grudkami ziemi a następnie wysuszoną, bardzo chętnie kupują za duże pieniądze Chińczycy, na lekarstwa. Ponieważ zabicie kabargi ze strzelby jest rzeczą prawie niemożliwą – myśliwi więc polują na nią, robiąc tzw. zasieki, tj. rodzaj wysokiego płotu, zaopatrzonego w wąskie przejścia, w których zastawia się oka z kręconego włosienia lub sznurka.

Praca nad zasiekami jest bardzo ciężka, gdyż taki zasiek rozciąga się często na przestrzeni kilku, a nawet kilkunastu wiorst, ale opłaca się zawsze, gdyż kabarga, nie mając innej drogi, przeciska się przez przejścia w zasieku i dusi się w okach. Skóry kabargi używa się tylko do nart.

Włócząc się po tajdze, spotkaliśmy i zabiliśmy parę marali. Jest to tzw. szlachetny jeleń, nieco wyższy od zwykłego. Ma długą, łabędzią szyję i nadzwyczaj cenne rogi, używane przez Chińczyków na lekarstwa. Ze skóry marala robią arkany lub też, po specjalnym wygarbowaniu, szyją z niej spodnie i kurtki myśliwskie. Ze skóry,

zdartej z nóg, wyrabiają „unty" tj. miękkie buty, z włosem na zewnątrz, odznaczające się tym, że są bardzo ciepłe. Mięso z marala jest niezmiernie smaczne, zwłaszcza comber.

Kto chce zyskownie spieniężyć rogi marala[2], ten musi zastrzelić go w czerwcu, gdyż w tym miesiącu rogi jego są najbardziej cenne. Ażeby mieć z marali jak najwięcej korzyści, myśliwi chwytają je żywcem. Czynią to w zimie, na wielkich śniegach, w następujący sposób: dwóch lub trzech myśliwych jeżdżących na nartach odszukuje w tajdze ślady maralów. Znalazłszy takie stado, starają się oddzielić od niego jednego marala, którego pędzą na głębokie śniegi. Gonitwa za zwierzęciem trwa kilka lub nieraz kilkanaście godzin i wymaga dużo wytrwałości i zręczności ze strony myśliwych. Maral, uciekając, zapada się co chwila w głębokie zaspy śniegu, co mu utrudnia ucieczkę. Wreszcie, zmęczony pogonią, kładzie się na śniegu, nie mając siły biec dalej. Wówczas myśliwi otaczają swoją ofiarę i przy pomocy arkanów wiążą jeleniowi tylne nogi, po czym kładą go na sanie i odwożą do tzw. maralników. Są to specjalne zagrody, zajmujące po kilka dziesięcin ziemi, pokryte laskiem, przez który przepływa strumień lub rzeczka. Zagrody te są otoczone płotem wysokości 2 sążni.

Schwytane marale karmią sianem. Na wiosnę wyrastają maralom nowe rogi, które podcina się piłką na wysokości 2 palców nad głową. Po kilku dniach rogi odpadają. W ten sposób, nie zabijając marala, ma się co roku ładny dochód. Przed wojną europejską samiec marala kosztował 70 do 100 rubli, samica zaś 50 do 80 rubli. Marale żyją w górach Ałtaju i Sajanu, w całym lesistym Urianchaju, w zachodnio-północnej Mongolii. Podczas parzenia się marali myśliwi wabią samca specjalnie na ten cel robionymi wabikami, udając przy tym głos samicy, w tym okresie jednak samiec jest bardzo niebezpieczny i często bez powodu rzuca się na ludzi.

Pewnego razu byłem świadkiem pojedynku dwóch samców o samicę. Usłyszawszy ryk samicy, udałem się w jej kierunku i wkrótce ujrzałem na polanie łanię oraz prześlicznego sześciolat-

[2] Rogi marala wygotowane w silnym roztworze solnym i wysuszone, noszą w handlu nazwę panły i kupowane są przez Chińczyków na wagę srebra z powodu ich odmładzających własności.

ka samca. Nagle z pobliskiej kniei wybiegł ogromny maral i zatrzymał się na skraju polany. Przez chwilę obydwa samce mierzyły się wzrokiem, wreszcie groźny ryk – niby okrzyk bojowy – rozdarł powietrze i dwaj przeciwnicy ze spuszczonymi głowami rzucili się na siebie, bijąc się, co sił starczy, rogami. Po pewnym czasie zwierzęta przerwały pojedynek, by po chwili rozpocząć go na nowo z większym jeszcze impetem. Po kilku minutach walki starszy samiec przewrócił młodszego, stratował nogami i kilku uderzeniami w głowę dobił go zupełnie, po czym podnosząc wysoko w górę swój łeb, wydał przeciągły, gardłowy ryk, jakby całej tajdze chciał oznajmić swoje zwycięstwo. Następnie podszedł do łani, która przez cały czas trwania walki obojętnie przyglądała się śmiertelnym zapasom rywali. Zwyciężyło prawo silniejszego.

Po dwóch miesiącach, spędzonych na pracy około domu i na polowaniach, zaczęliśmy myśleć o dalszej podróży do Urianchaju. Spędzać zimę w tajdze byłoby daremną stratą czasu, postanowiliśmy więc nie czekać na Miszkę, lecz we trzech, tj. Łukasiewicz, Paluch i ja, ruszyć w górę Oi, a potem po szosie dostać się do Urianchaju i dalej na wschód. Bracia W. udzielili nam odpowiednich wskazówek, do kogo mamy zgłosić się w Turanie, sami zaś postanowili czekać na Miszkę, zapolować w zimie na sobole i wiewiórki, a na wiosnę wyruszyć naszym śladem.

Zaczęliśmy się przygotowywać do drogi. Naprawialiśmy odzież i obuwie, czyściliśmy broń, gromadziliśmy zapasy mięsa, soli, sucharów i wielu rzeczy niezbędnych w tak długiej podróży. Wreszcie, pewnego pięknego poranka po serdecznym pożegnaniu z towarzyszami wyruszyliśmy w podróż.

IV. W DRODZE DO URIANCHAJU

Pierwszych kilka dni upłynęło spokojnie i bez żadnych przygód. Prześliczne brzegi rzeki Oi, która, płynąc wśród olbrzymich głazów i kamieni, tworzyła liczne huczące i pieniące się wodospady, zachwycały mój wzrok i przykuwały uwagę. Surowa piękność tajgi wystąpiła tu w całym swym przepychu. Mała Oja, wpadając do Wielkiej, tworzy przy spływie wodospad mający do 25 m wysokości.

Ogromne kamienie i odłamy skał, spychane przez wody Małej Oi, wpadają do wodospadu i tu, porwane prądem, lecą jak piłki w dół, rozbijając się na drobne kawałki. Z kawałków tych tworzy się jak gdyby wał, o który z wściekłością biją wody Wielkiej i Małej Oi. Jest to widok straszny, lecz porywający swym dzikim pięknem. Dotychczas na szczęście cywilizacja ludzka nie wniosła żadnych innowacji ani ulepszeń w królestwo dziewiczej, przepysznej przyrody tajgi.

W drugim dniu naszej wędrówki spadł śnieg i przykrył grubą warstwą gałęzie cedrów i sosen. Pod wieczór dotarliśmy do szosy, przecinającej tajgę i łączącej Minusińsk, Jermakowską i Gregoriewkę z siołem Usińskoje.

Ze względu na obecność bolszewickiej kawalerii w Gregoriewce i Usińsku nie chcieliśmy za dnia wyjść z tajgi na szosę. Usunęliśmy się więc w głąb lasu, a gdy noc zapadła, ruszyliśmy szosą w dalszą drogę.

Pierwszą poważniejszą przeszkodą w naszej wędrówce był spalony most na Oi. Musieliśmy w bród przechodzić przez wodę, bardzo zimną i sięgającą nam niemal do kolan. Zziębliśmy przy tej przeprawie niemiłosiernie. Doszedłszy do najwyższego punktu szosy, znajdującego się na 126 wiorście, ujrzeliśmy mały domek stacji przejazdowej.

Na widok oświetlonych okien postanowiłem, bez względu na ewentualne niebezpieczeństwo, zajść do wnętrza domostwa, aby wysuszyć ubrania i obuwie. Oddałem karabin Paluchowi, sam zaś, z nabitym rewolwerem w kieszeni, wszedłem do izby. Przy ogniu siedziało kilku sennych chłopów, którzy zaczęli mnie wypytywać, kto jestem i co robię w tajdze sam jeden i bez broni. Zrobiwszy głupią minę, zacząłem się tłumaczyć, że jestem parobkiem z sąsiedniej wsi i służę u jednego z gospodarzy, który jutro również tu przyjedzie.

Pomimo, że akcent mój, ruchy, jak również obdrapany i nieszczęśliwy wygląd zewnętrzny harmonizowały najzupełniej z tym, co opowiadałem o sobie, to jednak spojrzenia moich nocnych towarzyszy mówiły najwyraźniej, że nie wierzą oni jednemu memu słowu. Na dobitek, zapomniawszy zupełnie o miejscowych zwyczajach, wytarłem nos nie palcami, lecz chustką. Po tym fakcie, zdra-

dzającym poniekąd moje *incognito,* zebrani poczęli coś szeptać między sobą. Nie wiem, czym by się to było skończyło, gdyby nie nagłe wtargnięcie do izby jakiegoś chłopa, który krzyknął:

„Zdaje się, że idą biali z karabinami".

Momentalnie cała izba opustoszała. Chłopi skoczyli do koni, a ja cichaczem pobiegłem do tego samego miejsca, gdzie zostawiłem Palucha i Łukasiewicza. Nie zastałem tu jednak żadnego z nich. Począłem więc biec przed siebie na dół, w kierunku równoległym do drogi.

Nagle usłyszałem cichy głos:

„Czy to ty Kamilu?".

Ujrzałem swoich dwóch kompanów uzbrojonych w karabin i siekierę. Dowiedziałem się, że alarm, podniesiony przez chłopa, wywołany został widokiem Łukasiewicza i Palucha, którzy nie zdążyli w porę skryć się do lasu przed przejeżdżającym chłopem.

W ciągu następnych kilku dni wędrówka nasza odbywała się bez poważniejszych przeszkód. Nocami szliśmy szosą, dnie zaś poświęcaliśmy na odpoczynek, kryjąc się w głębi tajgi. Ciągła zmiana okolicznych obrazów urozmaicała podróż. Szosa wiła się, jak wąż, po urwiskach gór, to spadając nagle w doliny potoków, to wznosząc się wysoko ponad poziom tajgi.

Pewnego poranku znaleźliśmy się w dużej osadzie, zaludnionej ongiś przez skazańców. Obecnie osada ta była najzupełniej pusta, gdyż wszyscy jej mieszkańcy, tj. „katorżnicy", uciekli stąd jeszcze w roku 1917. Niejeden z nich zapewne sprawuje obecnie w Rosji sowieckiej wysoką godność państwowego urzędnika. Baraki skazańców robiły wrażenie, jak gdyby dopiero wczoraj zostały opuszczone. Co chwila spotykaliśmy to taczki naładowane ziemią lub kamieniami, to belki, przygotowane do rznięcia. Słowem – widać było, że pracę przerwano tu nagle, nie troszcząc się o losy porzuconej osady. W jednym z baraków znaleźliśmy stos szkieletów ludzkich. Z porozbijanych czaszek domyśliliśmy się, że byli to zapewne strażnicy więźniów, pierwsze ofiary „bezkrwawej rosyjskiej rewolucji". Opuściliśmy obóz z ciężkim sercem. Widok sczerniałych, porąbanych szkieletów nasunął nam smutne refleksje. Pomyśleliśmy, że wszystkie nasze wysiłki w celu dostania się do ukochanej dale-

kiej Ojczyzny – mogą skończyć się taką mogiłą w tajdze.

Przed dojściem do rzeki Us, dopływu Jeniseju, mieliśmy znowu bardzo niemiłe wrażenie. Przechodziliśmy przez spalony las. Smutne to cmentarzysko leśne, pozbawione najmniejszej trawki lub mchu, a straszące wzrok czarnymi szkieletami drzew, ciągnie się na przestrzeni kilkunastu wiorst.

Tej samej nocy, gdyśmy przechodzili przez pogorzelisko, spotkaliśmy przypadkowo kilku dawnych znajomych z fabryki w Minusińsku. Siedzieli wszyscy przy rozpalonym ognisku. Poczęstowano nas kolacją, podczas której, gawędząc, dowiedzieliśmy się różnych nowin. Towarzysze nasi uskarżali się na bezprawia bolszewików, ciągłe areszty, rekwizycje ziarna i bydła. Od nich też dowiedzieliśmy się o wojnie polsko-sowieckiej i o tym, że bolszewicy robią ogromne zapasy mąki i ziarna w Urianchaju. O wojnie chodziły najrozmaitsze pogłoski. Gazety bolszewickie długo i szeroko rozpisywały się o „budzącym się polskim proletariacie" i o spodziewanym rychłym zajęciu Warszawy przez komunistów. Między miejscową ludnością wszakże chodziły słuchy, że bolszewikom marnie się powodzi na polskim froncie.

Jednocześnie z wybuchem wojny z Polską, w tajgach poczęły się tworzyć oddziały partyzanckie, przeciwbolszewickie, które napadały na mniejsze oddziały czerwonych wojsk i wycinały je w pień. Bolszewicy za to bez miłosierdzia mścili się na licznych „białych" uciekinierach, którzy, nie znając dobrze dróg w tajgach, wpadali w ręce „czerwonych" i byli przez nich rozstrzeliwani bez sądu. Dowiedzieliśmy się również, że patrole bolszewickie czuwają po nocach nad bezpieczeństwem okolicy, ale tylko w odległości 5 wiorst od Usińska. Gąszcze tajgi, gdzie jeden człowiek może bezpiecznie bronić się przeciwko kilkunastu, nie zachęcały komunistów do oddalania się od bardziej zaludnionych placówek. Nasi przygodni przyjaciele obdarzyli nas przed rozstaniem chlebem i masłem oraz suszonym mięsem. Wskazali nam również marszrutę, której należało się pilnować, jeżeli nie chcemy wpaść w ręce bolszewików. Wreszcie jeden z chłopów, wymienił nazwisko człowieka, który miał nam wskazać „kozaczą tropinę", czyli ścieżkę omijającą Usińsk tuż przy drugim przewozie przez rzekę Us. Za te rady

i wskazówki podziękowałem im darowaniem karabinu, który teraz mógł dla nas być niebezpiecznym. Idąc gościńcem, zauważyłem na odłamkach skał, poodrywanych dynamitem, paleontologiczne odciski paproci, kwiatów, a nawet ryb.

Charakter tajgi zmienia się tutaj nie do poznania. Stoki gór porośnięte są już nie sosną i cedrem, lecz modrzewiem. Znużeni upałem szliśmy skrajem szosy, kryjąc się w cieniu drzew. Przy pierwszej przeprawie przez rzekę, przewoźnik, wioząc nas łodzią, dopytywał się ciekawie, kim jesteśmy, po co i dokąd jedziemy? Ponieważ jednak uprzedzono nas, że przewodnik ten jest przyjacielem bolszewików – nie wdając się zatem z nim w rozmowę – zbyliśmy go krótką odpowiedzią, że jedziemy do Usińska, gdzie założymy kuźnię i warsztat do naprawy maszyn rolniczych.

O parę kilometrów dalej przebyliśmy rzekę po raz drugi i zanocowawszy wśród skał, ruszyliśmy „kozaczą ścieżką".

Od czasu powstania szosy między Usińskiem i Turanem, tzw. tropiny zatraciły zupełnie swoje znaczenie komunikacyjne, tym bardziej, że jeździć przez nie można było, tylko konno. Toteż wiele tropin zarosło całkowicie, niektóre zaś z nich uczęszczane są jedynie przez myśliwych lub podobnych nam tułaczy. Dla nas ścieżka ta była w danej chwili najbardziej wygodną i bezpieczną drogą ze względu na to, że bolszewicy omijali ją z daleka, na niej bowiem zza jednego kamienia można wystrzelać cały oddział. Na „kozackiej tropinie" zginęło już tak wielu „czerwonych", że wśród bolszewików nazwano ją „ścieżką śmierci". Pomimo wszakże względnego bezpieczeństwa, wędrówka nasza i tutaj nie obyła się bez przygód. Pierwszego dnia zbłądziliśmy, co z powodu braku zapasów żywnościowych (których pozbyliśmy się szybko, licząc na bliską odległość Turanu), stwarzało sytuację nie do pozazdroszczenia. Zmęczony, zły i głodny położyłem się spać niedaleko od ogniska, rozpalonego przez Palucha. Na szczęście jednak Opatrzność czuwała nad nami. Podczas mojego snu Paluch i Łukasiewicz znaleźli w pobliskim potoku kawały mięsa, ukryte w wodzie wśród kamieni.

Myśliwi w tajgach syberyjskich, polując po kilka tygodni, chronią w ten sposób mięso od zepsucia lub pożarcia go przez wilki czy niedźwiedzie. Zwyczaj, utarty między myśliwymi, nie pozwala za-

bierać schowanych w wodzie zapasów żywności. Nas jednak, włóczęgów, zwyczaj ten nie obowiązywał, zresztą głód okazał się silniejszym ponad wszelkie rozumowania i refleksje.

Następnej nocy znowu zgubiliśmy drogę. Chcąc się zorientować w sytuacji, trzeba było czekać do rana. Noc tę spędziliśmy przy rozpalonym ognisku, w sąsiedztwie wilków, których straszne wycie dochodziło do nas z bardzo niedalekiej odległości. Na drugi dzień po owej nocy spotkaliśmy starego myśliwego, od którego dowiedzieliśmy się, że miejsce naszego ostatniego noclegu jest wilczą osadą, składającą się z kilkuset wilczych rodzin, i żaden z myśliwych, znających tutejszą miejscowość, nigdy by tam nie przenocował. Ten sam myśliwy wskazał nam kierunek dalszej naszej drogi. Radził ominąć Turan, gdzie znajdowali się czerwoni partyzanci, dał nam natomiast adres pewnej Kozaczki na Terłyku, której męża zabili bolszewicy.

Idąc we wskazanym kierunku, doszliśmy do tzw. sojockiego obo. Jest to stos kamieni lub gałęzi, ułożony na samym szczycie góry, przez którą przechodzi droga. Każdy Sojot[3] lub Mongoł, przejeżdżając koło obo dorzuca do stosu kamień, gałąź lub przywiązuje szmatkę albo sierść końską, dziękując w ten sposób duchowi gór za szczęśliwie przebytą część drogi. Zwyczaju tego trzymają się wszyscy tubylcy z obawy, by nie narazić się na prześladowanie demonów i duchów. Stanęliśmy więc już na progu Urianchaju, który był pierwszym ważniejszym etapem naszej podróży. Do Turanu pozostawało 60 wiorst.

Przed nami rozpościerał się ogromny step, na widnokręgu zaś rysowała się ciemna linia lasu. Po stronie południowej wznosił się tzw. Turański Grzbiet, stanowiący podnóże Gór Sajańskich[4]. Droga przez step była niebezpieczna i męcząca ze względu na upał, szliśmy więc skrajem lasu. Gorąco dokuczało nam szalenie, a nigdzie nie natrafiliśmy na ślady wody. Dopiero pod wieczór znaleźliśmy błogosławione źródło, które zaspokoiło nasze pragnienie. Po całodziennej podróży dotarliśmy wieczorem na terytorium Urianchaju.

---

[3] Sojoci – mieszkańcy Urianchaju.

[4] Góry Sajańskie oddzielają kraj urianchajski od Syberii.

V. URIANCHAJ – PIERWSZE WALKI Z BOLSZEWIKAMI

Urianchaj – jest to ogromna kotlina rzeki Jenisej; północną jej granicę stanowią Góry Sajańskie, południową – góry Tannu-Oła i rzeka Teś, zachodnią tworzy Ałtaj, wschodnią zaś jezioro Kosogoł.

Urianchaj bogactwem swym i żyznością przypomina Ziemię Obiecaną. Na ogromnych stepach, pokrytych soczystą trawą, pasą się tysiączne stada owiec i koni. Niezwykle żyzna ziemia rodzi prześliczną pszenicę, owies i proso. Rzeki dostarczają mnóstwa ryb. Lasy pełne są wspanialej zwierzyny, bardzo rzadkiej i cennej ze względu na swoje futra. Na błotach i wodach aż czerni się od ptactwa. Z minerałów Urianchaj posiada wszystko, co tylko przyroda dać może. W potokach górskich jest złoto. Prócz tego Urianchaj obfituje w rudy srebrno-ołowiane, żelazo, miedź, węgiel kamienny, siarkę, sól kamienną, znajdują tu również platynę, rubiny, ametysty, topazy i kryształ górski.

Panami tej ziemi są ludzie plemienia mongolskiego, nazywający siebie Sojotami. W rzeczywistości jednak tylko niewielka garstka prawdziwych Sojotów mieszka w widłach rzeki Sejbi, zajmując się hodowlą jeleni. Plemię to nazywa siebie Chajdut. Obecni mieszkańcy Urianchaju, którzy przyswoili sobie nazwę Sojotów, są przybyszami z południa, prawdopodobnie z Dżungarii, sprzed 400 lat.

Oryginalną i najbardziej cenną monetą w Urianchaju są cegiełki herbaty liściastej, tzw. czaje, za które można wszystkiego dostać. Pieniądze papierowe nie są tu przyjmowane, za to srebro sztabowe jest w cenie.

Urianchaj podzielony jest od dawna na 5 choszunów[5]: Kemczik, Ojnar, Saldżak, Todżyn, Chasut, pozostających pod władzą dziedzicznych książąt; na czele całego kraju stoi też dziedziczny da-nojon (widżi-nojon). Zachodni choszun – Kemczicki, północny – Ujucki, wschodni – na rzece Chuakem i dwa po lewym brzegu Jeniseju[6]. Gubernatorami Urianchaju, czyli nojonami, są przeważnie książęta sojoccy, którzy od 1912 roku do czasu rewolucji

[5] Jednostka administracyjna (księstwo).

[6] Rzeka Jenisej w górnym biegu nazywa się Szyszkit, potem Chuakem, dopiero od Białocarska ma ogólnie przyjętą nazwę Jenisej.

byli pod protektoratem Rosji. W 1917 roku łakomy ten kąsek ziemi zajęli Chińczycy, Sojotów jest około 50000, z tej liczby tylko Sojoci kemcziccy są odważni i bitni – reszta jest spokojna i tchórzliwa. Od dawna zaczęli przedostawać się tu koloniści rosyjscy, którzy pobudowali w Urianchaju wiele wsi i chutorów. Głównym punktem administracyjnym było miasto Białocarsk (obecnie Krasnyj Gorod). Lecz rewolucja rosyjska wycisnęła i na Urianchaju piętno ogólnego zniszczenia. Ustał handel pszenicą i marałami. Ludność obciążona podatkami zbiedniała bardzo. Do zniszczenia Urianchaju przyczyniła się też wojna partyzancka, prowadzona w latach 1918–1919 przez bolszewika Szczetinkina z pułkiem Kozaków pod wodzą płk. Bułatowa.

We wsi rosyjskiej Turanie, stosownie do wskazówek otrzymanych od braci W., chcieliśmy się porozumieć z Piętką cyganem, lecz żona jego nie przyjęła nas, tłumacząc się tym, że męża nie ma w domu. Niespodziewanie jednak żona jednego z kolonistów rosyjskich przenocowała nas u siebie, nakarmiła i zaopiekowała się nami w sposób niezmiernie serdeczny. Dzięki niej zapoznaliśmy się z pewnym kolonistą, który, jak się okazało z rozmowy, słyszał o mnie wiele od płk. Jachontowa, mego serdecznego przyjaciela z frontu uralskiego, następnie współtowarzysza niedoli z więzienia w Czeka. Jachontow znajdował się obecnie w partyzanckim oddziale porucznika Zanina na Abakanie. Dzięki pomocy wspomnianego kolonisty, dostaliśmy się do wsi Bajan-goł, położonej nad rzeką tej samej nazwy. We wsi tej formował się partyzancki oddział kozacki, mający na celu niepokojenie bolszewików na terenie Urianchaju. Dowódcą tego oddziału był sierżant Andrejew, który, dowiedziawszy się o mojej znajomości z płk. Jachontowem, okazał nam wiele zaufania i serdeczności. Przez pierwsze kilka dni odpoczywaliśmy po trudach podróży, śpiąc, jedząc i nic nie robiąc. Praca wszakże nad formowaniem oddziału nie ustawała. Codziennie przybywało po kilku ochotników, rekrutujących się z Kozaków lub kolonistów uriachajskich. Razu pewnego przyjechało od porucznika Zanina kilku oficerów, między którymi byli też pułkownicy Jachontow i Czemagin. Zwołano naradę wojenną, na której zdecydowano wystąpić zbrojnie przeciw bolszewikom. Oddział por. Za-

nina miał działać na terytorium od Anu po Kemczik. Oddział zaś bajangolski, tj. nasz, na terytorium Urianchaju, włączając w nie Sioło Usińskie oraz szosę w tajdze.

Zaproponowane mi dowództwo plutonu kozackiego przyjąłem chętnie, gdyż to pozwalało mi niepokoić tyły wroga walczącego w tym samym czasie nad brzegami Wisły.

Ponieważ nie mieliśmy karabinów, kazałem łapać kurierów bolszewickich i odbierać im broń. Po miesiącu oddział nasz składał się 45 ludzi zaopatrzonych w konie i karabiny. Sojoci pełnili u nas służbę wywiadowczą. Kilkakrotnie przyjeżdżał do nas Sojot Bołdyr Helin. Był to duchowny, który rzucił klasztor, ożenił się, osiadł w stepie, gdzie zajmował się handlem końmi i wielbłądami. Za dobrą zapłatą w srebrze lub futrach przeprowadzał uciekinierów do Mongolii, często jednak robił to bezinteresownie z nienawiści do bolszewików. Był to człowiek skryty, poważny i dość rozsądny. Przyjeżdżał do nas, by w sposób dyplomatyczny dowiedzieć się o zamiarach i poczynaniach naszego oddziału. Pewnego razu oznajmił nam, że gubernator kemczicki Chun-nojon interesuje się bardzo naszą działalnością i wkrótce ma zamiar odwiedzić nas ze swoją świtą.

Aby godnie przyjąć tak zacnych gości, zabiliśmy barana i przyrządziliśmy ucztę, mogącą zaspokoić nie tylko sojockie, lecz i najbardziej wybredne podniebienie Europejczyków. Kupcy chińscy zaopatrzyli nas w dużą ilość słodkich przysmaków, placków, ciastek oraz wódek i likierów.

Wizyta Chun-nojona i jego świty odbyła się z zachowaniem wszystkich przepisów miejscowego ceremoniału. Pierwszym wysłannikiem i zwiastunem gości był Sojot, który wszedłszy do pokoju, oznajmił że „Wielki i wspaniały nojon, wybraniec Buddy, szczęśliwość i ozdoba Urianchaju" itd. itd. raczy zajechać „do swego brata nojona" (tu nastąpił pokłon w moją stronę). Wyszedłszy, jak zwyczaj każe, przed wrota, ujrzeliśmy nadjeżdżających 10 Sojotów, którzy zeskoczyli z koni, rozesłali dywaniki i zdjąwszy z pleców karabiny – ustawili się w dwa szeregi. Po chwili nadjechała grupa dygnitarzy, a między nimi Chun-nojon. Był to szczupły wysoki Sojot, w średnim wieku, o twarzy czysto mongolskiej, wyrażającej dumę

i pewność siebie. Ubrany był w biały jedwabny terłyk[7] przepasany czerwonym pasem, za którym na plecach tkwił nóż w srebrnej pochwie. Na głowie miał wysoką spiczastą czapkę mongolską, zakończoną ogromnym, czerwonym koralem – znak książęcej godności. Chun-nojon lekko zeskoczył z konia, trzymanego przez Sojotów i przemówił kilka zdań w niezrozumiałym dla mnie dialekcie. Wówczas wystąpił Bołdyr Helin i wskazał ręką na mnie, porucznika Mieńszczykowa i sierżanta Andrejewa. Nojot przywitał się z nami po europejsku, podając rękę, po czym wszyscy razem, nie wyłączając żołnierzy, udaliśmy się do pokoju. Po nieodzownym wypaleniu fajek – nawiązała się rozmowa, w której nasz dostojny gość chciał wybadać nasze zamiary i projekty na przyszłość. Upewniwszy się wszakże, że walczymy tylko z bolszewikami i że stadom sojockim nie zagraża żadne niebezpieczeństwo – uściskał mocno nasze dłonie, obiecując ze swej strony, w razie potrzeby, pomoc w dostarczeniu ludzi lub broni. Obiad trwał dość długo i zmęczył mnie niewymownie ze względu na zupełny brak kultury, charakteryzujący naszych nowych sojuszników. Jedynie Chun-nojon jadł z talerza i posługiwał się pałeczkami. Świta zaś jego oraz żołnierze rozchwytywali mięso rękami, w razie ostatecznym uciekając się do pomocy noża. Wódki i likiery znikały z niebywałą wprost szybkością, co w odpowiedni sposób odbijało się na nastroju i humorze obecnych. Dygnitarze rzucali na pół ogryzione kości żołnierzom, chwytającym zdobycz z podziwu godną łapczywością. Tłuszcz barani ściekał po twarzach gości, którzy, nie wiedząc nawet o istnieniu chustek lub serwetek, oblizywali go po prostu językiem. Ciastka i placki miały ogromne powodzenie, gdyż Sojoci nie jedzą chleba u siebie, wszelkie więc mączne potrawy są dla nich przysmakiem. Widząc smutne miny żołnierzy, którzy z zazdrością patrzyli na swoich dygnitarzy, oblizujących cukier z ciastek, kazałem podzielić wśród nich bochenek chleba. Pod wpływem alkoholu arystokracja sojocka poczęła się zachowywać coraz swobodniej – zaczęto nawet rozpinać terłyki i wyłapywać pewne insekty, ostrożnie puszczając je na ziemię, gdyż wedle wierzeń buddyjskich i w tak nędznym owadzie

[7] Mongolska narodowa szata wierzchnia, w rodzaju chałata.

może się wcielić dusza zmarłego człowieka. Nadeszła wreszcie chwila pożegnania – tak bardzo przeze mnie upragniona. Chun-nojon raz jeszcze powtórzył, że w razie potrzeby zawsze możemy na niego liczyć, po czym odjechał w stronę Szagonaru. Na drugi dzień po przyjęciu otrzymaliśmy w darze dwie skrzynki naboi do karabinów rosyjskich. Mając zapewnioną pomoc, chciałem wyruszyć do tajgi i zaatakować oddziały bolszewickie, idące z Minusińska do Urianchaju dla przeprowadzenia tam rekwizycji ziarna i koni. Nieoczekiwanie oddział nasz powiększył się o 10 ochotników, którzy uciekli z Minusińska przed prześladowaniem bolszewików. W ich liczbie znajdował się kolonista urianchajski, Paweł Szyrnin, ze swym ojcem oraz kornet Szmakow z siedmioma huzarami. Wszyscy oni byli zaopatrzeni w broń, gdyż udało im się rozbroić patrol bolszewicki, wiodący ojca i syna Szyrninów do Czeka. Pierwszym naszym zwycięstwem na terenie Urianchaju było zajęcie Turanu. Wzięliśmy do niewoli 10 krasnoarmiejców. Byli to, jak się okazało, ufimscy Tatarzy, którzy natychmiast po wzięciu ich do niewoli wstąpili jako ochotnicy do naszego oddziału.

Wzięliśmy bogaty łup wojenny oraz około półtora miliona carskich pięciorublówek papierowych, które rząd bolszewicki wypuścił w 1919 r., a więc już po anulowaniu „romanowek", specjalnie na zakupy u Mongołów i Buriatów, którzy nie przyjmowali sowieckich pieniędzy.

Na fałszerstwie tym poznano się dopiero w 1920 r. i banknotów takich nie przyjmowano.

Z papierów, znalezionych u komendanta ochrony Centro-Sojuza, dowiedzieliśmy się, że w stepie są barany i konie, przeznaczone na polski front dla kawalerii Budionnego. Udaliśmy się więc niezwłocznie w step. Po wybiciu straży, składającej się z 30 krasnoarmiejców, zdobyliśmy 500 baranów, 45 wołów, 40 krów i 400 pięknych stepowych koni. Zdobycz naszą ukryliśmy w tajdze, gdzie urządziliśmy bazę.

Od tej chwili cały nasz oddział z wyjątkiem Łukasiewicza, który został w Bajangole, na gospodarstwie, bez odpoczynku niemal uganiał się za bolszewikami. Wyłapywaliśmy kurierów, rozbijaliśmy bez litości drobniejsze oddziały czerwone, rekwirowaliśmy zapasy

zboża, mąki lub siana, rozdając je miejscowej ludności. Po napadzie na wieś Ujuk, gdzie mieliśmy utarczkę z kawalerią bolszewicką, dostałem wiadomość od Łukasiewicza, że dowódcą chińskiego batalionu kpt. Li-Szi-Fu chce walczyć wspólnie z nami przeciw czerwonym wojskom.

Natychmiast po utrzymaniu tej wiadomości wziąłem ze sobą kilku Kozaków i nocą udaliśmy się do Bajangołu. Podróż mieliśmy trudną ze względu na zamieć śnieżną, która uniemożliwiała nam szybką jazdę. O świcie zajechaliśmy do chutoru Kozaka, gdzie nas bardzo gościnnie przyjęto, zaś o drugiej w nocy byliśmy już w Bajangole. Tu zaraz na wstępie Łukasiewicz pochwalił się nam rezultatami swej pracy, dzięki której, jak się okazało, prawie połowa oddziału była zaopatrzona na zimę w ciepłą odzież i obuwie.

Zaraz po przyjeździe pchnąłem gońca do korneta Szmakowa z rozkazem, by stawił się natychmiast ze wszystkimi Kozakami w Bajangole, uważałem bowiem, że przy porozumiewaniu się z chińskim dowódcą należało, aby zwierzchnictwo naszego oddziału było w całości reprezentowane. Po dwóch dniach Kozacy nasi byli już w Bajangole.

Oddział chiński znajdował się na lewym brzegu rzeki Jenisej, dla przeprowadzenia zatem naszych pertraktacji musieliśmy łodzią dostać się na drugą stronę. Po odbyciu najrozmaitszych prawdziwie „chińskich ceremonii", które zajęły wiele czasu, oraz po spożyciu obiadu, składającego się co najmniej z 20 potraw, zakrapianych obficie wódką, poprosiłem tłumacza, aby rozmowę moją z kapitanem Li-Szi-Fu skierował na odpowiednie tory. Z rozmowy tej dowiedziałem się, że komisarz bolszewicki Safianow, komisarz wojskowy Filipow oraz dowódca pogranicznego pułku Romanow zwrócili się do chińskiego namiestnika w Urianchaju Jan-Czu-Czao z prośba o wyłapanie całego naszego oddziału. Przy tym za schwytanie mnie i oficerów wyznaczyli nagrodę w wysokości 5000 rubli, zaś za każdego Kozaka po 25 rubli. Dowiedziawszy się o tym, wyraziłem kapitanowi przyjemne zdziwienie z racji wyznaczenia tak wysokiej sumy za moją głowę, dotychczas bowiem zdawało mi się, że wartość mego życia jest równoznaczna wartości małej, lecz dobrze wymierzonej kuli.

Słowa moje widocznie wywarły na kapitanie dobre wrażenie, gdyż uścisnął mi rękę i kazał przynieść nową baterię wódek.

Rozjechaliśmy się po wzajemnym zapewnieniu, że oddział nasz w dalszym ciągu będzie walczył z bolszewikami, Chińczycy zaś będą bronić Bajangołu i dostarczać nam naboi.

VI. CIĘŻKIE CHWILE

W dalszym ciągu prowadziliśmy tedy walkę podjazdową z oddziałami bolszewickimi, sytuacja jednak nasza stawała się coraz cięższą z powodu braku naboi oraz ze względu na coraz bardziej wzmagającą się w stosunku do nas agresywność wojsk bolszewickich. Zdobyte w Turanie aparaty telegraficzne ustawiliśmy w tajdze i połączyliśmy je z linią telegraficzną Minusińsk–Usińskoje. Z przyłapywanych w ten sposób depesz bolszewickich dowiedzieliśmy się, że dowództwo czerwonej armii miało zamiar przysłać do Urianchaju pułk piechoty, pułk kawalerii oraz dywizjon kulomiotów. Rozkazywano Safianowowi, aby za wszelką cenę postarał się jak najprędzej rozbić nasz oddział. Wobec tak groźnej sytuacji postanowiliśmy uderzyć na Usińskoje i zarekwirować znajdujące się tam składy amunicji. Postawiliśmy też sobie za zadanie rozstrzelać naszych najbardziej zawziętych wrogów tj. Safianowa, Romanowa i Filipowa. Aby wszakże zmylić czujność bolszewików, rzuciliśmy początkowo nasz oddział na Białocarsk. Zdobyliśmy tu składy zboża, przeznaczone dla armii sowieckich, znajdujących się na Syberii oraz walczących na froncie polskim. Składy te zawierały około 70000 pudów ziarna.

W tajdze oczekiwały nas świeże wiadomości, nadesłane przez specjalnego kuriera od Łukasiewicza. Dowiedzieliśmy się więc, że Safianow zebrał 150 ludzi i chciał uderzyć na Bajangoł, został jednak rozbity przez Chińczyków, a następnie przy przeprawie przez Jenisej wpadł na nowo zorganizowany oddział Szyłowa, od którego tak dostał w skórę, że z resztą niedobitków musiał uciekać na Turan, a stamtąd do Usińska. Poza tym z raportów znalezionych przy bolszewickich kurierach wyczytaliśmy, że porucznik Zanin został schwytany i odstawiony do Minusińska, oddział zaś jego roz-

padł się na 2 części, z których jedna, pod dowództwem płk. Jachontowa skryła się w lasach, druga zaś – z płk. Czemaginem na czele, zginęła w głębi tajgi bez śladu. Z raportów tych dowiedziałem się również o rozstrzelaniu wielu znajomych mi ludzi, między innymi porucznika Szydłowskiego oraz Iwana Iwanowicza Janczenko, mego serdecznego przyjaciela, który przez 2 miesiące mieszkał u mnie w Minusińsku.

W raporcie Szyłowa była wreszcie wiadomość o przejściu w okolicach Ułan-Tajga niewielkiego oddziału prowadzonego przez Polaka, prof. Ossendowskiego, i o zwycięskiej potyczce tegoż oddziału z patrolami bolszewickimi.

Po kilkudniowym wypoczynku w tajdze postanowiliśmy uderzyć na Usińsk. Bolszewicy w przekonaniu, że wszystkie nasze oddziały połączą się pod Białocarskiem, ściągali tam swoje rezerwy. Zuchwały napad na Usińskoje, gdzie znajdowało się 450 żołnierzy piechoty, 200 kawalerii i 80 konnych partyzantów – był dla nich zupełną niespodzianką. Rezultatem tego napadu było zdobycie przez nas dość poważnej liczby karabinów, jak również skrzynek z nabojami i ręcznymi granatami. Rozespani i nie orientujący się w sytuacji bolszewicy początkowo nie bronili się zupełnie. Dopiero na dźwięk trąbki alarmowej posypały się wystrzały i zaczęły grać karabiny maszynowe. Widząc poważne niebezpieczeństwo ze strony przeważającej liczby nieprzyjaciół, wróciliśmy do tajgi, unosząc ze sobą cenną zdobycz.

W pogoń za nami ruszyły oddziały bolszewickie, które jednak dzięki przebiegłej i zuchwałej taktyce porucznika S. wpadły w zasadzkę u wejścia w tak zwany Wilczy Jar i zostały nieomal całkowicie wybite przez Kozaków.

Ostrzeliwani ze wszech stron przez ukrytych wśród kamieni naszych żołnierzy, bolszewicy za wszelką cenę chcieli przebyć jar. Wówczas sierżant Andrejew dowodzący kilkunastu Kozakami zarzucił ręcznymi granatami w krasnoarmiejców.

Skutki tego ataku okazały się straszne. Zdziesiątkowany oddział bolszewików rozsypał się po stepie, jak stado dropi. Poległo wówczas 50 czerwonych. Między innymi syn komisarza Filipowa. Romanow i Safianów zdołali się skryć.

Z naszej strony zginął tylko jeden Kozak, który, będąc rannym, odebrał sobie życie z obawy, by nie wpaść w ręce bolszewików.

Oswobodziwszy się od pogoni, wjechaliśmy w tajgę. Droga była ciężka. Konie zapadały się co chwila w grubych warstwach śniegu pokrywających ziemię. Wreszcie po całym dniu wędrówki dowlekliśmy się około 10 wieczór do chutoru Pawłowa. W odległości jednego kilometra znajdował się chutor drugiego brata Pawłowa, do którego udał się na nocleg ze swym plutonem porucznik S. Porucznik Mieńszczykow, jako dyżurny tej nocy, wyruszył w asyście 5 Kozaków zbadać okolicę, ja spałem z chorążym Archipowem w jednej izbie, Szmakow zaś i Andrejew ułożyli się do snu w sąsiednim budynku. Niestety, nie było nam sądzone długo wypoczywać! W nocy obudził nas krzyk Daniłowa:

– Na litość Boską wstawać – czerwoni koło domu.

W pierwszej chwili – półsenny, nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Dopiero gwizd kul, świszczących około uszu, przyprowadził mnie do przytomności. W mgnieniu oka schwyciłem pas z rewolwerem i granatami, wybiegłem na dziedziniec, skoczyłem na konia i jak szalony pomknąłem przed siebie ścigany gradem kul.

Za maralnikiem spotkałem Szmakowa. Od niego dowiedziałem się, że ocalenie nasze zawdzięczamy porucznikowi Mieńszczykowi, który, zauważywszy niebezpieczeństwo, pierwszy podniósł alarm, sam jednak padł na posterunku, trafiony śmiertelnie kulą w głowę. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z por. S., który wraz ze swoim plutonem nocował w zagrodzie drugiego brata Pawłowa. Wiedząc jednak, że jest niezmiernie czujny, ostrożny i zna przy tym świetnie okolice, nie obawialiśmy się o jego los.

Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy się podążyć do zagrody Kozaka O., odległej o 25 km. Początkową drogę oświetlała nam łuna pożaru – to bolszewicy palili zagrodę Pawłowa. U Osipowych jednak czekała nas przykra niespodzianka. Dom i wszystkie zabudowania pełne były bolszewików, z których kilkunastu, puściwszy się za nami, padło, rozsiekanych przez naszych Kozaków. Wobec przewagi liczebnej wroga zmuszeni byliśmy ratować się ucieczką do tajgi. Widoczne było, że bolszewicy, chcąc wyłapać oddział, oto-

czyli nas zwartym pierścieniem. Należało więc tymczasem zrezygnować z walki podjazdowej i ukryć się w zaroślach tajgi.

Postanowiliśmy oddział nasz podzielić na 2 części. Jedna miała przedostać się między zagrodą Szyrnina a Ujukiem, do tajgi, zostawić tam konie w zagrodzie Bogatowa i na nartach pójść do bazy, by strzec jej przed ewentualnym napadem. Drugiej partii poruczono udanie się do Bajangołu, zabranie pozostałych tam ludzi i rzeczy, po czym grzbietem Tannu-Oła dojść mieli do Kosogołu, stamtąd zaś, po połączeniu się z oddziałem Szyłowa, pójść również na zimowe leże do bazy. Grupa, składająca się z 17 ludzi, między którymi było kilku rannych, ostrożnie posuwała się naprzód w stronę Bajangołu.

Ciężar smutku legł nam na duszach. Bezwiednie oczekiwaliśmy wszyscy jakiejś przykrej niespodzianki. Niestety, nie zawiodło nas przeczucie. W odległości 60 km od Bajangołu znaleźliśmy konia zagryzionego przez wilki. Szyrnin, obejrzawszy go, stwierdził, że nie jest to koń sojocki, gdyż nie zdarto zeń skóry, co należy do zwyczaju Sojotów. Po tych słowach ogarnął nas jeszcze większy niepokój. W milczeniu posuwaliśmy się naprzód z bronią gotową do strzału, przygotowani na wszelką ewentualność. Panującą wśród nas ciszę przerwał niespodziewany zamęt, wywołany złapaniem jakiegoś Sojota, który podszedłszy do Szmakowa, podał mu trzymaną w ręku kartkę. Z kartki tej pisanej przez Osipowa dowiedzieliśmy się o bardzo smutnych faktach, a mianowicie o tym, że bolszewicy, wymordowawszy wszystkich ludzi z naszego oddziału, zajęli Bajangoł. Z naszych ludzi ocalał tylko autor listu, który w tej chwili, jak donosił, ukrywał się u Bołdyr Helina. Nieoczekiwane te, a tak bardzo smutne wieści, przygnębiły nas niezmiernie. Nie mogliśmy się zdecydować, co robić. Posuwać się naprzód czy iść z powrotem? I jedno, i drugie było bardzo niebezpieczne. Zdecydowaliśmy więc skręcić w tajgę i iść do źródeł Ak-kemu, stamtąd zaś posuwać się w stronę Kemczika lub Dżedanu.

Opatrzność widocznie czuwała nad nami, gdyż tylko zmieniliśmy kierunek drogi i weszliśmy na górę, z której roztaczał się widok na okolicę, ujrzeliśmy na opuszczonej przez nas ścieżce, oddział bolszewików, złożony z 200 ludzi. Domyśliliśmy się, że szli na nasze spotkanie, którego szczęśliwie zdołaliśmy uniknąć. Prowa-

dzeni przez Szyrnina, który najlepiej orientował się w okolicy, doszliśmy do źródeł Ak-kemu. Noce spędzaliśmy przeważnie w jurtach Sojotów, dzięki czemu mogłem bliżej przyjrzeć się ich życiu i obyczajom.

Sojoci mieszkają w jurtach budowanych w sposób bardzo prosty. Są to drewniane szkielety, pokryte wojłokiem z wełny owczej. W środku jurty jest tzw. „tagan", tj. rodzaj trójnogu, w którym tleje ognisko. Przy ścianie naprzeciwko drzwi stoi ołtarzyk (tzw. burchanai-szire), na którym dominujące miejsce wśród innych bogów zajmuje posążek Buddy. Po lewej stronie ołtarza znajduje się królestwo kobiece – tu stoi szerokie mongolskie łóżko. Ludziom obcym podchodzenie do łóżka lub siadanie na nim jest bezwzględnie wzbronione. Wchodząc do jurty, wita się gospodarza stereotypowym powiedzeniem: „Mendee aszak" i zajmuje się miejsce podług godności.

Najdostojniejszy gość siada pod ołtarzem naprzeciwko drzwi, mając z prawej strony swoich podwładnych. Po wypaleniu fajek (duchowni zażywają tabakę) rozpoczyna się rozmowa. Stosownie do pojęcia Sojotów o dobrym wychowaniu, w pierwszym rzędzie należy zapytać o stan zdrowia bydła i koni, potem zaś dopiero zainteresować się zdrowiem gospodarza, jego żony i dzieci. Podczas rozmowy gości szykuje gospodyni w drewnianych, wątpliwej czystości czarkach zielony, solony „czaj" (herbata z solą i mlekiem) oraz proso, które tu zastępuje chleb. Do prosa podają masło lub bardzo ostry twardy ser. Na większych przyjęciach menu stanowi na wpół surowy baran lub ulubiony przysmak Sojotów – pieczony suseł. Krzeseł tu nie używają. Wszyscy obecni siedzą na podwiniętych pod siebie nogach. Najbardziej tylko znakomici goście dostają poduszeczki z koczmy, czyli filcu. Sojoci nie uznają też widelców, posługując się przy jedzeniu palcami i nożami. U uboższych Sojotów razem z ludźmi w jurtach przebywają jagnięta i cielęta, co niezbyt dodatnio odbija się na czystości ubrania. W nocy zaś bardzo często mili ci lokatorzy budzą ludzkich mieszkańców jurty lizaniem ich po twarzy lub chwytaniem za nos. Uprzejmość Sojotów względem gości posuwa się nieraz tak daleko, że żony i córki gospodarzy gotowe są służyć gościom swym wszelkiego rodzaju przyjemno-

ściami z których jednak Europejczycy, o minimalnych bodaj wymaganiach moralnych i estetycznych, korzystają nader rzadko. Tak idąc od jurty do jurty, doszliśmy do osady rosyjskiej Czakulu. Tutaj niespodziewanie wpadliśmy na bolszewików. Nastąpiła utarczka. Pod gradem naszych kul bolszewicy zaczęli się cofać. W pewnej chwili poczułem, że koń mój się chwieje, chciałem wyjąć nogi ze strzemion, lecz w tej samej chwili koń upadł, przygniatając mnie swym ciężarem. Co dalej było, nie pamiętam, bo straciłem przytomność. Ocknąwszy się, zobaczyłem, że leżę na śniegu, zaś Szyrnin i Szmakow przewiązują mi nogę. Dowiedziałem się, że do zwycięstwa nad bolszewikami dopomogli nam w znacznej mierze Sojoci, którzy znienacka zaszli im tyły. Po ulokowaniu mnie na noszach, oddział ruszył w stronę Dżedanu. Po przejechaniu jednak zaledwie kilkunastu wiorst, spotkaliśmy pikietę chińską, z kapitanem Li-Szi-Fu na czele. Delegacja nasza w osobach Szmakowa i Archipowa udała się do kapitana z prośbą o udzielenie pomocy i schronienia; kapitan zgodził się na udzielenie nam opieki i przepuszczenie nas na Dżedan pod warunkiem, że złożymy broń. Nie było rady – musieliśmy warunek ten przyjąć. Mnie i wszystkim oficerom pozwolono zatrzymać rewolwery. Chińczycy jednak nie wpuścili nas na Dżedan, lecz postawili na miejscu naszego spotkania parę jurt, które oddali do naszego rozporządzenia, zaopatrując nas też w kilka worków mąki i kilkanaście baranów. Kuracją mojej złamanej nogi zajął się Bołdyr Helin. Pewnego razu odwiedził nas kapitan Li-Szi-Fu. W przypływie zdenerwowania zrobiłem mu awanturę za to, że pomimo złożenia obietnicy nie bronił Bajangołu. Kapitan tłumaczył się, że postąpił zgodnie z rozporządzeniem namiestnika, który rozkazał mu oddać Bajangoł na pastwę bolszewików. Na prośbę moją kapitan, dobry w gruncie człowiek, pozwolił Szmakowowi jechać do namiestnika do Dżedanu w celu uzyskania zezwolenia na wyjazd nasz do Mongolii.

VII. W REZYDENCJI JAN-CZU-CZAO

Na razie jednak pozwolono nam przyjechać tylko do Dżedanu. Odpowiedź co do Mongolii odłożył namiestnik na później.

Wyprawiłem naprzód cały oddział, pod przewodnictwem Chińczyków, sam zaś, w towarzystwie Szmakowa, chorążego Archipowa i lekarza, wyruszyłem saniami w ślad za oddziałem. Po drodze, w stepie złapała nas szalona burza śnieżna. W okamgnieniu niebo pokryło się czarnymi, kłębiące mi się chmurami, które, gnane wichrem, zdawały się czołgać po ziemi. Straszliwy gwizd wiatru przeciągłym echem odbijał się w górach, budząc panikę wśród uciekających w popłochu przez step zwierząt. Miękki i rzadki początkowo śnieg po upływie kilku godzin stał się tak gęsty i skłębiony, że o godzinie 11 rano było ciemno jak w nocy. Szum wiatru, chrapanie koni i głośne okrzyki Sojotów, wydawane w celu porozumiewania się, wszystko to zlewało się w jakąś piekielną symfonię, która mogła najbardziej zdrowego człowieka doprowadzić do ostatecznego zdenerwowania.

Leżąc w miękkich saniach pod ciepłymi kożuchami i futrami, kołysany dziką muzyką stepowej zawiei – usnąłem, nie troszcząc się już o to, dokąd, kiedy i jak mnie dowiozą. Obudziłem się przed jakąś bardzo wysoką jurtą. Wyjęto mnie z sań i wprowadzono do wnętrza izby, gdzie przy krwawym płomieniu ogniska siedział gospodarz chaty. Był to wysoki poważny starzec. Siedział wpatrzony w ogień obojętny na wszystko, co się wkoło niego działo. W oczach jego było coś, co przykuwało wzrok – coś dziwnie niesamowitego. Oczy te przerażały swym blaskiem i wyrazem, lecz jednocześnie wświdrowywały się w duszę. Po jakimś czasie starzec, wstawszy od ogniska, przemówił parę słów chrapliwym głosem, po czym obecni w jurcie Sojoci zaczęli się czołgać u jego nóg, gospodarz zaś błogosławił ich potężnymi uderzeniami kija. Przy pomocy gestów starałem się dać do zrozumienia, że bynajmniej nie czuję się na siłach do przyjęcia tego rodzaju błogosławieństwa.

Jak się później dowiedziałem od Szyrnina, nasz nowy gospodarz był słynnym wróżbitą, a zarazem postrachem Sojotów. Gdyby nie niebezpieczeństwo, zagrażające nam wstępie od śnieżnej zawieru-

chy, nasi sojoccy przewodnicy nigdy w życiu nie odważyliby się na zajechanie do jurty czarownika.

Nie jestem tchórzem, tęcz widok wróżb i uroków, czynionych przez tajemniczego gospodarza jurty, wzbudził we mnie uczucie niewytłumaczonej trwogi i nerwowego lęku.

Wróżbita siedząc przy ogniu, wrzucał doń jakieś zioła i proszki, pod których wpływem czerwone jak krew płomienie ogniska poczynały dziwnie syczeć. Jurta wypełniała się odgłosami, jak gdyby dalekich jęków i szlochań. Twarz Sojota, ukryta w cieniu, była zupełnie niewidoczna, tylko oczy jego świeciły niesamowitym, fosforycznym blaskiem. Szmakow, Szyrnin i Archipow byli bladzi i przerażeni. Na twarzach Chińczyków, wpatrzonych w gospodarza, malował się fanatyczny wprost zachwyt. Jęki i szlochania to wzmagały się, to cichły. Wreszcie gdzieś z oddali odezwało się przeciągłe, straszliwe wycie wilka.

Wtedy, nie panując już nad swoimi nerwami, schwyciłem jedno z leżących obok mnie polan i wrzuciłem je w ogień. Ku mojemu jednak najwyższemu zdumieniu polano przez chwilę zawisło nad ogniem, po czym bez hałasu upadło na to samo miejsce, skąd je podniosłem. Przez chwilę jeszcze w izbie słychać było jęki i szamotania się jakichś niewidzialnych istot – wreszcie ogień zabłysnął jasnym, normalnym płomieniem, oświetlając jurtę i zgromadzoną wkoło ogniska garstkę ludzi o pobladłych twarzach i wylękłych oczach.

Przypatrując się kolejno siedzącym obok mnie towarzyszom, ujrzałem na czole Archipowa kilka kropel krwi, zaś na szyjach Chińczyków – wyraźne czerwone pręgi, jak gdyby od noża. Wróżbita spojrzawszy na nich, rzekł:

– To wasza przyszłość!

Szyrninowi przepowiedział on długą tułaczkę i wiadomość o śmierci ojca, Szmalcowi radził być mniej zapalczywym, gdyż może mu to przynieść zgubę, do mnie zaś odezwał się w te słowa:

– Z daleka przybyłeś i daleka jest jeszcze przed tobą droga. Szabla twoja pływała we krwi, ale czyniłeś to w dobrej wierze. Dużo jeszcze czasu spędzisz na siodle, lecz wrócisz tam, gdzie pragniesz ukoić swą tęsknotę. Ziemię naszą, przesiąkniętą krwią, pokochałeś

i nawet po powrocie do swej ojczyzny tęsknić będziesz do naszych stepów!

Wszystko to, czego przed chwilą byłem świadkiem, doprowadziło mnie do najwyższego stopnia rozdrażnienia i dopiero pod dobroczynnym wpływem wesołych płomieni ognia zacząłem powoli wracać do równowagi. Przy herbacie, którą nas poczęstował gościnny gospodarz, rozmowa potoczyła się dość żywo i raźnie. Zły nastrój minął. Zanim udałem się na spoczynek, gospodarz dał mi do zażycia jakieś proszki, mówiąc, że uśmierzają one ból i sprowadzają dobre sny. Nie wiem, czy to sugestia, czy faktycznie dobroczynny wpływ proszków, podziałał na mnie tak dodatnio, że na drugi dzień rano wstałem w doskonałym humorze, nie odczuwając prawie bólu w nodze. Niestety, smutne przepowiednie gospodarza jurty co do losu niektórych naszych towarzyszów sprawdziły się w przyszłości najzupełniej: Archipow zginął od kuli bolszewickiej; Chińczyków zaś wyrżnięto.

Burza ucichła – zanosiło się na odwilż. Pożegnawszy tajemniczego wróżbitę, wyruszyliśmy niezwłocznie w dalszą podróż, chcąc jak najprędzej być w Dżedanie. Tego samego dnia o godzinie 3 po południu byliśmy już u namiestnika chińskiego Urianchaju, Jan-Czu-Czao, który przyjął nas bardzo uprzejmie. Z jego polecenia zamieszkaliśmy w małym, lecz nadzwyczaj schludnym domku, w którym ku swojej wielkiej radości, spotkałem, przebywających już w Dżedanie od dłuższego czasu Jachontowa i Czemagina.

Zamieszkaliśmy więc w pięciu: Szmakow, Archipow, Czemagin, Jachontow i ja. Przysłano nam kilka baranów oraz worek mąki; prócz tego Chińczycy zaopatrywali nas w tytoń i różne przyprawy do potraw.

Losy oddziału Czemagina i Jachontowa nie były wesołe. Bolszewicy powybijali im większość ludzi z ich oddziałów i gdyby nie ratunek myśliwych Tatarów, którzy na pół żywych niedobitków znaleźli w śniegach tajgi, zarówno Jachontow, jak i Czemagin, zginęliby niechybnie z głodu i zimna.

Namiestnik Jan-Czu-Czao, bywając u nas dość często, dał się poznać jako człowiek miły, kulturalny i wykształcony. Ukończywszy średnią europejską szkołę, uczęszczał na prawo w Piotrogrodzie,

przy tym doskonale władał językiem niemieckim i rosyjskim. Namiestnik miał w zapasie zawsze świeże wiadomości, był więc miłym i pożądanym przez nas gościem. Od niego to dowiedziałem się, że przez Dżedan przechodził Walerian Kulikowski, który służył w 5. syberyjskiej dywizji, początkowo w baonie inżynierskim, następnie zaś w szkole oficerskiej.

O losach naszych towarzyszów z Bajangołu krążyły wersje, że wszyscy zginęli od kul bolszewickich. Wersje te, niestety, okazały się prawdziwe. W 1923 r. po powrocie do Polski, spotkałem przypadkowo w pociągu Palucha, który opowiedział mi ze szczegółami historię napadu i zdobycia Bajangołu. Wszyscy bohaterscy obrońcy Bajangołu, w liczbie 8 ludzi, z Łukasiewiczem i Wasiljem Szyrninem na czele, zostali wymordowani przez bolszewików. Paluch ocalenie swoje zawdzięczał jedynie swemu zawodowi. Bolszewicy bowiem, dowiedziawszy się, że jest on kowalem, przydzielili go do swego oddziału, ażeby im kuł konie.

Wypocząwszy należycie w Dżedanie, postanowiliśmy wyruszyć wreszcie do Mongolii. Płk Czemagin porozumiał się z jednym z lamów, który za cenę 50 skórek wiewiórczych zgodził się zabrać mnie na swe sanie. 2 stycznia 1921 roku o godzinie 6 rano wyjechaliśmy z Dżedanu, kierując się w stronę Ułankomu, tj. najbliższego naszego etapu w Mongolii.

Lama, Archipow i Szmakow prowadzili 3 pary sań, naładowanych towarem, płk Czemagin jechał konno, ja zaś z Jachontowem zajęliśmy czwarte sanie. Konwój nasz składał się z kilku uzbrojonych Sojotów. Jechaliśmy zamarzniętym korytem rzeki Dżedanu, kierując się na południe ku śnieżnym szczytom Tannu-Oła.

Okolica ta obfituje w zwierzynę; zauważyłem liczne stada kuropatw, które szukając pożywienia ryją długie kanały w śniegu przykrywającym step.

Miejscowości, przez które jechaliśmy, były parę lat temu gęsto zaludnione przez kolonistów rosyjskich. Teraz jednak na miejscu domostw i chutorów stały opalone, poczerniałe belki, opustoszałe dziedzińce zarosły zielskiem. Są to pamiątki strasznej rzezi dokonanej w 1912 r. przez Sojotów, mszczących się za wyzysk i wydzieranie im pastwisk przez obcych przybyszów.

Na jednym zboczu górskim pokazało się stado saren. Gdy Czemagin celnym strzałem położył trupem pięknego rogacza. Sojoci natychmiast puścili się za zdobyczą, rozrywając ją na miejscu na kawałki. Z podziwu godną żarłocznością rwali zębami surowe i ciepłe jeszcze mięso, oblizując łapczywie ściekającą po rękach krew. Wyglądali przy tym strasznie. Głośne i łakome ich cmokania wyrwały z zamyślenia zatopionego w modlitwie Dżaru-lamę (właściciela sań), który na widok zakrwawionych twarzy ucztujących Sojotów wpadł w gniew i schwyciwszy do ręki taszur (kij), począł nim okładać łakomych rodaków. Sojoci pod wpływem razów, rozpierzchli się, jak stado kuropatw ze strachu przed jastrzębiem, porzucając cenną zdobycz. Z ocalonej w ten sposób sarniny Dżaru-lama zrobił smaczny rosół, którym nas gościnnie poczęstował. Noc spędziliśmy w Jurcie sojockiej, gdzie przyjęto nas bardzo uprzejmie dzięki protekcji i wpływom Dżaru-lamy.

Na drugi dzień rano, po dobrym śniadaniu, wyruszyliśmy w dalszą podróż. Wyjechawszy z doliny potoku, ujrzeliśmy zamarznięty wodospad, który błyszczał w słońcu tęczowym przepychem barw. Pod lodową powłoką huczała woda, tryskając fontanną i skrapiając korony sosen i modrzewi. Krople wody, marznąc momentalnie, pokrywały błyszczącym szronem gałązki drzew. Sople lodowe, zwieszające się u podnóża skał, były lazurowe jak niebo, a kształtem swym przypominały obeliski z lapis-lazuli.

Wszystko to razem składało się na całość tak wyjątkowo żywą i bogatą w kolorycie, że z niezwykłym wprost zachwytem wpatrywaliśmy się w przepiękny krajobraz.

Gdy wreszcie zniknął on nam z oczu, wjechaliśmy do wąwozu zwanego „przybytkiem diabła". W wąwozie tym, według opowiadań tubylców, kryli się ongiś rozbójnicy, którzy na wszystkich przejeżdżających tą drogą podróżnych napadali, rabując ich dobytek, przy czym mężczyzn zabijano, kobiety zaś brano do niewoli. Bezkarne te napady trwały aż do tej chwili, gdy Budda wysłuchał modlitwy wiernych i spuścił na wąwóz i jego okolice straszną burzę, która wytłukła wszystkich rozbójników i zniszczyła ich kryjówki. Od tej pory ustały napady, lecz widocznie zły duch upodobał sobie to miejsce mordu i grzechu, gdyż dotychczas w „wąwozie diabła"

gwiżdże i zawodzi nigdy nieustający wiatr, który w sercach przejeżdżających tędy podróżnych wzbudza dziwną, straszliwą trwogę.

Patrząc na pobladłe twarze Sojotów, widziałem, że wierzą oni niezachwianie w starą legendę. Odetchnęliśmy też wszyscy z ulgą, wyjechawszy z krainy ciemności na rozległą płaszczyznę.

Po kilku godzinach, dotarliśmy do przełęczy gór Tannu-Oła. Przed nami rozpościerał się ogromny step, obramowany łańcuchami górskimi.

Przejechaliśmy więc granicę Mongolii. Dwa dni i dwie noce byliśmy jeszcze w podróży, która nie przyniosła już żadnych szczególnych wrażeń. Na trzeci dzień rano przed naszymi oczyma zajaśniały małe gliniane domki kolonistów rosyjskich, zarysowała się obronna siedziba księcia i wysokie mury chure (klasztoru), skąd płynęły potężne dźwięki, miedzianych trąb, głoszące światu, że kapłani pełnią służbę bożą.

Byliśmy w Ułankomie.

VIII. NA ZACHODZIE MONGOLII

Ułankom jest w północno-zachodniej Mongolii drugą po Kobdo co do wielkości osadą, ważną ze względów handlowych i religijnych. Ogromny klasztor (chure), zamieszkany przez sporą liczbę mnichów, wśród których dużo jest wróżbitów i lekarzy, ściąga rzesze pątników z Mongolii, Urianchaju i wysokich Gór Ałtajskich. Docierają tu również liczne karawany kupców z Pekinu, Kałganu, Urgi, Ulasutaju i Rosji.

Przy wjeździe do Ułankomu uderzył nas na wstępie ogromny gwar i zamęt panujący na szerokim placu odgradzającym chińską targową osadę (majmaczen) od chure. Ryk wielbłądów, nawoływania poganiaczy, głośne przeprowadzania transakcji handlowych, a często i agresywne wystąpienia żołnierzy chińskich biorących czynny udział w kłótniach wynikłych przy targach, wszystko to stwarzało tak chaotyczną i wrzaskliwą całość, że w pierwszej chwili nie mogliśmy się zorientować, gdzie właściwie jesteśmy i z kim moglibyśmy się porozumieć.

Po chwili dopiero, z grupy domków wysunęło się kilku żołnie-

rzy chińskich, którzy podchodząc do naszych sań, zapytali, skąd i dokąd jedziemy. Jachontow zamiast odpowiedzi pokazał im glejt z podpisem Jan-Czu-Czao, na którego widok żołnierze usłużnie pokazali nam drogę do rosyjskiej osady. Przejechaliśmy szerokim traktem, wydeptanym przez setki karawan, wzdłuż wysokiego glinianego muru twierdzy, patrzącej posępnie poszczerbionymi bastionami, aż wreszcie zatrzymaliśmy się na obszernej płaszczyźnie koncesji rosyjskiej; gdzie znaleźliśmy gościnny przytułek u Tatarów, którzy kilka miesięcy temu uciekli z Tasztypu przed bolszewikami.

Od chwili przyjazdu do Ułankomu zaczęto się dla nas nowe życie. Przyjaciele moi zajęli się pracą, aby zdobyć wyżywienie i opał, ja przez kilka pierwszych tygodni kurowałem nogę pod troskliwą opieką jednego z najsłynniejszych w tych okolicach lekarza tybetańskiego, Agar-lamy. Wieczorami w naszym zacisznym ciepłym pokoju zbierała się spora gromadka ludzi, składająca się z uciekinierów z Bolszewii i kolonistów. Wiecznym tematem naszych rozmów były wspomnienia przeżytych potyczek z bolszewikami lub ciężkich chwil spędzonych w więzieniach bolszewickich. Koloniści rosyjscy odnosili się do nas nad wyraz życzliwie, zasilając stale skromne nasze gospodarstwo: chlebem, mięsem i innymi produktami.

Po upływie dwóch miesięcy noga moja poprawiła się o tyle, że mogłem już chodzić nie tylko w obrębie pokoju, lecz robić wycieczki po kolonii i chure.

Na zachód od koncesji rosyjskiej rozciągał się majmaczen chiński, granicząc z twierdzą. Przeważna część domów chińskich otoczona była częstokołami tak wysokimi, że widniały tylko zza nich dachy domostw. Domy lepione z gliny były dosyć obszerne i dzieliły się na kilka pomieszczeń, z tych dwie lub trzy przeznaczone były dla personelu, reszta na sklep i składy. W mieszkaniach Chińczyków prawie połowę pokoi zajmował kan, tj. rodzaj pryczy ułożonej z cegieł. Wnętrze kanu ogrzewane jest przez specjalne ognisko z kuchni tak silnie, że Chińczycy układają na kanie tylko zwykłą matę i śpią na niej, nakrywając się cieniutką kołderką lub wojłokiem.

Zaprzyjaźniwszy się z kupcami, przesiadywałem często w ich sklepach długie godziny, przypatrując się sposobom handlu i słuchając ciekawych opowiadań o Chinach.

Operacje handlowe w Mongolii prowadzą Chińczycy przeważnie na kredyt, robiąc na tym kolosalne interesy. Pieniędzy Mongołowie nie mają, płacą przeto za towar bydłem, baranami lub skórami, jednostką monetarną jest łan[8] srebra i na nim polega cały rachunek. Mongoł, biorąc towaru za 7 cin, obowiązuje się oddać na wiosnę następnego roku dwa roczne barany wartości dwóch łan, jednak jeśli nie zapłaci na czas długu, to na drugi rok ma oddać już dwa dwuletnie barany wartości trzech łan. W ten sposób od kapitału 0,70 łana Chińczycy zarabiają czystego procentu 2,30 łana. Gdy wartość towaru dochodzi do kilkudziesięciu łan, a Mongoł z powodu śnieżnej zimy lub zarazy na bydło nie może w pierwszych latach zaspokoić długu, to w rezultacie procenty dochodzą do setek łan i Mongoł, opłacając co roku procenty przenoszące kilkakrotnie sumę dłużną, tkwi bez końca w długach. Zresztą Chińczycy są nad wyraz usłużni, nigdy nie żądają zwrotu całego długu i dłużnikom swym zawsze chętnie służą nowym towarem. Tego rodzaju system handlowy doprowadził do tego, że do roku 1911 nie było prawie Mongoła, który by nie płacił Chińczykom procentów od dawno wypłaconego długu.

W 1911 r. przeżyli Chińczycy ułankomscy bardzo ciężkie tarapaty i utracili prawie całe mienie. Był to czas, gdy Mongolia pod wpływem polityki rosyjskiej zrzuciła jarzmo chińskie i uzyskała autonomię. Nie obeszło się przy tym bez rozruchów, szczególnie silnych w okręgu Kobdo, gdzie oddziały mongolskie pod wodzą sławnego Dża-lamy zdobyły twierdzę w Kobdo i wycięły w pień prawie cały garnizon chiński. W Ułankomie zanosiło się na to samo, ale Chińczycy, sprzedawszy prawie za bezcen towary kolonistom rosyjskim, częściowo uciekli do Rosji, częścią zaś schronili się do twierdzy ułankomskiej. Mongołowie kilkakrotnie próbowali twierdzę tę zdobyć, ale bez skutku, postanowili przeto głodem zmusić oblężo-

[8] Jednostka wagi 1 łan = 36 gramów, dzieli się na 10 cin, 100 fyn, 1 000 li, 10 000 choo.

nych do kapitulacji. I kto wie, czy znudzeni długiem wyczekiwaniem pod twierdzą nie zostawiliby Mongołowie Chińczyków w spokoju, gdyby „synowie nieba" nie wpadli na pomysł zbudowania „armaty". Z ogromnego pnia zrobiono lufę, naładowano ją kilku workami prochu i starego żelaziwa, po czym oba otwory zabito silnie deskami. Śmiercionośną machinę ustawiono pod blankami bastionu, wycelowano na obóz mongolski i główny komendant twierdzy, w otoczeniu całej świty, własnoręcznie podpalił lont. Rozległ się straszliwy huk i oczom zdumionych Mongołów ukazały się lecące w powietrze poszarpane ciała Chińczyków, szczątki desek i grudy z blanków. Wybuch armaty nie tylko zabił wszystkich zgromadzonych przy niej Chińczyków, ale zrobił tak silny wyłom w murze, że Mongołowie bez trudności twierdzę zdobyli, wycinając do nogi resztę panicznym strachem przejętej załogi.

A jednak mimo tak bolesnych strat, Chińczycy w parę lat później, korzystając z wielkiej wojny a potem rewolucji w Rosji, powracać zaczęli do Mongolii i wkrótce opanowali znowu rynek, uprawiając nadal zgubny dla Mongołów system handlowy.

Towary chińskie zastosowane były ściśle do wymogów mongolskich, a niektóre przedstawiały się wysoce artystycznie. Do tych należały długie srebrne fajeczki o ustnikach z jaspisu, dochodzące ceny 50–100 koni, krzesiwa i noże w pochwach ze srebrnych blach z kunsztownie cyzelowanymi smokami lub ornamentami mongolskimi. Największy popyt miały cegiełki herbaty, tytoń, skóra na obuwie, a z materiałów: jedwab, cze-czuń-cza (surowy jedwab), atłas i dalemba.

Bardzo często do sklepów przychodzili duchowni, kupując świeczki ofiarne lub różańce buddyjskie, toteż wkrótce poznałem prawie wszystkich dygnitarzy klasztornych, a między nimi przeora, świątobliwego Gańczi-gegena. Korzystając z zaproszeń, począłem coraz częściej przychodzić do chure, co pozwoliło mi zapoznać się z życiem lamów, a także spędzić niejedną godzinę w świątyniach.

Budowane one były w stylu tybetańskim, z drzewa, dosyć solidnie. Tuż przed głównym wejściem do świątyń stały młynki modlitewne z naklejonymi paskami papieru, na których wypisane były modlitwy. Czasem warczały one, poruszane siłą wiatru, częściej ob-

racali je pątnicy, zanosząc w ten sposób modły. Wnętrze świątyń jest obszerne i względnie czysto utrzymane. Naprzeciw drzwi znajduje się ołtarz, na którym króluje brązowa figura Buddy siedzącego na kwiecie lotosu, a koło niego stoi kilkanaście posążków świętych buddyjskich (bodisatw), niżej zaś szeregi czarek z produktami ziemi i lampki z najczystszym łojem baranim. Z pułapu zwiesza się mnóstwo jedwabnych chust (chadaków), a ściany pokryte są malowidłami przedstawiającymi różne sceny z życia bodisatw, straszliwe demony, lub urywki modlitw pisane w języku tybetańskim.

Na nabożeństwa wzywają lamów głośne dźwięki ogromnych trąb miedzianych umieszczonych na specjalnym balkonie. Duchowieństwo zasiada rzędami na małych poduszkach, trzymając w rękach karty z modlitwami: bliżej ołtarza orkiestra, złożona z kilku małych piszczałek zrobionych z ludzkich kości biodrowych okutych srebrem, dużych bębnów, dzwonków i gongów. Przed samym ołtarzem zasiada na specjalnym tronie przeor klasztoru. Na ołtarzu zapalają lampki, a do urny z żarzącymi węglami wsypują kadzidła. Obłok dymu wzbija się w górę i otacza posąg Buddy, a wtedy muzyka poczyna grać jakąś dziką melodię. Potem następuje spalanie płodów ziemi, podczas którego lamowie śpiewają monotonnie modlitwy. W czasie przerw w nabożeństwie, kręcą się między szeregami łamów młodzi uczniowie klasztorni, roznosząc herbatę lub kumys. Trzy razy w miesiącu: 8, 15 i 30 lamowie modlą się w świątyniach bez przerwy, całą dobę. Nie zauważyłem jednak nigdy, aby w świątyniach modlili się ludzie świeccy, chociaż dosyć często odprawiano nabożeństwa zamawiane przez nich. Komiczną cechę nabożeństw jest to, że mistrz ceremonii, uzbrojony w duży kij, przechadza się między modlącymi się lamami, uważając, czy należycie odprawiają modły, w razie jakiejkolwiek niedokładności nie szczędzi razów na grzbiety opieszalców.

Klasztory mongolskie są do pewnego stopnia oazami kultury w tym kraju nomadów i jedynymi stałymi osiedlami. Prócz klasztorów istnieją w Mongolii świątynie koczujące z miejsca na miejsce, urządzone w obszernych jurtach. Z taką właśnie wędrowną świątynią spotkałem się na północnym brzegi Ubsa-noru, będąc w gości-

nie u pomocnika miejscowego księcia, z którym często polowałem na kozły skalne i górskie barany. Obcowanie z bardziej wykształconymi Mongołami dało mi możność poznania stosunków i zwyczajów panujących w Mongolii.

IX. NARÓD CZINGIS-CHANA

Olbrzymie niegdyś państwo Czingis-chana bodące przez krótki czas postrachem całego świata, zmalało, ograniczając się do rodzinnych stepów, a wreszcie, wskutek wewnętrznych zamieszek i wojen między różnymi szczepami, Chałchasowie oddali się w 1691 r. pod opiekę Mandżurów w czasie panowania bogdochana Kansi. Mandżurowie wprowadzili do Mongolii swe wojska, założyli kilka twierdz, między innymi Ulasutaj i Kobdo, pobili Dżungarów i przywracając spokój w Mongolii, zawładnęli nią na długie lata.

Chcąc zupełnie osłabić wpływowych książąt mongolskich, Kansi w pierwszym rzędzie zabrał się do zmian terytorialnych. Chałcha, podzielona po śmierci Charasandża-chuntajczżi na siedem księstw (choszunów) między synów zmarłego, otrzymała teraz nowy podział, rozdrabniający ją na 37 choszunów (obecnie 104) oddanych pod władzę pomniejszych książąt, których równocześnie starano sobie pozyskać przez dawanie zaszczytów, podarunków lub żenienie z księżniczkami chińskimi.

Aby ułatwić sobie kontakt z pojedynczymi księstwami, rząd pekiński ugrupował je w ajmaki (sejmy), mianując przewodniczącymi tych sejmów książąt mongolskich i dając im tytuł „chanów". W ten sposób powstały w Chałchie cztery ajmaki: Cecen-chana, Tuszetu-chana, Sain-Noin-chana i Dżasaktu-chana; okręg Kobdo podzielony na dwadzieścia choszunów zgrupowano w dwa ajmaki: Zorektu-chana i Dałaj-chana.

Książęta zgrupowanych w ajmaki choszunów zbierają się co pewien czas na sejmy (czułgany) i tam radzą w sprawach dotyczących danego ajmaku.

Choszunami (oddzielne księstwa) rządzą książęta dziedziczni, przy pomocy specjalnych choszunnych urzędów tamga. Książęta ci

mają ogromną władzę nad swymi poddanymi: są sędziami, wyznaczają podatki, mają prawo mianować lub zwalniać urzędników, a w czasie różnych uroczystości lub zjazdów reprezentują swój choszun.

Choszuny dzielą się na mniejsze jednostki administracyjne: baki albo otoki, podlegają władzy tamgi. Cel ich istnienia: szybsze zbieranie podatków, dokonywane przez darge (starsi), mianowanych przez tamgę.

Pod względem mobilizacyjnym dzielą się choszuny na tzw. sumuny, tj. szwadrony. Każdy sumun w czasie mobilizacji powinien wystawić 150 jeźdźców.

Cała ludność Mongolii dzieli się na: książąt – dżasak, szlachtę – tajdżi, wolnych obywateli, poddanych – cham-dżyłga, duchowieństwo – lam i poddanych Bogdo-gegena (głowy lamaizmu mongolskiego) – szabi.

Świeccy – chara – zaplatają na głowach warkocze i noszą terłyki zapięte pod szyją, duchowieństwo zaś strzyże włosy krótko, terłyki, koloru żółtego lub czerwonego, nosi wycięte na piersiach.

Godności książęce dzielą się na sześć stopni:

Cin-wan (choszoj cin-wan),

Wan (dziun-wan, doroj dziun-wan).

Bejle (doroj-bejle),

Bejse (gusaj-bejse),

Tusze-gun (ułus-un-tusze-gun).

Gun (ułus-tur-tusulakczy-gun).

Wyżej wymienione tytuły mają często honorowe dodatki: Erdeni, Darchan, Tuszetu, Dajczin, Susuktu, Dadaj, Aczitu, Bator, albo oznaczenie obecnych lub poprzednich godności jak: dzian-dziuń, amban, sait.

W południowej Mongolii nazwy księstw pochodzą od rodów i pokoleń; jeżeli te same pokolenia podzieliły się na szereg księstw, to do nazwy pokolenia dodaje się oznaczenia geograficzne: wschodni (dzun), zachodni (barun), średni (durad), północny (aru), południowy (ubur), albo też używają honorowych tytułów książąt z osobnymi epitetami np. dżasaktu-wan, darchan-wan.

Urzędnicy choszunów noszą na czapkach gałki oznaczające ich

godność. Tusułakczi, pomocnik księcia, ma czerwoną nieprzezroczystą gałkę (godność generała). Dzakirokczi, pomocnik księcia w sprawach wojskowych, nosi gałkę niebieską nieprzezroczystą, zaś mejren (pułkownik) takąż przezroczystą. Godność działana (kapitana) oznacza gałka biała przezroczysta, a nieprzezroczysta oznacza stopień dzangin (porucznik). Wachmistrz kunduj nosi gałkę miedzianą.

Szlachta tajdżi zajmuje przeważnie urzędy administracyjne i posiada duże przywileje.

Wolni obywatele muszą pełnić służbę wojskową, płacą podatki, pełnią służbę na urtonach (stacjach przejazdowych) itp.

Chamdżyłga nie pełnią służby wojskowej, podatki płacą bardzo małe i głównym ich obowiązkiem jest służba na dworach ich panów.

Szabi zgrupowani są w osobne choszuny, rządzone nie przez książąt, ale dygnitarzy duchownych. Kasta szabi powstała w ten sposób, że każdemu wstępującemu na tron urgiński Bogdo-gegenowi ofiarowywali książęta pewną liczbę swych poddanych. Szabinarowie zwolnieni są od wszelkich zobowiązań na rzecz ajmaków, od służby wojskowej i pocztowej, a sprawami ich zajmuje się specjalny urząd w Urdze szabi-jamyń, kierowany przez szandzotbę, mającego więcej praw aniżeli najwyższy urzędnik choszumu.

Lamowie tworzą potężną kastę obejmującą prawie 1/4 męskich mieszkańców Mongolii.

Wedle zwyczaju prawie każda rodzina posiadająca dwóch lub trzech synów, jednego z nich oddaje na naukę do klasztoru (chure). Często też widzi się w jurtach malców z krótko ostrzyżonymi włosami, ubranych w żółte terłyki – są to chłopcy przeznaczeni do stanu duchownego.

W siódmym lub ósmym roku życia oddają chłopca takiego do któregoś klasztoru, tu jako uczeń mieszka u jednego ze starszych lamów, spełniając drobniejsze posługi. Uczeń taki – nazywający się bańdi – składa pierwsze przyrzeczenia gynin unikania najważniejszych grzechów: zabójstwa, kradzieży i pijaństwa. Pierwsze trzy lata uczy się bańdi języka liturgicznego (tybetańskiego) oraz katechizmu, a potem przez cztery lata praktycz-

nych zajęć w świątyni, odmawiając modlitwy. Do obowiązków bańdi w tym czasie należy też roznoszenie czaju lub kumysu dla modlących się w świątyni lamów.

Przechodząc do średniej szkoły, składa młody uczeń mongolskiego klasztoru ślub mówienia prawdy i otrzymuje godność gecuł. Nauka w średniej szkole trwa dziesięć lat. W tym czasie uczniowie zaznajamiają się z początkami filozofii i dogmatyki buddyjskiej. Po ukończeniu tej szkoły oraz złożeniu wyższych ślubów, dających nazwę gełun, uczeń zostaje mnichem. Kurs wyższy trwa lat dwadzieścia i polega na zapoznaniu się z wyższą dogmatyką, filozofią i teologią buddyjską oraz wyuczeniu się na pamięć kilkuset stronic „Ganczżuru"[9] i „Danczżuru"[10]. Po ukończeniu tej „akademii" i złożeniu egzaminu, lama otrzymuje tytuł „gabżi", a jeżeli ma jeszcze ochotę do nauki, to przez lat siedem specjalizuje się w teologii i filozofii, po czym otrzymuje tytuł agrimba.

Oprócz stopni duchownych są również i administracyjne: tak przełożony klasztoru nazywa się chambo. Stopień ten może nadać tylko chutuchta, chambo zaś może udzielić pierwszych trzech święceń niższych. W czasie nabożeństwa chambo siedzi w świątyni na specjalnym tronie. Gebkui jest mistrzem ceremonii i nosi związany z tą godnością powłóczysty płaszcz oraz czapkę z dwiema długimi, czarnymi wstążkami, nazwaną przez Mongołów obotaj. Prowadzący gospodarstwo klasztorne nazywa się nirba.

Lamowie kończą zwykle całą naukę w tych klasztorach, do których wstępują jako bańdi, dla wyspecjalizowania się jadą jednak do Urgi lub Tybetu.

Oprócz lamów zajmujących się filozofią i dogmatyką, są także lamowie-lekarze (emczi), oraz lamowie-astronomowie (dzurchaczi). Zostają nimi przeważnie ci bańdi, którzy wstępując do chure na naukę, dostają się na wychowanie do lekarzy i astronomów.

Nauka medycyny odbywa się przy pomocy specjalnej książki medycznej (tybetańskiej), samo zaś leczenie przez zamawianie choroby zaklęciami, a chronienie przed nią przy pomocy amuletów. Oprócz tego używają oni lekarstw przyrządzanych z traw,

[9] „Ganczzur" (tybet.) – przekład słów Buddy. Składa się z 103 tomów.

[10] „Danczzur" (tybet.) – objaśnienie nauki. Składa się z 225 tomów.

skór, rogów marali itp. Na Dżeanie np. widziałem lekarza – lamę, który z żołądka zabitego głuszca wyjmował mikroskopijne prawie gałązki mchu, objaśniając mnie przy tym, że mech ten, nadzwyczajnie skuteczny środek leczniczy, znajdują tylko głuszce. Wysuszone trawy mielą lekarze mongolscy na proszek, robią z niego pigułki, po czym zawijają je w różnokolorowe papierki. Lekarstwa te nie zawsze jednak pomagają, szczególnie w takich chorobach jak: syfilis, ospa lub tyfus. O chirurgii emczinowie nie mają pojęcia i żadnych sekcji nie robią, natomiast z powodzeniem składają złamane członki. Lekarze mongolscy uzupełniają często swą wiedzę w specjalnych szkołach lekarskich w Tybecie. Diagnozę stawiają zwykle po zbadaniu pulsu, co uskuteczniają przykładając palce za uszami chorego.

Duchowieństwo lamaickie odgrywa bardzo ważną rolę w życiu Mongołów, Każdy krok, każda ważniejsza czynność Mongoła od pierwszych chwil życia aż do grobu potrzebuje asysty duchowieństwa.

W Mongolii żenią się przeważnie w bardzo młodym wieku, jednak różnica lat między narzeczonymi nie odgrywa żadnej roli. Tak np. chłopiec szesnastoletni może ożenić się z kobietą trzydziestoletnią i to uważane jest za rzecz zupełnie normalną. Nie ma tu jednak mowy o uczuciu miłości, młodzieńcowi bowiem rodzice wybierają małżonkę, nie pytając zupełnie o jego zdanie.

Odbywa się to w następujący sposób.

Gdy rodzice znajdą dla syna odpowiednią partię, zasięgają rady lamy, który przy pomocy wróżbiarskich książek przepowiada, czy małżeństwo będzie szczęśliwe. Ważną rolę w tych wróżbach odgrywa rok uradzenia przyszłej żony.

Mongołowie dzielą czas na cykle: mały – dwunastoletni, wielki – sześćdziesięcioletni.

Lata małego cyklu mają następujące nazwy: 1. rok – myszy, 2. – krowy, 3. – tygrysa, 4. – zająca, 5. – smoka, 6. – żmii, 7. – konia, 8. – owcy, 9. – małpy, 10. – kury, 11. – psa, 12. – świni.

Cykl ten dzieli się na lata „twarde": tygrysa, smoka, psa i świni, pozostałe zaś należą do lat „miękkich".

Lama, wróżąc, zwraca szczególną uwagę na to, aby dziewczyna

była urodzoną w roku słabszym, bo w przeciwnym wypadku pożycie młodego małżeństwa byłoby na pewno nieszczęśliwe.

Gdy jednak tego rodzaju przeszkody nie ma, rodzice chłopca posyłają swatów do rodziców wybranej, ci ze swej strony zwracają się znów o wróżbę do lamy, a gdy i tu przepowiednia wypadnie pomyślnie, umawiają się o wykup ze strony narzeczonego i posag narzeczonej.

Wykup jest bardzo ważny z tego względu, że dzieci urodzone przed jego złożeniem uważane są za nieślubne i należą tylko do matki.

U bogatych wykup dochodzi nieraz do tysiąca łan, u biednych od kilku do kilkunastu łan i kilku chadaków. Posag bogatej narzeczonej wynosi kilkadziesiąt krów i koni oraz kilkaset baranów; u biednych 2–3 konie i kilkadziesiąt, a czasem zaledwie kilka baranów.

Jurtę dla młodego małżeństwa daje ojciec narzeczonego, zaś rodzice narzeczonej dają sznury do przewiązania wojłoków i całe wewnętrzne urządzenie. Młoda żona, wchodząc w dom męża, przynosi również dokładny spis tego, co wnosi na nowe gospodarstwo, aby w razie rozwodu, który w Mongolii jest zjawiskiem częstym, rzeczy te otrzymać z powrotem.

Jak przy zawieraniu małżeństwa, tak i w chorobie i w chwili śmierci Mongoła lama jest niezbędny. Uczy on chorego znosić bez szemrania dolegliwości oraz modli się, aby zażegnać niebezpieczeństwo. Gdy widzi zbliżający się koniec, zawiadamia o tym rodzinę, która ustawia tzw. śmiertelny namiot, gdzie składają chorego, dając mu tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Maleńki ogień rozpalony u wejścia do namiotu ma bronić konającego od półdzikich psów, czyhających na świeże mięso. W zimie zdarza się nieraz, że chory marznie w takim namiocie. Gdy lama stwierdzi, że chory skonał, wyszukuje wówczas miejsce, gdzie ma być złożone ciało umarłego. Wybór miejsca zależy częstokroć od rodzaju choroby i okoliczności, w jakich umarł chory. Jednych wywożą w góry, innych w doliny, jednych zostawiają w wyschniętych korytach rzek, innych rzucają do jezior. Przed wyrzuceniem ciała w step odbywa się ceremonia pogrzebowa. Zmarłego

ustawiają w pozycji siedzącej pod śmiertelnym namiotem, w pobliżu stawiają żerdź Mani z zawieszonymi na niej skrawkami papieru, na których pismem tybetańskim wypisane są słowa zaklęcia: „Om mani padme hum", mające zapewnić zmarłemu prędkie wyzwolenie się z więzów materii, tj. zbawienie,

Lamowie przy obrzędach pogrzebowych posługują się trąbkami z kości ludzkich oraz bębenkami, naciągniętymi ludzką skórą, gdyż te instrumenty mają skutecznie odstraszać złe duchy i demony, gromadzące się koło zmarłego.

Po skończonych modłach zwija się namiot i pozostawione ciało rychło staje się żerem zgłodniałych psów, wilków lub drapieżnego ptactwa.

Modły pośmiertne trwają u bogatych Mongołów i książąt przez dni 49, gdyż przez ten czas wedle ludowego przekonania, dusza zmarłego jest na sądzie u władcy piekieł Erlik chana.

Ubodzy ograniczają modły do 21 dni.

W spadku po umarłym lamowie otrzymują po dziewięć sztuk inwentarza żywego i martwego, a więc np. dziewięć koni, 9 krów, 9 wielbłądów itd.

Pisząc o duchowieństwie, należy chociaż w krótkich słowach wspomnieć o religii.

Religią panującą w Mongolii jest lamaizm.

Za czasów Czingis-chana Mongołowie byli szamanistami, co stwierdza znany kronikarz mongolski Sanang-Secen, opisujący wielki „kurultaj" (wiec), na którym Tamuczin został obwołany chanem Mongolii.

Lamaizm jest silnie zreformowanym buddyzmem a do Mongolii dostał się z Tybetu. Czysty buddyzm, głoszony przez założyciela tej wiary w Indiach, Sakjamuni, przeszedł już na terenie swego powstania mnóstwo zmian, z których najważniejsze wprowadzone były przez sektę mahajana, uczącą, że do osiągnięcia nirwany nie wystarczy wyrzec się uciech ziemskich, lecz trzeba też pomocy świętych (bodisatw), którzy osiągnąwszy już najwyższy stopień zbawienia, pojawiali się na ziemi w postaciach ludzkich, aby człowieczeństwu nieść pomoc duchową. Tak zreformowany buddyzm przyjął potem wiele z braminizmu, szczególnie kult tantryzmu i jogi.

W VII w. po Chr. buddyzm dostał się do Tybetu i tu zmieszał się w dużej mierze ze starą tybetańską religią bom-pa, przyjmując w poczet świętych buddyjskich mnóstwo demonów i geniuszy tybetańskich. Jednym z najważniejszych reformatorów religii w tym czasie był sławny apostoł buddyzmu Padma-Sambhawa.

Prawie w trzy wieki po jego śmierci, nauka buddyjska w Tybecie uległa nowym zmianom, wywołanym przez Dżu-Adisza, założyciela sekty gadam-pa, sprzeciwiającej się oddawaniu czci demonom, wprowadzającej celibat dla duchowieństwa i zadającej od nich skrupulatnego przestrzegania reguł. Po śmierci Dżu-Adisza duchowieństwo rozbiło się na dwa obozy: część pozostała wierną gadam-pa, druga część niezadowolonych z ostrej reguły założyła nową sektę saskja, tj. czerwonoczapkową, nazwaną tak od czerwonych rytualnych czapek. Wkrótce sekta ta zdobyła sobie pierwszeństwo i rozpowszechniła się szeroko po całej Azji środkowej, szczególnie, gdy Chubiłaj mianował najwyższego jej duchownego głową Kościoła w Tybecie i dziedzicznym zwierzchnikiem tego kraju. Tym samym sekta saskja uznaną została za oficjalną, a mając poparcie władz, zbudowała mnóstwo klasztorów (z tych wiele w Mongolii) i panowała długie lata.

Dopiero w 1357 r. pojawił się w Tybecie nowy reformator buddyzmu Zon-ka-wa, który reformy swe oparł głównie na nauce Mahajany, wprowadził znowu celibat, zorganizował duchowieństwo, ustanowił cały szereg ceremoniałów, a głową Kościoła swego zrobił dalaj-lamę, inkarnację znakomitego Awalokiteświary. Nowo stworzona sekta dla odróżnienia od czerwonoczapkowej, przyjęła dla duchowieństwa żółte szaty i takiegoż koloru czapki, od czego nazwano ją żółtoczapkową (lamaizmem). Nowa wiara szybko rozpowszechniła się po kraju, a wyparłszy sektę saskja, zapanowała wszechwładnie w Tybecie.

Lamaizm wprowadził do Mongolii wpływowy książę mongolski Abataj-chan w XVII w., a religia ta przyjęła się tu tym łatwiej, że w 1649 r. dalaj-lama wyznaczył jako głowę nowego Kościoła w Mongolii inkarnację Taranaty, znanego filozofa buddyjskiego.

Patrząc w Mongolii na liczne ruiny starych klasztorów, które należeć miały do sekty saskja, wnosić należy, że jednak lamaizm

stoczyć musiał zaciętą walkę, zanim bezkonkurencyjnie zapanował na nowym gruncie.

Budowanie coraz to nowszych klasztorów lamaickich zwiększało coraz bardziej liczbę inkarnacji, każdy bowiem klasztor chciał mieć swego chubiłgana (przerodzeńca). Chubiłgani są przeważnie przeorami klasztorów, otrzymują nazwę chutuchtu[11] lub „gegen"[12] i cieszą się ogromną czcią u naiwnych nomadów.

Po śmierci ciała gegena nie wyrzucają na step, lecz zabalsamowane w soli, wymalowane jaskrawymi farbami, a często złocone, wystawiają na widok publiczny, a następnie składają w specjalnym grobowcu (burchan).

Dusza gegena przechodzi w ciało nowonarodzonego dziecka, aby w nowym istnieniu dalej pomagać lamaistom do zbawienia. Nie musi ona przerodzić się zaraz po opuszczeniu, starej ziemskiej powłoki, czasem bowiem istnienie swe w nowej istocie zdradza dopiero po kilku latach.

Wynalezienie nowego chubiłgana jest już troską lamów danego klasztoru, którzy w żarliwej modlitwie, księgach wróżbiarskich oraz różnych oznakach na ziemi i niebie szukają wskazówek, jak i gdzie mają znaleźć nową inkarnację, zasięgając równocześnie wiadomości, czy gdzie nie urodził się syn w jakich niezwykłych warunkach. Jeżeli zebrane wiadomości zgadzają się co do czasu i miejsca z przepowiednią ksiąg wróżbiarskich, lamowie udają się do wskazanej jurty i pokazują dziecku jakiś przedmiot, który zmarły gegen szczególnie lubił. Jeśli dziecko przedmiot ten chwyci i nie chce go oddać, oznacza to, że zmarły wcielił się w niemowlę i poznał swą własność. Znalezionego w ten sposób chubiłgana zabierają lamowie wraz z matką do klasztoru, gdzie dziecię zostaje wychowane pod opieką najbardziej uczonych mnichów. Im więcej razy przeradza się chubiłgan, tym większą sławę i poważanie ma jego klasztor, a to przynosi poważne korzyści materialne tak dla przeora, jak i jego otoczenia.

---

[11] Chutuchtu – boski.

[12] Gegen – święty, świątobliwy.

X. WRZENIE W MONGOLII

Niespodziewanie zjechał do Ułankomu namiestnik Urianchaju, Jan-Czu-Czao. Dostał on translokację do Pekinu, chwilowo zaś zamieszkał w Ułankomie, w domu Char-niudy. Postanowiliśmy z Jachontowem skorzystać z obecności namiestnika i poprosić go o wydanie nam pozwolenia na przejazd przez Mongolię. Jan-Czu-Czao przyjął nas bardzo uprzejmie, lecz prośbie naszej wręcz odmówił, tłumacząc się tym, że wkrótce podpis jego nie będzie miał znaczenia. Radził nam też, ze względu na niepewne czasy, nie ruszać się z Ułankomu.

„Uchroni to panów – mówił namiestnik – od wielu ewentualnych przykrości, które spotkać was mogą zarówno od mego następcy, jak i od Mongołów".

Jachontow wszakże, który miał rodzinę w Nowonikolsku, nie zastosował się do udzielanych mu rad i wyjechał, skorzystawszy z pierwszej nadarzającej się sposobności.

Wkrótce po jego wyjeździe pojechałem z kapitanem Popowem i synem Malcewa, na polowanie w góry Uljasy, do porucznika Jeżowa, który mieszkał tam na stałe z żoną i córeczką. Według twierdzenia porucznika Jeżowa, w Uljasach znajduje się węgiel kamienny, grafit, miedź, ołów, a nawet – rubiny i ametysty. W niedalekim sąsiedztwie Jeżowa mieszkał artysta malarz Telengit-Taczajew z rodziną.

Grupa myśliwych, w liczbie 10 osób, wyruszyła na szczyty gór, gdzie rozdzielono się na 3 partie i zajęto odpowiednie pozycje.

Ja i Malcew zostaliśmy na ogromnych urwiskach skalnych, skąd roztaczał się prześliczny widok na Ułankom i okoliczne stepy. Po upływie pewnego czasu ujrzeliśmy wkraczające na halę stado kozłów skalnych. W chwili, gdy przewodnik stada, prześliczny samiec, zatrzymał się i podniósłszy zgrabną głowę, ozdobioną wspaniałymi rogami, zaczął węszyć – kula, wysłana z mojego myśliwskiego mauzera, położyła go trupem na miejscu. Na huk wystrzału stado rozbiegło się jak szalone na wszystkie strony. Nie wiedziałem, co mam więcej podziwiać – czy śliczne kształty kozłów, czy lekkość i zwinność ich nieprawdopodobnie karkołomnych skoków. Jeden z kozłów podczas wędrówki z krawędzi na krawędź przepaści – został ugodzony kulą Malcewa.

Na tym polowaniu ujrzałem po raz pierwszy stado ptaków, których dotychczas nie widziałem. Są to tzw. ułary, czyli gatunek skalnego indyka. Wielkości gęsi, poruszają się tak szybko, że długo trzeba czekać na sposobność wystrzału. Mięso ich jest nadzwyczaj smaczne. Ptaki te żyją w górach Tybetu i w Mongolii.

Pierwszy dzień polowania dał dość bogate rezultaty. Zabito 1 marala, 2 kozły skalne, 1 skalnego barana argali, 2 wilki i kilkanaście ułarów. Ze względu na swą niezwykłą czujność i zwinność, kozły skalne uważane są za nader cenną zdobycz, mnie więc i Malcewa ogłoszono królami polowania.

Łowy trwały cały tydzień. Codziennie do domku por. Jeżowa wracali myśliwi, obładowani cenną zdobyczą. Ja jednak, nadwerężywszy sobie nogę podczas wyprawy na kozły skalne, nie mogłem brać udziału w dalszych eskapadach, siedziałem więc w domu, dotrzymując towarzystwa żonie por. Jeżowa.

Dopiero ostatniego dnia polowania wyjechałem w góry w towarzystwie syna Taczajewa, Azarma. Zajęliśmy pozycję nad ślicznym potokiem, który spadając kaskadą z dość znacznej wysokości, tworzył dopływ jeziora Ubsanor.

Jednocześnie ze wschodem słońca ujrzałem na skale wspaniałego skalnego barana argali[13], który stojąc nad urwiskiem, podniósł wysoko w górę swój łeb i przeciągłym beczeniem zwoływał stado. Na ten sygnał rozległy się zewsząd liczne odpowiedzi, wydawane w różnych tonach. Po chwili całe stado, w liczbie 22 sztuk, skupiło się koło swego przewodnika i spuściwszy się na dół, poczęło chciwie pić wodę.

Nie strzelałem od razu, chcąc przyjrzeć się dokładnie widokowi, tak rzadkiemu dla oczu Europejczyka. Stare barany, zaspokoiwszy pragnienie, odeszły na bok, ustępując miejsca samicom i młodym barankom. Baranki te, baraszkując i figlując, zostały narażone na ostre skarcenie ze strony przewodnika stada, który przy pomocy uderzeń swych potężnych rogów starał się niesforną młodzież przyprowadzić do porządku. Skarcone baranki ze skruszonymi minami schroniły się pod opiekę matek.

Strzały moje położyły trupem jednego starego i jednego młode-

[13] Ovis argali.

go barana. Zapakowaliśmy skóry i mięso na sanie, a po kolacji wyruszyliśmy do Ułankomu.

Coraz częściej zaczęły dochodzić nas zatrważające wieści o zaburzeniach we wschodniej Mongolii. Gubernator chiński wysłał z Kobdo do Urianchaju, dla powiększenia tamtejszych rezerw, 100 Czacharów[14], którzy jadąc, rabowali po drodze, co się tylko dało. W oczekiwaniu niemiłych gości koloniści ukrywali towar, zaopatrując jednocześnie w broń wszystkich uciekinierów; kobiety i dzieci wysłano do Uljas.

Zapowiadani goście nie dali na siebie długo czekać. Pewnego pięknego poranka 100 Czacharów w narodowych strojach mongolskich zjawiło się na ulicach Ułankomu, lecz ku ogólnemu zdziwieniu, po zjedzeniu sutego śniadania cały oddział wyruszył w dalszą drogę, nie ograbiwszy ani jednego mieszkańca. Niektórzy z Czacharów poubierani byli w najrozmaitsze części europejskiej garderoby, zrabowanej po drodze w chutorach rosyjskich. Widziałem wojaka ubranego w damskie *dessous*, w kapelusz i lisie boa. Inny znowu przykryty był aksamitną kapą czy też portierą, która spadała mu na plecy, kryjąc w swych fałdach jeźdźca i konia. W dwa dni po przejeździe Czacharów wyjechał na Dżedan płk Czemagin. W tym samym czasie kapitan Popow otrzymał tajny rozkaz z Ulasutaju, podpisany przez podpułkownika Michajłowa, aby wszystkich wojskowych zamieszkujących Ułankom i jego okolice skupiać i formować z nich oddziały. Garnizony chińskie miały być rozwiązane, kupcom zaś chińskim rozkazano odebrać broń. Drugi rozkaz polecał nawiązanie łączności z oddziałami esauła Kajgorodowa, rozlokowanymi nad rzeczką Kobdo, generała Bakicza, kwaterującego w Dżungarii w Czugu-Czaku, i atamana Annienkowa, który, według przypuszczeń, obozował w Urumczi. Jak grom z jasnego nieba spadla na nas wiadomość o wymordowaniu przez Sojotów obozującego na Dżedanie garnizonu Chińczyków. W walce tej zginął trafiony kulą w głowę chorąży Archipow, który towarzyszył pułkownikowi Czemaginowi na Dżedan. Niestety, spełniła się przepowiednia starego Sojota, wypowiedziana w dzień Bożego Narodzenia 1920 r.

[14] Plemię mongolskie koczujące wzdłuż wielkiego muru chińskiego, na granicy prowincji Czi-li (Dżj-li, Chih-li).

Pułkownik Czemagin przyprowadził do Ułankomu 30 dobrze uzbrojonych partyzantów. Komendantem Ułankomu został kpt. Popow, formowanie zaś i ćwiczenie oddziałów poruczono pułkownikowi Czemaginowi. Życie w Ułankomie zmieniło się nie do poznania. Wprowadzono żołnierski rygor, ćwiczono ludzi i konie, szykowano broń. Kupcy chińscy ogarnięci paniką, oddawali towary w nasze ręce, sami zaś uciekali do Kobdo, chroniąc się pod opiekę chińskich wojsk. Nie wszyscy jednak zdążyli uciec. Pewnej nocy Mongołowie podpalili ogromne składy spirytusu. Cały majmaczen chiński zgorzał doszczętnie.

W płomieniach zginęło wielu chińskich kupców. Włóczący się wśród gruzów Mongołowie wyszukiwali resztki ocalonych towarów. Na miejsce katastrofy przyjechał nojon zachodniego choszunu, Zoriktu-chan. Jego tłusta, czerwona, szyderczo uśmiechnięta twarz i małe, ruchliwe oczka nie wzbudzały zaufania ani sympatii. Zoriktu-chan narzekał bardzo na los, który nie pozwolił mu zagrabić większej ilości chińskich towarów – prosił nas, żebyśmy z pozostawionych u nas przez Chińczyków rzeczy cośkolwiek mu ofiarowali, lecz kpt. Popow odmówił stanowczo, tłumacząc się, że rzeczy te przeznaczone są na użytek wojska.

Książę odjechał zły.

Wracając po pożarze do domów, ujrzeliśmy Kozaka na spienionym koniu. Oznajmił on, że grupa uzbrojonych Sojotów zbliża się do Ułankomu w celu rozgrabienia dobytku kolonistów. Zatrąbiono na alarm. Nie przebrzmiały jeszcze echa trąbki, gdy Kozacy, w pełnym rynsztunku, pod dowództwem Czemagina wyruszyli na spotkanie napastników. Podjechawszy na odległość kilku kroków do Sojotów, płk Czemagin zapytał przez tłumacza, w jakim celu jadą oni do Ułankomu. Sojoci przez chwilę stali bezradnie, jak gdyby zmieszani niespodzianą ilością uzbrojonego przeciwnika. Nagle jeden z nich najechał koniem na Czemagina i z całej siły uderzył go pięścią w piersi. W tej samej chwili pułkownik z szybkością błyskawicy, wyrwawszy szablę z pochwy, rozłupał napastnikowi głowę. Był to jakby sygnał do boju.

Kozacy z wyciągniętymi szablami wpadli jak wicher między tłum

wrogów, rąbiąc ich bez litości. Sojoci nie stawiali prawie żadnego oporu i, przylepieni do szyj końskich, gnali na oślep w step.

Walka trwała niedługo i skończyła się sromotną porażką Sojotów.

Po bitwie pułkownik rozesłał patrole dla zbadania okolicy, oficerów zaś zwołał na naradę wojenną, podczas której otrzymałem polecenie nawiązania kontaktu z oddziałem generała Bakicza i atamana Annienkowa.

Wyjechałem z Ułankomu, zaopatrzony we wszystkie potrzebne papiery i dokumenty.

Z polecenia księcia Zoriktu-chana otrzymałem tzw. dzare, czyli dokument podróży, zaopatrzony w pieczęć odpowiedniego choszunu.

Dokument podróży otrzymuje ten tylko, kto płaci należność gotówką. W sprawach rządowych dzary otrzymuje się bezpłatnie. Jeżeli chodzi o pośpiech, wówczas dzara opatrzona jest w wymalowane na niej kopyto końskie lub pióro ptasie.

Za okazaniem tego dokumentu wszystkie urtony, czyli mongolskie stacje przejazdowe, obowiązane są oddawać podróżnikowi do rozporządzenia najlepsze swe konie.

XI. PRZEZ PIASKI DŻUNGARII

Wyjechałem w towarzystwie porucznika Popowa pod eskortą kilku znajomych mi Kozaków, dawnych partyzantów z Urianchaju. Zdecydowaliśmy się jechać na wielbłądach, gdyż konie, z powodu braku dobrej paszy, były dość słabe.

Pierwszą noc spędziliśmy w górach, a o godz. 10 rano byliśmy już nad jeziorem Aczik-nor, gdzie znajdowała się pierwsza stacja przejazdowa, tj. urton. Zmieniliśmy wielbłądy i przewodnika i wyruszyliśmy w dalszą drogę w górę rzeki Kobdo. Płynie tu ona wysokim korytem, zamkniętym z dwóch stron pasmem lesistych gór.

Brzegi Kobdo pokryte są gęsto mongolskimi jurtami. W dolinach pasą się tabuny koni i owiec.

W ciągu dnia przebyliśmy 75 kilometrów, dzielących nas od Ulegej, gdzie znajdował się następny urton. W Ulegej zażądałem koni i przewodnika do Ułan-daba. Mongołowie patrzyli na nas

z niedowierzaniem, wreszcie oznajmili, że przełęcz Ułan-daba jest nie do przebycia z powodu ogromnych śniegów, które zawaliły wszystkie drogi. Postanowiliśmy więc jechać przez Tułtę. Mongołowie, niechętnie wprawdzie, dali nam inne wielbłądy i pięciu ułaczenów, czyli pastuchów końskich, za przewodników. Wyjechaliśmy wczesnym rankiem, kierując się na południowy zachód, w stronę jezior Kobda, z których bierze początek rzeczka o tej samej nazwie. Podróż była teraz ciężka ze względu na górzystość okolicy. Brzegi rzeki są otoczone lasem, pełnym zwierzyny. Kilkakrotnie przebiegały nam drogę stada kóz marałów i dzików; są one mniejsze od dzików europejskich.

Podróż nasza do jezior Kobdo trwała 2 dni. Jezioro otaczają ze wszystkich stron skały zielonego koloru, który zawdzięczają grynszpanowi, tworzącemu się obficie na miejscowych bogatych pokładach miedzi.

Brzegi jezior pokryte są jurtami i domkami Telengitów i Rosjan, zajmujących się wyłącznie połowem ryb i myślistwem.

Na odpoczynek zatrzymaliśmy się u zruszczonego Tatara, Ajdurowa, który przyjął nas nadzwyczaj gościnnie, pokazał swój wspaniały zbiór cudownych futer, zaopatrzył w sporą ilość mięsiwa i miodu, a na drugi dzień rano wyprawił w dalszą podróż, odprowadziwszy nas osobiście krótszymi drogami aż do przełęczy Urmogajtu. Teraz jechaliśmy już konno. Po przebyciu 10-godzinnej ciężkiej i niebezpiecznej drogi doszliśmy do miejsca, skąd rozpościerał się wspaniały, nigdy niezapomniany dla mnie widok. Daleki bezkresny obszar lasów i skał tonął w powodzi promieni zachodzącego słońca, które oświetlając szczyty górskie i występy skalne, nadawały im charakter fantastycznych wieżyczek czy zamków z bajki. Wysoko nad urwiskami pływały, zataczając szerokie koła, wspaniałe orły.

Noc spędziliśmy w ogromnej grocie skalnej. Na drugi dzień o świcie wyruszyliśmy w dalszą podróż, a o 4 po południu byliśmy już w osadzie Tułta. Po krótkim popasie puściliśmy się galopem ku jezioru Ułungur.

Jechaliśmy teraz równiną wolną od śniegów. Nocowaliśmy w stepie. Przy przeprawie przez rzekę Inysz zmieniono nam konie.

Jechaliśmy brzegiem jeziora Ułungur, pełnego dzikich gęsi i kaczek, które z krzykiem przelatywały nad rozległymi toniami.

Około południa stanęliśmy w miasteczku Bułun-tochoj, tu natychmiast zameldowaliśmy się księciu. Początkowo przyjął nas bardzo podejrzliwie i wręcz odmówił przyłożenia pieczęci na naszej dzarze, pozbawiając nas tym samym koni. Postanowiłem zatem chwycić się ostatecznego środka i zaofiarować księciu skórki rysie otrzymane od Ajdurowa oraz chadak. Chadak jest to duży kawałek jedwabnej, błękitnej materii, z wyciśniętym pośrodku wizerunkiem Buddy. Ceremonia ofiarowania odbywa się w ten sposób, że chadak złożony wzdłuż na 3 części trzyma się w ręku poziomo, tak aby długość jego była widoczna. Odmówić przyjęcia chadaku nie można. Obdarowany musi umieścić go na domowym ołtarzu burchanaj-szire, ofiarodawcy zaś winien wdzięczność i chęć dopomożenia w każdej sprawie.

Ofiarowanie chadaku oraz skórek rysich wywołało ze strony księcia niezmierną uprzejmość i zadowolenie. Zgodził się przyłożyć pieczęć na dzarze, poczęstował nas herbatą, a na wyjezdne podarował mi również niewielki chadak oraz piękny nóż, bogato inkrustowany srebrem.

Pędziliśmy teraz dzień i noc, odpoczywając tylko podczas zmiany koni na urtonach. Dojechawszy do osady Dur-buldżyr, zaludnionej przeważnie przez Chińczyków, ukryliśmy karabiny, bojąc się nieprzyjemności ze strony władz chińskich. Od spotkanego po drodze Kozaka dowiedziałem się, że tutejsza ludność nie wie jeszcze o wycięciu Chińczyków w Mongolii i że generał Bakicz bawi właśnie w Dur-buldżyr. Poprosiłem Kozaka, by wskazał nam drogę do generała. Po krótkiej wędrówce Kozak przyprowadził nas do dużego, jasno oświetlonego domu. Wszedłszy z porucznikiem Popowem do wnętrza, znaleźliśmy się w obszernej, oświetlonej świecami sali. Przy stole siedziało kilku wojskowych i parę dam. Towarzystwo, na widok obcych ludzi w mongolskich strojach, zamilkło. Podeszliśmy do siedzącego przy stole generała i przedstawiwszy mu się, oddaliśmy listy. Po ogólnej prezentacji posadzono nas wśród zebranych i poczęstowano kolacją. Patrzyłem z szacunkiem na grono otaczających mnie ludzi, którzy mieli za sobą tak bogatą

przeszłość. Ludzie ci przebyli straszny, głodny step kirgiski, cierpiąc niewypowiedziane katusze z braku wody i pożywienia.

Zdziwiła mnie jednak wielka liczba kobiet przy stole.

Już z doświadczenia wiedziałem, jak zgubnie działa obecność kobiet w oddziałach bojowych – przecież armia Denikina straciła swą karność w chwili, gdy do jej szeregów dostała się jedna tylko niewiasta.

Kobiety, które w czasie pokoju są najlepszymi towarzyszkami życia, w oddziałach partyzanckich bardzo często stają się ciężarem, a nawet kością niezgody i nieporozumień.

Ich wrodzona zalotność wzbudza wzajemną zazdrość w oficerach, wytrąca ich z równowagi żołnierskiego życia, każe zapominać o obowiązkach służbowych.

Słuchając toczących się wkoło mnie rozmów, patrząc na zaczerwienione pod wpływem alkoholu twarze, na błyszczące oczy i uśmiechnięte usta pań, pomyślałem sobie, że trudy naszej podróży poszły na marne, gdyż zebrane tu grono nie będzie miało z pewnością żadnej ochoty do podjęcia nowych wysiłków i walk. Po wyjściu ostatniego gościa generał rozpoczął ze mną i por. Popowem rozmowę, która utwierdziła nas w przekonaniu, że na pomoc jego liczyć nie można.

– Prawie wszyscy moi oficerowie – mówił generał – opuścili korpus i wyjechali do Mongolii. Ponieważ bolszewicy niedawno ogłosili amnestię, więc i ta garstka, która tu pozostała, codziennie się zmniejsza, gdyż każdy woli wrócić do swego domu, niż tułać się po wstrętnej Dżungarii, tym bardziej, że ja, nie mając pieniędzy, nie mogę wypłacać żołdu. Jest tu wiele kobiet, oficerskich żon, sióstr i córek, z powodu których mam dużo przykrości i niepokoju. Chińczycy tolerują mnie jeszcze, ale patrzą krzywym okiem na moje otoczenie, którego nie mogę utrzymać w ryzach. W najbliższym czasie wyjadę do Urumczi, gdyż bolszewicy coraz częściej wpadają do Dżungarii. W Urumczi był do niedawna ataman Annienkow, który wszakże w obecnej chwili bawi gdzieś w Chinach.

Pomimo niepocieszających słów generała postanowiliśmy z por. Popowem pojechać do Urumczi, by odnaleźć atamana.

Generał, uciekając się do kłamstwa, jakoby kilku jego ofice-

rów chciało wyjechać do Chin, uzyskał od gubernatora dzarę, po której otrzymaniu natychmiast wyjechaliśmy, kierując się na południe.

Podróż naszą odbywaliśmy z ogromnym pośpiechem, zatrzymując się na krótkie wypoczynki co kilka stacji. Pewnego dnia zatrzymaliśmy się w domku kupca chińskiego, który przyjął nas bardzo gościnnie i poczęstował obiadem, złożonym ze smażonych dżdżownic, ślimaków i tym podobnych smakołyków. Jakież było zdumienie i oburzenie gospodarza, gdy podziękowawszy mu uprzejmie za oryginalne przysmaki, zaczęliśmy zajadać wyciągnięte z naszych zapasów kawałki suszonego mięsa. Wypocząwszy należycie, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Jechaliśmy teraz traktem wiodącym u podnóża gór Eren-chabirga, mając po prawej stronie okolicę żyzną i uprawną, z rysującym się na horyzoncie pasmem gór, po lewej zaś płaski step, przechodzący w piaszczystą pustynię. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy przez ogromne wydmy lotnych piasków, w których konie zapadały się po kolana. W miasteczku Manas przyłączył się do naszej karawany oddział chińskich żołnierzy, co miało dla nas tę dobrą stronę, że przy wjeździe do Urumczi nie potrzebowaliśmy się legitymować wartom miejskim.

Urumczi, rezydencja generał-gubernatora (tao-taja), jest to miasto bez chodników, otoczone zewsząd glinianym murem. Sklepy chińskie wabią przechodniów różnorodnością towarów i żywością barw. Uboższa część miasta pokryta jest straganami, pełnymi przeróżnych jarzyn. Brudni, zatłuszczeni Chińczycy, krzycząc i gestykulując, sprzedają w dymiących się miskach potrawy o mocno podejrzanym zapachu. Nieco dalej Chińczyk w białym chałacie reprezentuje uliczny kunszt fryzjerski. W jednej ręce trzyma on czerwony stołek, w drugiej – pudełko z potrzebnymi przyborami.

Z jadłodajni, koło których przejeżdżaliśmy, bił silny, ostry zapach potraw i gorącego chanszinu. Kuchciki w białych chałatach roznosili potrawy w drewnianych miseczkach, krzycząc przy tym wniebogłosy.

Od Rosjan, do których miałem listy od gen. Bakicza, dowiedziałem się, że niedawno doszło do starcia między atamanem Annienkowem z 800 Kozakami a Chińczykami, którzy chcieli rozbroić je-

go oddział. Ataman napadł na miasto Ku-czeng, wyciął stojący tam garnizon i zrabowawszy całe miasto, cofnął się z powrotem w stepy. Gubernatorowie chińscy, widząc, że siłą się go nie pozbędą, zaproponowali mu przejście na służbę władz chińskich, gwarantując zupełną swobodę działania. Annienkow propozycję przyjął i z oddziałem swym pomaszerował w stronę Karaszaru.

Wiadomość ta była dla nas bardzo niepomyślna. Jeździć w poszukiwaniu atamana byłoby rzeczą bezcelową, zwłaszcza ze względu na dobre stosunki Annienkowa z Chińczykami. Należało więc wracać do Ułankomu, dokąd najbliższa droga prowadziła przez bezwodną, piaszczystą pustynię Dżasołyn-Elessun. Mogliśmy wprawdzie jechać inną drogą, prowadzącą na Ku-czeng, a stamtąd na północ do Kobdo, lecz droga ta była o wiele dłuższa od pierwszej; zdecydowaliśmy się więc jechać przez pustynię. Gospodarz naszego mieszkania w Urumczi, Nieczajew, wyszukał Mongoła, który za sowitą zapłatę zobowiązał się doprowadzić nas do traktu, na którym znajdowały się studnie ze słodką wodą. Od traktu tego oddalonego od Urumczi o 180 km, dzieliło nas 3 dni drogi.

Wyjechaliśmy z Urumczi na wielbłądach o 3 rano, zaopatrzeni w worki skórzane, napełnione wodą oraz w małe woreczki z sucharami, ryżem i prosem.

Zaraz po wyjechaniu w step zasnąłem, ukołysany miarowym rytmem biegu mojego wielbłąda.

Obudziłem się na odgłos strzałów i towarzyszących im krzyków i przekleństw. Okazało się, że grupa żołnierzy chińskich z oficerem na czele chciała nas aresztować, na co porucznik Popow zareagował czynnie, dając ognia z rewolweru. Wywołało to zbrojną utarczkę, w której odnieśliśmy zwycięstwo, wziąwszy przeciwników do niewoli. Oficer chiński, który, jak się okazało, był adiutantem Jan-Czu-Czao, poinformował nas, że wobec zaburzeń w Mongolii i represji Rosjan w stosunku do Chińczyków w Ulasutaju został wydany rozkaz do wszystkich gubernatorów, aby wojskowych Europejczyków na urtonach aresztować i zamykać w więzieniach, opornych zaś – rozstrzeliwać.

Po namyśle zdecydowaliśmy się wszystkich jeńców chińskich puścić wolno, rekwirując wszakże konie, broń i cały znaleziony

przy nich dobytek, składający się przeważnie z bardzo cennych, zrabowanych u Rosjan rzeczy.

U pierwszego bogatego Kirgiza wymieniliśmy konie i część rzeczy na srebro i futerka, po czym, wziąwszy od naszego przewodnika przysięgę, że poprowadzi nas bezpiecznymi drogami, wyruszyliśmy w stronę Chorczito.

Piaszczysty step zarośnięty był grupkami saksaulu, tych oryginalnych krzewów dżungarskich, których pień przysypany jest zwykle piaskiem, a tylko korona, pokryta drobnymi łuskami, kąpie się w gorących promieniach słonecznych.

Zupełną martwotę przyrody przerywają czasami głosy sępów szukających padliny.

Gorący wiatr podnosił turbany piasku, który zasypywał nam oczy i usta, wciskał się w fałdy ubrań, tamował oddech. Po dwóch dniach podróży bez odpoczynku dotarliśmy do osady Chormali, składającej się z kilkunastu jurt, skupionych koło trzech studni z dobrą, zimną wodą.

Tutaj przewodnik nasz oddał nas w ręce swego przyjaciela Dabel-ty-lamy, któremu poruczył prowadzić nas dalej.

Zmieniwszy wielbłądy, wyruszyliśmy nocą w kierunku Szak-szyn, położonego na północny wschód od Chormali.

Całą noc jechaliśmy przez piaszczystą równinę, dopiero nad ranem oczom naszym ukazał się łańcuch gór, pokrytych zieloną trawą. Zatrzymaliśmy się nad małym strumykiem na dwugodzinny odpoczynek. Późną nocą, po całym dniu jazdy, stanęliśmy w osadzie Dżakszyn, położonej u podnóża gór Kutuss, porośniętych modrzewiowym lasem. Nie zdążyłem nawet obejrzeć klasztoru, słynącego ze zgromadzonych w nim pamiątek z czasów wypraw Mongołów na zachód, gdy por. Popow oznajmił mi, że konie są gotowe i możemy jechać dalej.

Jadąc na zdrowych, silnych koniach, zmienianych na każdej stacji, szybko posuwaliśmy się naprzód i w stosunkowo krótkim czasie dotarliśmy do urtonu, położonego nad brzegiem rzeki Urungu. Tutaj przypadkowo w jednej z jurt zawarliśmy znajomość z myśliwym, Europejczykiem, nazwiskiem Jakimow, który zaproponował nam polowanie na marale. Propozycję tę przyjęliśmy z radością

i pod przewodnictwem Jakimowa udaliśmy się na wyznaczone stanowiska. Przedostając się z Popowem przez trzciny, zarastające małe jeziorko, ujrzeliśmy na skraju polany wspaniałego samca marala. Na strzał było za daleko, zaczęliśmy więc czołgać się na czworakach, chcąc jak najbliżej podejść do ślicznego zwierzęcia.

Nagle najwyraźniej poczułem na sobie czyjś magnetyzujący wzrok. Podniosłem oczy i ujrzałem w krzakach kwadratową głowę ogromnego kota, patrzącego na mnie spod przymkniętych lekko powiek. Błyskawicznym ruchem podniosłem broń do oka i wypaliłem. Zwierzę wydało straszny ryk, robiąc jednocześnie w moim kierunku niesłychanej wysokości skok. W tej samej chwili padł strzał z dubeltówki Popowa. W odległości kilku kroków ujrzałem popielate cielsko ogromnego zwierza, prężące się w ostatnich konwulsjach. Wypaliłem raz jeszcze, pakując mu kulę pod łopatkę. Był to, jak się okazało, wspaniały okaz pantery barsa, jednego z najniebezpieczniejszych, najbardziej krwiożerczych zwierząt, zamieszkujących wschodni Turkiestan, Pamir, a także Dżungarię i góry Tarbagataj. Wynoszące 8 piędzi długości cielsko pantery pokryte było futrem popielatym w czarne prążki, z paszczy sterczały mu potężne kły, a nogi uzbrojone były w ostre i zakrzywione jak szpony orła pazury.

Niespodziewanie zostałem właścicielem pięknej, puszystej skóry, która to zdobycz nadawała mi w oczach Mongołów niezasłużony tytuł starego, wytrawnego myśliwego.

Po tak triumfalnie zakończonym polowaniu wyruszyliśmy w dalszą drogę i po dwukrotnej zmianie koni znaleźliśmy się w chure Choszoten-Gegena. Klasztor ten leży w nadzwyczaj malowniczej, górzystej okolicy. Nad samą rzeczką znajduje się świątynia, zbudowana z gładko wyciosanych modrzewiowych pni. Na tarasach, stworzonych przez kaprys natury, otoczone wysoką palisadą stoją maleńkie domki łamów, pośród których na pierwszy plan wysuwa się prześliczny, w chińskim stylu utrzymany pałacyk Gegena. Artystyczne rzeźby, zdobiące drzwi i narożniki, misterne wykonanie dachu i okien – wszystko to składa się na całość niezmiernie oryginalną i harmonijną. Na naszą prośbę, oprowadzano nas po świątyniach. Są one wewnątrz obszerne i utrzymane w nadzwyczajnym porządku i czystości. Pokazywano nam również posążki bogów,

przywiezione z Tybetu, Przepiękne świeczniki ze srebra i brązu są tak misternie cyzelowane, iż trudno wprost uwierzyć, że są one dziełem rąk ludzkich. Obejrzeliśmy również salę będącą na poły muzeum, na poły zaś biblioteką. Wisiały tu okazy najrzadszej broni, pochodzącej z rozmaitych epok. Wysokie ściany pokrywały łuki, tarcze, szable, berdysze, halabardy tak ogromne i ciężkie, że z trudnością mogłem je poruszyć. Nie brakło też broni palnej, począwszy od prastarych skałkówek, aż do wyrobów najbardziej nowoczesnych. Drugą połowę sali zajmowały rękopisy w języku tybetańskim.

Następne trzy dni naszej podróży były dość ciężkie ze względu na trudną i mozolną drogę, wiodącą przez góry. Wody potoków, wskutek topniejących śniegów wezbrały, tamując kilkakrotnie pochód. Po wielu trudach wdrapaliśmy się wreszcie na przełęcz Dabysten-daba, gdzie przewodnicy uwiązali na obo swe dziękczynne szmatki.

Stopniowo góry malały, trakt stawał się coraz szerszy i wygodniejszy, doprowadzając nas do Kobdo.

XII. W STOLICY KOBDOSKIEGO OKRĘGU

Miasto Kobdo było rezydencją chińskiego ambana (namiestnika) okręgu Kobdo i urianchajskiego kraju.

Powstanie tego miasta, a właściwie twierdzy, datuje się z czasów wojen z Gandanem, a kronika mongolska Erdeni-in-eriche notuje, że stało się to w ósmym roku panowania cesarza chińskiego Jun-czena (1731). W wybudowanej wtedy na prawym brzegu rzeki Kobdo twierdzy osadzono garnizon chiński: naczelnikiem tegoż został dziań dziuń (generał), obdarzony tytułem: „rozsiewający wielkość". Generałowie rezydujący w Kobdo, podlegając władzy dziań dziunia ulasutajskiego, byli członkami jego rady i dlatego nosili także tytuł chiński: chebej amban.

W 1735 r. twierdzę Kobdo przeniesiono nad rzekę Bajantu, a na prawym brzegu rzeki Kobdo spory kawał ziemi przeznaczono pod uprawę zboża, do czego użyto rodzin 400 Mongołów Chałchasców i 100 Chińczyków, obowiązanych do służby wojskowej. Rów-

nocześnie prawie, w niewielkim oddaleniu od twierdzy, poczęło się tworzyć handlowe miasto (majmaczen).

W 31 lat po przeniesieniu twierdzy nad Bajantu, ustanowiono w Kobdo główny urząd dla spraw Dörbötów, Ölötów, Mingitów i innych plemion żyjących w okręgu Kobdo, a prawie w tym samym czasie znajdujące się w twierdzy wojska chińskie wystano z powrotem za wielki mur. Dopiero w czasie powstania Dungan (1869–1872) ściągnięto tu większe siły wojskowe, ale twierdza i majmaczen silnie ucierpiały, powstańcy bowiem zniszczyli szereg domów rządowych, a cały prawie majmaczen zburzyli i zrabowali.

Po stłumieniu powstania rozbudowało się Kobdo dosyć obszernie, tym bardziej, że obok Chińczyków osiadło tu sporo kupców rosyjskich. Ale w 1912 r., w czasie oddzielenia się Mongolii północnej od Chin, Kobdo przeżyło znów dni trwogi i zdobyte zostało przez wojska mongolskie zorganizowane ad hoc przez sławnego Dża-lamę[15] a dowodzone przez Surun-guna. Zwycięski oddział mongolski zniszczył wtedy prawie wszystkie sklepy chińskie, a Chińczycy, z których zginęło prawie stu, w liczbie około tysiąca, musieli opuścić Mongolię.

Jednak podobnie jak i do Ułankomu, powrócili oni tutaj, korzystając z wojny światowej i rozpoczęli znowu lichwiarski handel. Twierdza miała teraz tak silny garnizon, że część jego wysyłano do Urianchaju, gdzie pełnił służbę przy komisarzu Jan-Czu-Czao.

Gdy w 1921 r. wrzeć poczęło we wschodniej Mongolii, amban chiński w Kobdo starał się podstępnie wnieść pewne niesnaski między kupców rosyjskich i napływających w granice Mongolii uciekinierów z Rosji. Żołnierze chińscy, zachęceni widocznie przez swych zwierzchników, stali się wprost napastliwi, aż wreszcie jednej nocy urządzono w Kobdo pogrom Europejczyków. Kilku

[15] Damba-Dżancyn-lama, przezwany: Dża-lama, Kałmuk astrachański, pojawił się w Mongolii w latach 1886–1890, propagując niezawisłość Mongolii. Chwytany kilkakrotnie przez Chińczyków zdołał zawsze wykręcić się od zagrażającej mu śmierci, znikał na pewien czas i znów pojawiał się, rozbudzając w Mongołach pragnienie zrzucenia jarzma chińskiego. Niezwykła popularność Dża-lamy między Mongołami spowodowana była wieścią, że jest on wcieleniem bohatera narodowego Amursany, który w latach 1750–1760 walczył o niepodległość Mongolii z Chińczykami.

Rosjan zabito, reszta, zostawiwszy dobytek na łasce losu, umknęła tylko w bieliźnie (działo się to w zimie) do oddziału esauła Majgorodowa.

Kajgorodow ruszył natychmiast na Kobdo, zdobył je wkrótce, ale większa część wojsk chińskich wraz z ambanem zdołała uciec w stronę Ułan-daba. Ucieczka odbywała się tak szybko, że Kajgorodow zagarnął tylko część karawany, uwożącej zrabowane mienie Rosjan.

Kobdo, w czasie mego pobytu tam, przedstawiało zupełną ruinę. Na ulicach znać było ślady niedawnych walk; wiele domów leżało w gruzach, a na stepie walały się trupy na pół ogryzione przez psy i wilki. W mieście i twierdzy kręciło się mnóstwo uzbrojonych żołnierzy, nie brakło też Mongołów obojga płci.

Kajgorodow zajmował ze swym sztabem dom ambana, tutaj też wyznaczono mnie kwaterę. Esauł Kajgorodow był typowym synem Gór Ałtajskich: twarz o rysach typowo mongolskich, skośne, czarne oczy patrzące przenikliwie; był średniego wzrostu, krępy i zwinny. Jako rodowity Telengit miał on wielki mir między swymi ziomkami. Będąc zdeklarowanym przeciwnikiem bolszewizmu, walcząc ciągle z szerzącą się rewolucją w okolicach Bijska, znajdował pomoc u Telengitów, dzięki czemu szczęśliwie uchodził ze wszelkich zasadzek, jakie nań wojska sowieckie zastawiały. Wyparty wreszcie w góry długi czas siedział ze swym oddziałem, złożonym z niechybnych strzelców, nad czujskim traktem, i tu gromił bolszewików aż do 1920 r. Otoczony ze wszystkich stron przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi nie mógł przyjąć otwartego boju z powodu nikłej ilości amunicji, przeszedł więc ze swym oddziałem na przełaj przez góry i zatrzymał się dopiero w granicach Mongolii. Dzielnym pomocnikiem esauła był por. Smoliannikow, znany w oddziale z niezwykłej odwagi i przedsiębiorczości.

Kajgorodow chętnie zgodził się na współdziałanie z oddziałem stojącym w Ułankomie, obiecując natychmiast przygotować odpowiednie listy do kpt. Popowa.

Byłem już gotowy do dalszej drogi, gdy z Ulasutaju przybył goniec wiozący listy od generała, barona Ungerna. W listach tych generał donosił o zdobyciu Urgi, obwołaniu Mongolii niezawisłym

państwem, a Bogdo-gegena cesarzem, polecał również Kajgorodowowi mobilizowanie Rosjan, przebywających na terytorium okręgu Kobdo i formowanie oddziałów. Ze swej strony Ungern przyrzekał wszelką pomoc oraz przysłał do Kobdo armatę ze znacznym zapasem amunicji.

Najbardziej zastanowił mnie rozkaz sankcjonowany przez Bogdo-gegena, polecający wyznaczyć znaczniejsze obszary ziemi odpowiednich pod uprawę zboża i osadzenie na nich Rosjan, rolników niezdatnych do służby wojskowej. Widoczne było, że nowy rząd w Mongolii chce zapewnić sobie zapasy żywności, sprowadzane dotychczas z Chin, a zarazem zrywa ze starą tradycją mongolską, uważającą kopanie ziemi za ciężki grzech, powodujący zawsze gniew bóstw.

Listy Ungerna wywołały zrozumiałą sensację, wyjaśniały bowiem sytuację Mongolii, a także różne najsprzeczniejsze nieraz wieści, krążące po stepach.

Zaopatrzywszy się w kopie listów generała, wyruszyłem do Ułankomu, przebywając 250 km drogi w niespełna 18 godzin. Udałem się natychmiast do kpt. Popowa, oddałem listy i raporty.

Teraz jednak poczułem, że ogarnia mnie silne zmęczenie, którego nie mogłem zwalczyć; 22 dni, spędzonych w siodle prawie bez odpoczynku, zrobiły swoje. Udałem się na spoczynek i kilkadziesiąt godzin przespałem snem kamiennym.

XIII. PRZEZ BAIT I CHOSZUN ACZITU-WANA

W pięć dni po powrocie otrzymałem rozkaz udania się do Ulasutaju w celu zasięgnięcia tam odpowiednich informacji oraz zdania raportu o stanie naszego oddziału. Wyjechałem w stronę Baitu, mając ze sobą tylko jednego partyzanta, który miał mi służyć jako tłumacz. Po całonocnej podróży po ciężkiej, zaspami śnieżnymi pokrytej drodze, dotarłem do faktorii rosyjskiej, gdzie w domu kolonisty, mieszkającego tam z rodziną, spędziłem w towarzystwie ludzi niezmiernie kulturalnych i gościnnych cały dzień. Wieczorem wyruszyłem końmi pocztowymi na całą noc i o świcie byłem już w Changelcyku, gdzie

spotkałem porucznika P., wysłanego tu z Ulasutaju w celu formowania partyzanckiego oddziału.

Changelcyk leży w górach w obszarze choszunu Aczitu-wana i słynie ze swych wspaniałych pastwisk. Zabawiłem tutaj dwa dni. Przez ten czas zawarłem znajomość z księciem Aczitu-wanem, Poznałem tu kolonistę Ł. i jego 30-letniego syna, zwanego popularnie Wanieczką. Młody Ł. słynął w całym zachodnim kraju ze swej niezwykłej wprost uczciwości i słowności i cieszył się wśród Mongołów ogromną sympatią i poważaniem. Na drugi dzień po moim przybyciu do Changelcyku, przyszła wiadomość, że Sojoci zamieszkali nad rzeką Teś zrabowali klasztor aczituwański, obecnie zaś posuwają się w kierunku Changelcyku. Porucznik P. na czele swego oddziału wyruszył na spotkanie przeciwnika. Utarczka zakończyła się rozgromieniem Sojotów, których częściowo odrzucono w głąb stepów, częściowo zaś wzięto do niewoli.

Następnego dnia wyruszyłem w dalszą podróż. Po drodze wstąpiłem do księcia Aczitu-wana, by pomóc mu w mobilizowaniu Mongołów. Aczituwański choszun jest jednym z najbogatszych w konie. Miejscowość, wprawdzie górzysta, ale pokryta jest trawą, sięgającą do kolan, dlatego też prócz ślicznych okazów koni domowych spotyka się tu stada dzikich osłów, ciemnej maści z czarną pręgą idącą wzdłuż grzbietu. Polowanie na te zwierzęta jest uważane za sport, wykazujący zręczność i siłę myśliwych.

Stada, złożone z kilkudziesięciu lub kilkuset sztuk, prowadzi stary ogier. Przy zmianie pastwiska stado wysyła straż przednią, która bada okolicę, zawiadamiając następnie resztę kulonów, czy należy posuwać się naprzód.

W razie napadu wilków stado grupuje się w koło, którego środek zajmują źrebięta i matki, niezdolne do walki, reszta zaś staje przodem do wroga i odpiera ataki.

Kilkakrotnie byłem świadkiem polowania na dzikie osły, urządzonego przez księcia w czasie powtórnego mego pobytu w tych stronach. Odbywają się one na specjalnie wyszkolonych w tym celu wierzchowcach, za broń zaś służą myśliwym długie włosiane arkany.

Polujący Mongołowie, zauważywszy stado, zrzucają siodła ze

swych koni i trzymając w ręku arkany, chowają się pod brzuchy swych wierzchowców, pędząc galopem przez step. Jest to widok zaiste zdumiewający, gdyż nic nie zdradza obecności jeźdźców, ukrytych pod brzuchami końskimi, i ma się wrażenie, że to same konie cwałują po stepie. Wrażenie to do tego stopnia jest złudne, że nawet kulony chroniące się przed upałem w jeziora, nie przeczuwają niebezpieczeństwa.

Mongołowie, przybliżywszy się do brzegu jeziora, momentalnie wskakują na grzbiety swych wierzchowców, rozwijając jednocześnie trzymane w ręku arkany. Stado na widok niespodziewanego wroga rzuca się do zbyt późnej najczęściej ucieczki. Schwytane na arkany kulony biją przez chwilę gwałtownie nogami o wodę, lecz po chwili, pod wpływem zaciskającej się pętli, uspokajają się zupełnie[16].

Nie nadają się one zupełnie do hodowli, natomiast mięso ich jest niezmiernie smaczne.

Poza stadami dzikich osłów można spotkać w stepie wiele innej zwierzyny, najcenniejszym wszakże i najrzadziej spotykanym jest pewien gatunek antylop, zwany bikonem. Nieduże te zwirzątka żyją w stepie parami, poszukiwane są zaś za swoje bezcenne nieomal różki, z których Chińczycy wyrabiają lekarstwa. Zwierzęta te są niezmiernie czujne i płochliwe, żyją przeważnie w miejscach odludnych, upolować zatem bikona jest nadzwyczaj trudno.

W granicach choszunu Aczitu-wana zaczyna się właściwe państwo mongolskie Chałcha. Zauważyłem, że kobiety ubierają się tu inaczej niż w okręgu Kobdo, występują również pewne zmiany języka w stosunku do używanego przez Mongołów w okręgu Ułankomu i Baitu, jak również do języka Torgutów, zamieszkujących południowy okrąg Kobdo.

W tymże choszunie natrafiłem na ślady jakiegoś starego miasta, w znacznej części zasypanego piaskami. Towarzyszący nam stary lama-ułaczen opowiadał legendę związaną z ruinami, w której często wspominał imię bohaterskiego Guszy-chana[17].

[16] Kulony trzymają się okolic Kirgiz-noru, rzeki Kungur, Dżachyo i Durga-noru.

[17] Panował w XVII w. nad Mongołami zach.

Słuchając opowieści starego lamy, pomyślałem mimo woli, że w tych legendach przebija się prosty, szczery, niezepsuty naleciałościami Zachodu duch dobrego mongolskiego narodu. Ileż to barwnych postaci przemknie przed słuchaczem i jaka głęboka duma z świetności dawnych władców i wodzów!

Chyba nigdzie więcej legend nie nasłucha się podróżnik jak w Mongolii i Urianchaju. Mongoł zbyt jest prymitywny, by różne zjawiska przyrody badać lub dociekać ich źródeł, on we wszystkim widzi działanie dobrych lub złych duchów, geniuszy i demonów i na tym podłożu tworzy fantastyczne opowieści, mieszając w nie czyny narodowych bagatyrów (bohaterów).

Ale z drugiej strony rozwojowi legend sprzyjają liczne stare tradycje i ślady po dawno wymarłych narodach, które tu w najrozmaitszych formach spotkać można na każdym kroku

Walcząc z bolszewikami w Urianchaju, słyszałem od Sojotów ciekawą legendę o pewnym szczepie urianchajskim, który ustępując pod naporem najeźdźców, uszedł na północ. Pokazywano mi również nad brzegiem Abakanu dwie kamienne figury: mężczyznę i kobietę, a towarzyszący mi wówczas Bołdyr Helin opowiadał o nich:

„Bardzo dawno, gdy Urianchaj był zamieszkiwany przez jeden bogaty szczep, panowała tam zgoda i dobrobyt. Zajmowano się rolnictwem, a żyzna ziemia dawała pod dostatkiem zboża i przeróżnych owoców. Widziałeś pewno stare kanały wodne? To dawni mieszkańcy Urianchaju kopali je, by nawodnić obszary, pozbawione strumieni. Na rzece Ułukem budowali oni tamy, którymi zamykali pewne części rzeki, a gdy woda podnosiła się wysoko, wówczas otwierali tamy, puszczając całe masy wody, które zatrzymując się na następnych tamach, wlewały się do kanałów i rozchodziły po mniejszych korytach, użyźniając w ten sposób ziemię.

Nastąpiły jednak niespokojne czasy wojenne, szczep zamieszkujący Urianchaj, naciskany przez inne wojownicze plemiona, musiał szukać ratunku przed zagładą: udał się więc w ogromne lasy, kierując się ku północy. Podzielono się na dwie części: jedni poszli przez dziką tajgę pełną zwierzyny, drudzy wzdłuż Abakanu, ku rozległym stepom, gdzie dzisiaj leży Tasztyp.

Na samym końcu pochodu szedł wódz plemienia ze swą mał-

żonką. Zatrzymawszy się nad brzegiem burzliwego Abakanu, małżonkowie poczęli tak bardzo rozpaczać za utraconą ojczyzną, że Bóg ulitował się nad nimi i zamienił ich w kamienne posągi. I oto do dziś dnia stoją u wejścia do ojczyzny zaklęte w kamienne ciała, oczekując chwili powrotu do swej ziemi."

Z jakiego czasu pochodzą figury kamienne stojące nad Abakanem, nie wiem, widziałem jednak bardzo podobne zabytki w zwaliskach Karakorum, zeszpecone wszakże rękami lamickich duchownych. Słyszałem również ciekawe opowiadanie o jeziorze Teri-nor, nad którym przez jakiś czas przebywałem. Nie tylko tubylcy z Urianchaju, lecz i koloniści rosyjscy mówią, iż jezioro to, burząc się, często wyrzuca na brzeg kości ludzkie, kawałki desek i belek. Mówią również, że łączy się ono z morzem, czego dowodem ma być fakt, iż często wody jeziora wyrzucają na piasek nieznane w Urianchaju gatunki ryb. Jezioro to burzy się nagle bez żadnych widocznych dla oka przyczyn i rzecz jasna, że z tego powodu przejmuje tubylców zabobonnym strachem. Opowiadano mi również o pewnej bardzo ciekawej skamieniałej tratwie, znajdującej się na jednym ze szczytów gór Tannu-Oła. Tratwa ta o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych zbudowana jest z potężnych kloców drzewa, którego gatunek jest zupełnie nieznany w okolicach Urianchaju i Mongolii. Kloce te, jak również potrzebne wiązania tratwy, są zupełnie skamieniałe. Osobiście nie widziałem nigdy tej skamieniałej tratwy, lecz mówili mi o jej istnieniu myśliwi rosyjscy i sojoccy, jako o rzeczy zupełnie pewnej, tonem niedopuszczającym wątpliwości.

W tajdze minusińskiej na polanach spotykałem wysokie kurhany oraz miejsca, których wygląd świadczył, iż bardzo dawno temu były one siedzibami ludzkimi. Na szczycie pewnej góry znalazłem olbrzymią kwarcową prostokątną bryłę, która na górnej powierzchni miała wyżłobione zagłębienie w kształcie miednicy. Zainteresowany tym odkryciem, przeszukałem dokładnie okolice wspomnianej góry, lecz śladów kwarcu nie znalazłem. O odkryciu swym opowiedziałem moim leśnym towarzyszom, którzy również ze swej strony wskazali mi parę miejsc, gdzie podczas swych myśliwskich wędrówek znajdowali podobne kamienie, będące we-

dle ich mniemania bardzo starymi ofiarnymi ołtarzami jakichś nieznanych nam ludów z zamierzchłej przeszłości.

Niejednokrotnie w podróży tej widziałem stare mogiły. Jedne otoczone były kamieniami w formie koła, inne zaś były prostokątne lub kwadratowe. Niekiedy kamienie w takim kole ułożone tworzyły jakby jakiś niezrozumiały plan miasta czy miejscowości

Ułaczeni zaręczali, że grobów tych nikt bezkarnie rozkopać nie może, albowiem duchy mszczą się za to strasznie[18].

Jeden z książąt mongolskich opowiadał, że o ciężką chorobę przyprawili go dwaj żądni bogactw Mongołowie, którzy dostawszy się do starej pieczary, stanowiącej wedle legendy grób jakiegoś świetnego chana, powyciągali stamtąd dziwaczne kości i tabliczki. Lamowie jednak odkryli winowajców i po doraźnym sądzie, wykonanym na niepowołanych archeologach, książę odzyskał zdrowie.

Dzięki opiece Aczitu-wana podróż moja, ogromnie szybka, miała tę dobrą stronę, że dawano mi na urtonach najlepsze konie oraz dogadzano na każdym kroku.

Przybywszy na miejsce wiosennego koczowiska księcia, gościłem u niego przez dwa dni. Z żalem opuszczałem rezydencję Aczitu-wana, który wraz z rodziną okazywał mi wiele życzliwości.

Dalszą drogę odbywałem nie urtonami, lecz urgą, to znaczy od tabunu do tabunu. Podróż ta pozwoliła mi badać okolicę pod względem mineralnym, a takie polować na dzereny lub wilki.

Minąwszy wielkie jeziora Kara-nor i Cagan-nor, jechałem okolicą pooraną niewysokimi górami.

Ulasutaj, cel mej podróży, był coraz bliżej, toteż z niecierpliwością poganiałem konia, by spokojnie odpocząć po 600-kilometrowej drodze.

Przejeżdżając około rzeczek i jezior, widziałem stada dzikich gęsi i przeróżnego ptactwa, często też zabijałem nieznane mi gatunki pływaków i brodźców.

[18] Rozkopanie kereksurów (starych mogił) jest w Mongolii surowo karane, gdyż w ogóle kopanie ziemi jest uważane za grzech. Dużo jednak z tych grobów rozkopali uczeni w celach naukowych, a Chińczycy w celach zysku, gdyż zwykle kereksury zawierają bardzo cenne rzeczy.

Ptactwo, niepłoszone przez Mongołów, zbliżało się do nas na taką odległość, że mogłem doń strzelać z pistoletu browninga.

XIV. W ULASUTAJU

Wkrótce step zakończył się ogromną kotliną obramowaną skaliste mi wzgórzami. Środkiem kotliny wiła się srebrną taśmą niewielka, płytka rzeczka Bogdyn-goł, tworząc gdzieniegdzie błotniste kałuże. Tuż pod skałami ukazały się długie gliniane domki oraz niewielkie kwadraty uprawnych poletek. Były to siedziby ogrodników chińskich, którzy na kamienistym nieurodzajnym gruncie rozesłali grubą na kilkudziesięciocentymetrową warstwę ziemi i kompostu, otrzymując w ten sposób teren, rodzący wspaniałe okazy jarzyn.

Wreszcie za zakrętem ukazały się wysokie, ciemne mury domostw i po kilkunastu minutach przejechałem przez oryginalną bramę miasta, a po przebyciu długiej ulicy, zabudowanej szeregiem niewysokich domków, stanąłem przed wrotami, nad którymi trzepotała na wietrze żółta, jedwabna chorągiew z wyszytymi na niej srebrnymi znakami: OUKO (Oddzielny Urianchajski Konny Oddział).

Była to kwatera sztabu dowódcy garnizonu.

Przyjął mnie niewysoki barczysty mężczyzna w średnim wieku, w mundurze kozackim z epoletami szeregowca. Był to ataman Kazancew, mianowany przez generała Ungerna głównodowodzącym wszystkimi oddziałami formującymi się na terenie Ulasutaju i zachodniej Mongolii. Oddałem listy uwierzytelniające oraz raporty, po czym ataman jął mię wypytywać o stosunki w Ułankomie i Urianchaju. W czasie rozmowy nadszedł ataman urianchajskich kozackich wojsk, inżynier Sierpas, i z niemałym zdumieniem dowiedziałem się o planie zajęcia Urianchaju przy pomocy oddziału złożonego z 500 ludzi.

Na próżno przedstawiałem liczebną siłę wojsk bolszewickich, na próżno wskazywałem na zmianę sympatii Sojotów, którzy przekupieni przez komisarzy bolszewickich, poczęli wrogo odnosić się do białogwardzistów – ataman Sierpas utrzymywał, że Urianchaj

zdobędzie bez wystrzału, „gdyż cała ludność, na wieść o wkroczeniu jego wojsk w granice Urianchaju powstanie z bronią w ręku i wypędzi bolszewików".

W wyznaczonej mi kwaterze poznałem wkrótce prawie cały personel oficerski, a także dzieje Ulasutaju w ostatnich tygodniach.

Jak we wszystkich większych osadach, tak i w Ulasutaju zatrzymywali się uciekający z Rosji białogwardziści, oczekując możliwości powrotu do ojczyzny lub przy nadarzającej się sposobności uciekający dalej przez Urgę do Chin.

Chińscy gubernatorowie patrzyli na to początkowo przez palce, później jednak zaczęto szykanować uciekinierów, osadzać w więzieniach, a nawet cichaczem mordować. Wtajemniczeni ludzie opowiadali, że powodem tego miał być tajny układ, zawarty między bolszewickimi szpiegami (od których roiła się Mongolia) a władzami chińskimi.

Niespodzianie przebiegła po stepach wieść, że generał rosyjski baron Ungern zdobywa Urgę, stoczył już pierwszą bitwę pod stolicą, lecz został odparty przez wojska chińskie. Równocześnie z przyjściem tej wiadomości gubernator ulasutajski zmobilizował kulisów[19] oraz wydał rozporządzenie zabraniające przechodzenia granic Mongolii. Nienawykli do karności kulisi urządzali pod wodzą gaminów[20] napady na drobniejsze osady kolonistów rosyjskich oraz na karawany mongolskie, rabowali je, a Mongołów pochwyconych z karawanami katowali w barbarzyński sposób.

Sytuacja w Ulasutaju stała się groźna, oczekiwano bowiem z dnia na dzień pogromu Europejczyków przez pijane bandy kulisów, Rosjanie zbroili się w tajemnicy, ustanawiali nocne dyżury, aż nagle przywieziono wiadomość, że Urgę zdobyły wojska rosyjskie i mongolskie. Mongolia stała się państwem niezależnym, a niedobitki wojsk chińskich uciekają ze stolicy na Kałgan.

Wygląd Ulasutaju zmienił się jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Butni kulisi zniknęli z ulic, a nieprzystępni dotychczas urzędnicy chińscy starali się we wszelki możliwy sposób nawiązać stosunki z komendantem świeżo sformowanego oddziału ro-

[19] Kulis – robotnik chiński.

[20] Gamin – żołnierz chiński.

syjskiego, pułkownikiem Michajłowem, który natychmiast po objęciu władzy rozkazał aresztować kilku kolonistów podejrzanych o szpiegostwo na rzecz Sowietów oraz podpisał wyrok śmierci na kilku bandytów, którzy zamordowali rodzinę starego kolonisty znad Tesin-gołu.

Gubernator chiński postanowił opuścić ze swą świtą twierdzę ulasutajską, a zamiar ten aprobowany został przez namiestnika mongolskiego saita Czultun-Beilego oraz kilka osób z kolonii cudzoziemskiej, między nimi i prof. Ossendowskiego, który w tym czasie przebywał w Ulasutaju.

Jednakże paru młodych pomocników handlowych Rosjan wraz z pastuchami mongolskimi uprowadzili tabuny koni i dopiero po długich pertraktacjach Chińczycy zdołali odjechać, mając zapewnione bezpieczeństwo przez rząd mongolski w Ulasutaju. Niestety banda Michajłowa nie uszanowała przyrzeczeń saita Czułtun-Beilego, napadła na odjeżdżającego gubernatora przy ruinach Ebugen-chure (6 km od Ulasutaju), obrabowała jego karawanę oraz zabiła kilku ludzi ze świty. Czyn ten wywołał silne naprężenie stosunków między Michajłowem a namiestnikiem mongolskim, po którego stronie stanęli wszyscy poważniejsi koloniści i uciekinierzy. Na domiar złego przyjechał do Ulasutaju płk Domożyrow wysłany z Urgi przez generała Ungerna w celu nawiązania stosunków z gen. Bakiczem w Dżungarii. Domożyrow nie tylko nie wypełnił swego zadania, lecz począł z garstką swych żołnierzy napadać na chińskie duguny[21] i nakładać na nie kontrybucje.

Prawie w tym samym czasie z Changelcyku przybyli czterej bracia Filipow i płk Poletika, przywożąc ze sobą mnóstwo dokumentów i planów „oficerskiej organizacji białogwardyjskiej na Syberii"[22], i poczęli na swoją rękę organizować sztab i oddział partyzancki.

W rezultacie żołnierze nie wiedzieli, kogo mają słuchać, a pułkownicy, miast dbać o karność, kłócili się o władzę. W mieście za-

[21] Dugun – sklep, dom handlowy.

[22] Oficerska organizacja kontrbolszewicka istniała rzeczywiście, lecz w 1920 r. bolszewicy wpadli na jej ślady i około 20 000 oficerów rozstrzelali w Kołomzino pod Omskiem. Osobiście mi znany z potyczek na Uralu w 1918 r., kapitan Poletika został rozstrzelany przez bolszewików w Krasnojarsku w 1920 r.

panowała zupełna anarchia, poczęły się szerzyć rozboje i dopiero przyjazd atamana Kazancewa położył kres wszystkiemu.

Pułkownicy Michajłow, Poletika oraz Filipow, nie chcąc poddać się rozporządzeniom nowego naczelnika, wyjechali do Zain-Szabi, a część cudzoziemców rozjechała się w różne strony. Domożyrow został wezwany do Urgi, gdzie Ungern rozkazał go początkowo rozstrzelać, ale karę śmierci zamienił na pozbawienie stopnia oficerskiego i usunięcie z liniowych wojsk, co w konnej azjatyckiej dywizji było uważane za hańbę.

W czasie przyjazdu mego do Ulasutaju panowała już w garnizonie karność wprowadzona surową ręką Kazancewa, oddział podzielono na szwadrony, rozlokowano go w barakach, skąd po Wielkanocy miał wyruszyć do Samgałtaju leżącego na granicy Urianchaju, i rozpocząć działania wojenne.

Codziennie odbywały się ćwiczenia wojskowe, sprowadzano konie, ekwipowano oddziały, wysyłano karawany wielbłądów z prowiantem, amunicją i manufakturą w stronę Tesin-gołu, gdzie miano założyć bazę intendentury dla wojsk mających działać na terenie Urianchaju.

Ja zostałem przydzielony do pomocy atamanowi Sierpasowi, który miał zarządzać administracją zachodniej Mongolii, a w razie zwycięstwa i Urianchajem.

Ataman Kazancew przygotował się do wyjazdu do Kobdo w celu porozumienia się z esaułem Kajgorodowem co do planów napadu na Kosz-Agacz, a potem miał jechać do Ułankomu i na Dżedan, aby osobiście rozmówić się z Chun-nojonem co do ewentualnego zmobilizowania Sojotów i wzięcia przez nich udziału w wojnie z bolszewikami.

XV. TWIERDZA I MIASTO

Mając wiele wolnego czasu, urządzałem przechadzki po mieście i okolicy, pragnąc poznać to oryginalne miasto, jedno z trzech, jakie posiada Mongolia.

Ulasutaj składa się właściwie z dwóch odrębnych części: twierdzy i majnachenu. Twierdza położona jest prawie na zlaniu się rze-

czek: Czingistu-golu i Bogdyn-gołu, zajmuje sporą przestrzeń otoczoną wysoką dwurzędową palisadą, wypełnioną w pośrodku ziemią. Przez szeroką bramę wchodzi się na ogromną płaszczyznę zastawioną dużą liczbą glinianych domków, stojących w najzupełniejszym nieładzie. Nie ma między nimi prawidłowo wyznaczonych ulic czy placów, domek stoi koło domku, czasem tak blisko, że trudno się między nimi przecisnąć. Od strony południowej bramy znajdują się dwie szerokie ulice, koło których grupują się przeważnie zabudowania rządowe: koszary, dom gubernatora (dziań dzunia), jamyń, tzn. urząd administracyjny, domy dzurganów[23], sąd itd. Domy te zbudowane są przeważnie z gliny w stylu chińskim, w ten sposób, że podwórze otacza wysoki mur, za którym znajdują się długie domy dla służby i świty, potem wchodzi się na drugie podwórze, znowu otoczone murem, i tutaj dopiero jest właściwy dom urzędnika.

Kilka świątyń znajduje się w twierdzy, są one jednak w stosunku do mongolskich bardzo ubogie i mają w swym wnętrzu zaledwie po dwa lub trzy bóstwa. Najstarszą z nich jest świątynia Guan-di, w której podwórzu znajdowały się magazyny i składy broni. Przy świątyniach nie ma klasztorów, a lamowie buddyjscy przyjeżdżają co pewien czas ze stepów odprawiać nabożeństwa i składać ofiary.

Dokładne oznaczenie daty założenia Ulasutaju jest nader trudne, z całą jednak pewnością twierdzić można, że stało się to w początkach XVIII w., w czasie wojen Mandżurów i Mongołów z Ölötami: gdyż w tym czasie Mandżurowie zbudowali w Mongolii szereg twierdz tak na pograniczu Dżungarii, jak i we wnętrzu kraju. Wedle podań mongolskich twierdza ulasutajska znajdowała się początkowo nad rzeką Tamir, co potwierdza kronika Erdenin-eriche, w której notowano pod datą 1759 roku rozkaz Domu Mandżurskiego przeniesienia twierdzy Ulasutaj znad Tamiru nad rzeczkę Ulasutaj[24] (obecna nazwa: Bogdyn-goł).

---

[23] Dorczi-dzurgan – urzędnik chiński zajmujący się tylko sprawami Chińczyków w Mongolii. Mongoł-dzurgan – urzędnik chiński zajmujący się tylko sprawami wynikłymi ze sporów między Chińczykami i Mongołami.

[24] H. Consten w swej książce *Weidenplätze der Mongolen* twierdzi, że znalazł ruiny dawnego Ulasutaju w piaskach Gobi.

Twierdza Ulasutaj była siedzibą dziań dzunia głównodowodzącego siłami zbrojnymi, walczącymi z zachodnimi Mongołami.

W drugiej połowie XVIII w., gdy przycichła w Mongolii wojenna zawierucha, znaczną część wojsk odesłano do Chin i wtedy wojskowa władza głównodowodzącego spadła do minimum. Ulasutajski dziań dzuń został mianowany chińskim namiestnikiem Chałchy, a także zwierzchnikiem administracyjnym dwóch zachodnich ajmaków: Sain-Nojon-chana i Dżasaktu-chana; wschodnimi ajmakami: Cecen-chana i Tuszetu-chana zawiadywali od 1786 r. ambanowie (namiestnicy) zamieszkali w Urdze. Amban ulasutajski rządy swe sprawował przy pomocy saitów i dargów (przewodniczących sejmów) ajmacznych. Jako centrum administracji całej Chałchy odgrywał Ulasutaj ważną rolę do 1911 r., tj. do czasu oddzielenia północnej Mongolii od Chin i przeniesienia całej administracji do Urgi.

Do 1921 r. twierdza Ulasutaj była tylko rezydencją ambana rządzącego dwoma zachodnimi ajmakami, ale już tylko pod kierownictwem Urgi.

W oddaleniu prawie półtora km od twierdzy rozciąga się miasto handlowe złożone z dzielnic: chińskiej, europejskiej i mongolskiej. Trudno by właściwie rozdzielić dwie pierwsze dzielnice, gdyż i w jednej, i w drugiej mieszkają, zarówno Chińczycy, jak i Europejczycy, jednakże w majmaczenie chińskim jest zaledwo kilka domów kolonistów rosyjskich, reszta ich grupuje się przy długiej ulicy zaopatrzonej z dwóch przeciwległych stron w bramy. Kilka dosyć szerokich uliczek krzyżuje się w mieście, umożliwiając względnie dobrą komunikację. Rosyjskie domy handlowe prowadziły przeważnie operacje hurtowe, kupując u Mongołów konie, bydło, barany, wełnę, sierść wielbłądzią i skóry, odsyłając je już to przez Kobdo do Bijska, juz przez Kiachtę do Irkucka. Bardzo mały procent zakupów rosyjskich kierowano drogą karawanową przez Kałgan do Tiensinu, z linii tej korzystały głównie wielkie firmy handlowe chińskie.

Do doskonale prosperujących firm rosyjskich zaliczano: Centro-Sojuz, Szwecowa, Budunowa i wiele innych, a między nimi także firmę amerykańską, której pełnomocnikiem był Polak, p. Stanisław Błoński.

Cały majątek Centro-Sojuza, liczony na wiele setek tysięcy łan srebra, w towarach i surowcu, został skonfiskowany przed moim przybyciem do Ulasutaju przez Kazancewa, na rzecz formujących się przeciwbolszewickich oddziałów.

O życiu intelektualnym trudno by mówić. Koloniści rekrutowali się przeważnie z kupców, chcących jak najprędzej zrobić majątek i jedynym ich celem były dobre transakcje handlowe. Poczta i telegraf, funkcjonujące przedtem względnie dobrze, przestały działać z chwilą wybuchu rewolucji rosyjskiej, pozbawiając kolonistów gazet, książek, a nawet wiadomości o rodzinach pozostawionych w Rosji. Wielki napływ uciekinierów nie podniósł bynajmniej kulturalnego życia kolonii, były to bowiem ptaki wędrowne, zniechęcone ciężkimi przeżyciami i nieraz wykolejone moralnie. Ogólna liczba stale w Ulasutaju zamieszkałych Rosjan nie wynosiła setki.

Kolonia chińska licząca około 3000 ludzi mieściła się w kilkuset domkach i przedstawiała najróżnorodniejsze warstwy społeczne „Środkowego Państwa". Niezmiernie bogate firmy kałgańskie, pekińskie i urgińskie miały tu swych przedstawicieli, prowadzących handel przy pomocy całego sztabu doskonale wytresowanych pomocników, zawsze usłużnych, cierpliwych i uśmiechniętych. Właściciele sklepów lub ich pełnomocnicy, stanowiący rodzaj arystokracji kupieckiej, chodzili odziani w długie czarne jedwabne chałaty, pielęgnowali niezmiernie długie paznokcie u rąk, zajmując się jedynie kontrolowaniem ksiąg handlowych i przyjmowaniem gości, pomocnicy ich od rana do nocy siedzieli w sklepach lub jeździli po stepach, sprzedając w jurtach towar albo zbierając między Mongołami długi. Drugą kastę tworzyli: lekarze-aptekarze, faktorzy itp. i każdy z nich miał na drzwiach swego domu długie, czerwone pasy papieru z wypisanymi na nich filozoficznymi sentencjami. Trudno by jednak porównywać ich z naszymi specjalistami, bo lekarz chiński był zarazem astrologiem, aptekarz pirotechnikiem, a między lekarstwami miał suszone serca orłów i obok różnych pigułek robił też amulety.

Odrębną kastę tworzyli rzemieślnicy: jubilerzy, krawcy, stolarze itp. Potem następowali ogrodnicy i młynarze, a wreszcie zwykli ro-

botnicy, kulisi, gnieżdżący się po kilkunastu w małych, nędznych domkach, żywiąc się byle czym, zadowalając się choćby najmniejszym zarobkiem.

Domy firm handlowych i kupców chińskich znajdują się zwykle wewnątrz podwórza, otoczonego murem z gliny lub wysoką palisadą, natomiast sklepy detaliczne mają wejście od ulicy, ozdobione długimi wywieszkami, na których złotymi lub czarnymi hieroglifami wypisane jest imię kupca i różne pozdrowienia. Wnętrze sklepu zastawione jest półkami z towarem, a w gablotkach znajdują się rzeczy cenniejsze lub artykuły zbytku. W każdym prawie sklepie znajduje się kan, na którym stoi niewielki stoliczek, a przed nim na trójnogu z węglami – czajnik z herbatą. Tutaj to kupiec przyjmuje „dobrego" gościa, częstując go herbatą, ciastkami i fajką. Ze sklepu wchodzi się do mieszkania głównego subiekta, urządzonego bardzo skromnie. W osobnym budynku wewnątrz podwórza znajdują się składy, kuchnie i mieszkania dla młodszych pomocników, dalej zaś domek właściciela firmy lub jego pełnomocnika. Mieszkanie to składa się zwykle z kilku pokoików urządzonych w stylu chińskim, pełnym mat, parawaników i mebelków z laki. Bardzo często widzi się w tych mieszkaniach ogromną liczba zegarów przeróżnych wielkości i form, przy czym każdy prawie zegar wskazuje inną godzinę.

Oprócz sklepów posiadał jeszcze Ulasutaj kilka jadłodajni chińskich specjalnie dla kulisów, dwie małe kumirnie, z których jedna zniszczona została w 1921 r., i parę płuczkarni wełny.

Mongolska dzielnica, tzw. Kaszan, zajmuje niewielką przestrzeń, bardzo gęsto zastawioną jurtami. Bajszynów (tak nazywają Mongołowie domy gliniane, drewniane lub kamienne) nie ma tu wcale. Kaszan zamieszkują przeważnie Mongołki zajmujące się prostytucją, nieuważaną w Mongolii za coś hańbiącego. Mają się one zwykle bardzo dobrze, głównymi bowiem gośćmi są tutaj Chińczycy, którzy do Mongolii przyjeżdżają bez żon. Bardzo często mieszkanka Kaszarni, zebrawszy sobie posag, wychodzi dobrze za mąż, często staje się długoletnią towarzyszką jakiegoś kupca chińskiego i zamieszkuje w jego domu. Ogólna liczba mieszkańców tej dzielnicy nie przekracza 400 osób.

O higienie, czyszczeniu ulic itp. europejskich wymysłach nie miał Ulasutaj pojęcia, tutaj wszystkie odpadki wyrzucało się na ulicę, a bardzo często widać było Mongołów obojga płci załatwiających swe potrzeby fizjologiczne wprost na ulicy, siadając w kuczki, przy czym towarzyszący „jej" lub „jemu", spokojnie rozmawiając z daną osobą, oczekiwali końca.

Toteż przymusowe czyszczenie i polewanie ulic, palenie odpadków, wprowadzone przez Kazancewa, wywołało początkowo ogromne zdumienie i silny protest.

Plagą miasta były bezdomne psy, wałęsające się gromadnie i chciwie rzucające się na każdy odpadek. W dzikim, ponurym jarze skalnym, oddalonym od Ulasutaju o trzy km, znajdowało się mongolskie cmentarzysko, gdzie wywożono trupy zmarłych w mieście. W szczelinach skalnych okalających cmentarzysko gnieździły się setki półdzikich psów pełniących rolę grabarzy. Przejeżdżać wieczorem w okolicy tego miejsca było naprawdę niebezpiecznym, gdyż głodne zwierzęta rzucały się na konie, opowiadano również o pożarciu przez nie kilku osób, nieostrożnie wieczorem zdążających wąwozem do miasta.

XVI. AUTOMOBILEM DO SAMGAŁTAJ-CHURE

W pięć dni po wyjeździe atamana Kazancewa przyjechał do nas samochodem z Arszanu pewien kolonista, zaś w dwa dni później, tym samym samochodem ataman Sierpas, w towarzystwie kolonistów i moim, wyruszył w podróż do Samgałtaj-chure, by rozpocząć układy z książętami Mongolii.

Jadąc, trzymaliśmy się kierunku wskazanego nam przez serdecznego przyjaciela atamana, Wołkowa, u którego spędziliśmy pierwszą noc naszej podróży. Pomimo jednak wielkiej ostrożności, wpadliśmy w tak głębokie lotne piaski, że we czterech nie byliśmy w stanie wydźwignąć auta, które coraz bardziej zapadało się w piaszczystą toń. Dopiero sprowadzeni na ratunek Mongołowie, przy pomocy lin, wprzęgli swe sarłyki, a te wyrwały auto z piasku jak zabawkę. Nie chcąc po raz drugi narażać się na podobną przygodę, wzięliśmy ze sobą kilku Mongo-

łów z sarłykami, które ciągnęły nas przez całą piaszczystą przestrzeń.

Przejeżdżając przez rzeczkę płynącą wśród piasków, ujrzałem po raz pierwszy w życiu pewien gatunek gęsi, które gniazda swoje zakładają na drzewach i tam znoszą jaja. Po wylęgnięciu się piskląt, matki każdego ranka biorą do dziobów swoje małe i zlatują z nimi do wody, wieczorem zaś w ten sam sposób odnoszą je do gniazd.

Po przebyciu piasków jechaliśmy szybko po równej, twardo ubitej drodze. Dojechawszy do pierwszego urtonu, mieliśmy zabawną przygodę z miejscowymi Mongołami, którzy na widok niewidzianego nigdy samochodu skoczyli na konie i pognali w step.

W opuszczonych przez mieszkańców jurtach znaleźliśmy tylko jedną starą, podobną do wiedźmy Mongołkę, i ona na widok auta rzuciła się na ziemię, krzycząc tak, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry.

Nie namyślając się długo, siedliśmy do auta i zaczęliśmy gonić Mongołów po stepie. Dopędziwszy jednego z nich, zastrzeliliśmy mu konia, jeźdźca zaś przemocą wepchnęliśmy do samochodu. Mongoł początkowo bronił się i krzyczał, wkrótce jednak oswoił się z położeniem i jazda podobała mu się niezmiernie. Wyległe z jurt kobiety i dzieci spoglądały na nas bardzo nieufnie, niebawem jednak zachęcone odwagą swych mężów i ojców, w coraz bardziej natrętny sposób zaczęły wykazywać swe zainteresowanie naszą maszyną. Aby ich powstrzymać od zbytniej poufałości, Jerin nacisnął trąbkę sygnału, co wywołało wprost niespodziewany skutek.

Otaczający nas tłum w panicznej trwodze rzucił się z krzykiem do ucieczki, popychając się i przewracając.

Wyruszyliśmy z urtonu około 4 po południu. Dojechawszy do następnych piasków, musieliśmy czekać na pomoc Mongołów, którzy jeszcze nie nadjechali. Dla zabicia czasu, poszedłem z atamanem na polowanie na dzikie gęsi.

Wieczorem nadjechali Mongołowie z sarłykami i po upływie godziny byliśmy znowu na twardym stepie.

Na następnym urtonie spotkaliśmy transport z zapasową benzyną dla naszego auta, wiezioną na tzw. arbach, czyli dwukołowych wózkach do Changelcyku i Cagan-tołogoju, Przyzna-

ję, że miałem obawę, iż benzyna, wieziona na tak prymitywnie zbudowanych wehikułach, jakimi są arby, nie dojedzie do miejsca przeznaczenia.

Książęta mongolscy używają do podróży lektyk. Są to również dwukołowe ekwipaże, lecz koła ich są obciągnięte gumą, osie zaś żelazne i bardzo szerokie. Wewnątrz lektyka wybita jest jedwabiem, na zewnątrz zaś wymalowana farbą, jaka przysługuje randze jej właściciela, więc chan ma żółtą, książę zaś czerwoną. Uroczyste podróże książąt odbywają się w Mongolii bardzo wystawnie. Na przedzie jedzie służba w odświętnych strojach, prowadząc konie, objuczone zapasami żywności. W odległości kilku kilometrów posuwa się książę w otoczeniu dworu i urzędników choszunu, za nimi zaś księżna, księżniczki i damy dworu. Przyboczna straż, uzbrojona w karabiny i szable, zamyka pochód.

Orszak taki wygląda bardzo malowniczo ze względu na bogactwo stroju uczestników orszaku oraz na niezmierną liczbę srebrnych ozdób, którymi Mongołowie stroją swe konie.

Z urtonu wyjechaliśmy koło godz. 9 rano. Po drodze wymijaliśmy setki tabunów koni i owiec, a także stada antylop i dropi.

Jadąc stepem, widziałem także szczelinę, wytworzoną przez trzęsienie ziemi w 1904 r. Szczelina ta ma 2 sążnie szerokości, głębokość zaś jej wynosi w niektórych miejscach kilka sążni. Pęknięcie to przecina step na przestrzeni 500 km i przechodzi przez dno jeziora, które w czasie trzęsienia ziemi znikło zupełnie z powierzchni.

Wkrótce byliśmy już na urtonie Dżur, położonym nad rzeką Teś. Ta tworzy naturalną granicę między Urianchajem i Mongolią. Jest to rzeka duża i bystra. Koło urtonu Dżur Teś ma trzy odnogi, które rozlewając się na płaszczyznach, tworzą stawy, zamieszkane przez niezliczoną ilość błotnego ptactwa. Udało mi się zastrzelić kilka ptaków, których nazwy nikt z towarzyszących mi osób nie umiał wymienić. Po usmażeniu ptaków przekonałem się, że były one dużo smaczniejsze od bekasów.

Na drugi dzień rano, przy pomocy kilkunastu wielbłądów i koni, przewieziono nasze auto na drugi brzeg rzeki. Po zmontowaniu maszyny ruszyliśmy dalej i przed zachodem słońca byliśmy już

w Cagan-tołogoj. Tutaj nad brzegiem Tesi rozłożyła obóz cała nasza intendentura.

Żołnierze mieszkali w namiotach i wypożyczonych z sąsiedniego urtonu jurtach. Miejscowi Sojoci, w przeciwieństwie do Mongołów, odnosili się do Europejczyków bardzo nieżyczliwie. Ażeby zapobiec ciągłym gwałtom i rabunkom, wzięto do niewoli księcia tutejszego choszunu i trzymano go jako zakładnika.

Pierwsza część drogi z obozowiska okazała się tak niebezpieczna i trudna do przebycia, że musieliśmy wziąć ze sobą kilku żołnierzy dla naprawy traktu.

Przebywszy najniebezpieczniejsze miejsca, wyjechaliśmy na gładki, równy step i wkrótce byliśmy już w urtonie Dzindzilik, położonym nad rzeką Iszun, stanowiącą dopływ Tesi. Po szczęśliwym przedostaniu się na drugi brzeg tej niewielkiej, lecz głębokiej i bystrej rzeki, skierowaliśmy się w stronę Samgałtaju.

Zaraz za rzeką spotkaliśmy żołnierzy, wysłanych przez por. Popołzuchina; mieli oni wskazać nam drogę do obozu.

Oddział obozował w kotlinie, przez którą przepływał potok. Przy wjeździe do obozu przywitał nas cały sztab oficerski z por. Popołzuchinem na czele, żołnierze zaś sprezentowali broń. Ataman zaraz po przybyciu udał się na spoczynek, ja zaś całą noc przegawędziłem w towarzystwie oficerów. Z rozmów tych zdołałem wywnioskować, że oficerowie niebardzo ufali swemu dowódcy por. Popołzuchinowi i mieli mu za złe, że mimo bliskiego sąsiedztwa bolszewików nie rozsyłał patroli dla zbadania okolicy.

Opowiadano mi również, iż przed kilkoma dniami strzały wartowników spłoszyły dwóch nieznanych jeźdźców, podkradających się nocą pod obóz. Ślady podków wykazały, że mogli to być jedynie bolszewicy, ponieważ Sojoci i Mongołowie koni nie kują. Porucznik Popołzuchin, gdy mu o tym zameldowano, nie pozwolił badać śladów i przeszedł nad całą sprawą do porządku dziennego. Oficerowie prosili mnie, aby o wszystkich tych szczegółach poinformować atamana.

Nazajutrz rano przyjechał z Samgałtaju najwyższy kapłan Urianchaju, miejscowy da-lama, który spędził kilka godzin na poufnej rozmowie z atamanem.

Stosownie do prośby oficerów, wtajemniczyłem atamana w stosunki, panujące w obozie, dodając od siebie, że takie postępowanie dowódcy świadczy albo o zdradzie, albo w najlepszym wypadku o zupełnej nieznajomości taktyki wojennej. Ataman przyrzekł sprawę wyjaśnić po powrocie z Samgałtaju, dokąd wybierał się na drugi dzień.

Nazajutrz rano siedziałem z atamanem przy śniadaniu. Za chwilę mieliśmy jechać do Samgałtaju i ataman naglił mnie, abym prędzej kończył się ubierać. Obóz był pusty, gdyż piechota pod dowództwem Popołzuchina wyszła na ćwiczenia, Kozacy zaś zajęci byli ścinaniem żerdzi na zagrody dla koni. Nagle w pobliżu rozległo się kilka wystrzałów. Chwyciłem za broń, lecz kolonista J. uspokoił mnie, mówiąc, że to piechota strzela do celu.

W tej samej jednak chwili ponowny huk rozdarł powietrze. Kilka kul ze świstem przeleciało nad obozem, przeszywając dach naszej jurty.

Teraz już nie było wątpliwości co do przyczyny strzałów. To bolszewicy atakowali obóz.

Kozacy, dopadłszy obozowiska, chwycili za broń i rozsypawszy się w tyralierę, poczęli prażyć wroga. Bolszewicy kilkakrotnie rzucali się do ataku, lecz za każdym razem, natrafiwszy na mężny opór, zmuszeni byli do cofnięcia się.

Pomimo dzielnego stanowiska żołnierzy zagrażało nam przecież ogromne niebezpieczeństwo: brakowało naboi.

Nie namyślając się długo, ataman postanowił jechać natychmiast autem, razem ze mną, do składów nad Irsunem po pomoc i amunicję. Auto prowadził J. Jakkolwiek droga była falista, bolszewicy dostrzegli samochód i zasypali nas kulami, raniąc w nogę atamana. W niespełna pół godziny byliśmy już nad rzeką. Tutaj pierwszemu spotkanemu Mongołowi poruczyliśmy sprowadzić konie, gdy jednak po upływie pewnego czasu ani Mongoła, ani koni nie było widać, ataman rozkazał przejechać przez wodę autem. Niestety, w połowie rzeki woda zalała motor – samochód drgnął parę razy i stanął na miejscu. Nie było rady. Trzeba było brnąć na piechotę przez wodę, która sięgała wyżej pasa. Po wydostaniu się na drugi brzeg, pobiegliśmy co sił starczy do urtonu, odległego od brodu o 5 wiorst.

Wkrótce potem do naszego obozu wyjechało pod wodzą esauła Smirnowa 90 zbrojnych ludzi, wioząc ze sobą skrzynki z nabojami.

Ataman pozostał w urtonie, ja zaś z J. udałem się nad rzekę, by przy pomocy konnych Sojotów wyciągnąć auto z wody. Nie poszło nam to łatwo, gdyż Sojoci początkowo odmówili swej pomocy i dopiero na skutek przyłożenia im rewolwerów do skroni auto znalazło się na przeciwległym brzegu. Po wyjęciu i rozebraniu zamokniętego magneta zostawiliśmy na straży pomocnika, sami zaś wróciliśmy do urtonu po benzynę.

W urtonie zastaliśmy już kilkunastu rannych żołnierzy, od których dowiedzieliśmy się, że bolszewicy zajęli obóz, resztki naszego oddziału cofnęły się nad rzekę Teś.

Postanowiliśmy więc spakować natychmiast, wszystkie znajdujące się w składach intendentury zapasy i wywieźć je do Cagan-tołogoju.

Przy ładowaniu bagażu musieliśmy użyć siły przy rekwizycji wołów i koni, gdyż Sojoci nie chcieli ich dać dobrowolnie. Zaopatrzywszy się w benzynę, poszedłem z J. do opuszczonego przez nas auta, lecz tutaj, ku naszemu zdumieniu, nie zastaliśmy pozostawionego pomocnika, a wraz z nim znikł i magnet. Po upływie godziny zjawił się pomocnik, niosąc tą niezbędną część maszyny, okazała się ona nie do użytku, gdyż pomocnik uciekając zgubił niektóre jej części.

Aby ratować maszynę, zdecydowaliśmy się jechać do Cagan-tołogoju po magnet z ciężarowego auta. Przyjechaliśmy tam w nocy, lecz nie zastaliśmy już nikogo, gdyż z rozkazu atamana wywieziono stąd wszystko, co się dało, do urtonu Dzur. Po krótkim wypoczynku, wyruszyliśmy więc dalej w towarzystwie kilkunastu Kozaków, którzy zdołali zbiec z zajętego przez bolszewików obozu. Z opowiadań tych Kozaków dowiedzieliśmy się, że z naszej strony poległo bardzo wielu żołnierzy i oficerów. Niektórzy z nich, ciężko ranni, zastrzelili się sami z obawy przed bolszewicką niewolą. Co się stało z Popołzuchinem i piechotą, nikt nie wiedział.

Jadąc do urtonu Dzur, spotkaliśmy oddział uzbrojonych Sojotów, dowodzony przez kilku Rosjan. Oddział ten chciał nas zabrać do niewoli, dzięki jednak ręcznemu karabinowi maszynowemu, odparliśmy atak. Ze znalezionych przy trupach dokumentów prze-

konaliśmy się, że Rosjanie, prowadzący oddział, mieli za zadanie wzniecać powstania wśród Sojotów i podburzać ich przeciw Mongołom i kolonistom rosyjskim,

W Dzur zastaliśmy atamana i 80 żołnierzy z obozu, z tych 22 rannych; odesłano ich na wielbłądach do Ulasutaju.

W gąszczach otaczających obóz znajdowało się wielu ciężko rannych żołnierzy, którzy byli narażeni na dobicie przez Sojotów. Zorganizowaliśmy więc naprędce ekspedycję, złożoną z 20 ludzi, i wziąwszy ze sobą zapasowe konie, ruszyliśmy z powrotem w stronę Dzindzilik, trzymając się lewego brzegu rzeki Teś. Ataman z resztą zdrowych żołnierzy, wyruszył do Changelcyku, gdzie mieliśmy się spotkać po skończonej wyprawie. Nie tracąc nadziei, że uda nam się jeszcze auto przyprowadzić do porządku, wzięliśmy ze sobą naprawiony magnet.

XVII. PO PIERWSZEJ POTYCZCE

Jechaliśmy, trzymając się nadbrzeżnych wiklin, w których można się było z łatwością ukryć. Kopyta koni obwiązaliśmy szmatami, by nie zostawiały śladów. Wreszcie, po przepłynięciu na drugi brzeg rzeki, podeszliśmy, z zachowaniem wszelkich ostrożności, do obozowiska.

Straszny widok przedstawił się naszym oczom.

Miejsce, gdzie uprzednio stały namioty, pokrywały teraz góry węgla i popiołu.

Wśród zgliszcz i rumowisk leżały ludzkie ciała, obdarte całkowicie z odzieży. Przy słabym płomyku ślepej latarki, oglądaliśmy trupy, chcąc się przekonać, kto ze znajomych został zabity, lecz twarze i ciała zabitych były tak zmasakrowane, że bardzo trudno było kogokolwiek poznać.

Głowy niektórych ofiar były formalnie zmiażdżone uderzeniami kolby lub posiekane szablą. Większa część trupów miała na nogach powycinane kawały skóry w kształcie lampasów kozackich. Sądząc z licznych śladów zakrzepłej krwi, doszliśmy do przekonania, że torturowano w ten sposób ludzi żywych, albowiem na trupach, ugodzonych w głowę lub serce, nie widać było śladów znęcania się.

Przy wejściu do obozowiska, spłoszyliśmy kilka wilków, dla których, zaiste, królewską przyszykowano tutaj ucztę.

Kozacy nasi na widok tak ohydnie zmasakrowanych i pohańbionych ciał towarzyszów poprzysięgli straszną zemstę bolszewikom i ich przywódcom.

Po wykopaniu prowizorycznej mogiły i pochowaniu zabitych, których było 42, ruszyliśmy w powrotną drogę, ukrywając się, tak jak i poprzednio, w rosnących nad brzegami wiklinach. Wtem niespodziewanie w kilku punktach jednocześnie buchnęły w górę stupy dymu. To Sojoci, wyśledziwszy naszą ekspedycję, informowali w ten sposób bolszewików o miejscu naszej kryjówki.

Gdyśmy przepłynęli już na lewy brzeg rzeki, zauważyliśmy kilku jeźdźców, pędzących od strony jurt sojockich, równocześnie zaś z lasu, położonego o 3 kilometry od Tesi, wysunęła się gromadka konnych. Byli to bolszewicy. Położenie nasze stawało się krytyczne. Bolszewicy, podzieliwszy się na dwie grupy, zbliżali się półkolem do wody. Korzystając z gęsto zarośniętego brzegu i gwałtownego w tym miejscu skrętu rzeki, przepłynęliśmy na wysepkę, której chaszcze chroniły nas znakomicie przed wzrokiem wrogów. W czasie, gdy bolszewicy przeprawiali się na lewy brzeg rzeki, chcąc widocznie rozpocząć tam poszukiwania, gromadka nasza, nie mając do stracenia ani jednej chwili, opuściła wysepkę i przepłynąwszy na prawy brzeg Tesi, poczęła szybko oddalać się od wody, kryjąc się, w miarę możności, za nierównościami falistego gruntu. Nagle do uszu naszych dobiegł tętent konia i w tej samej chwili jeden z Kozaków, stojących na straży, przygalopował z raportem, że kilku Sojotów i dwóch Rosjan pędzi od brodu do Samgałtaju. Byli to niechybnie kurierzy, których za wszelką cenę należało schwycić, aby się dowiedzieć, z czym i do kogo jadą. Ukrywszy się w jarze, pozwoliliśmy jeźdźcom minąć nas, po czym, co koń wyskoczy, puściliśmy się za nimi w pogoń. Nieomal wszyscy kurierzy zginęli od szabel kozackiej, jednego tylko Sojota udało nam się, przy pomocy lassa, wziąć do niewoli.

Nie mając chwili do stracenia, przywiązaliśmy jeńca do zapasowego konia i z całych sił popędziliśmy w stronę lasu. Bolszewicy, dostrzegłszy z daleka naszą ucieczkę, zasypali nas gradem kul, ze

względu jednak na dzielącą nas odległość oraz charakter gruntu, kule te nie wyrządziły nikomu krzywdy.

Przeprawiając się przez rzekę Irsun, znaleźliśmy ciężko rannego młodego kolonistę Ł., który należał do straży honorowej, eskortującej kapłana da-lamę z obozu do Samgałtaju.

Dom, gdzie Ł. wraz z resztą straży otrzymał mieszkanie po odwiezieniu da-lamy, leżał na trakcie do obozowiska.

W nocy obudził Kozaków tętent koni i głośne rozmowy, prowadzone w języku rosyjskim, w których rozmawiający nazywali się wzajemnie „towarzyszami". Towarzysze byli widocznie dobrze poinformowani o miejscu pobytu straży, gdyż podjechali wprost do wrót domu. Wówczas Kozacy zasypali nieproszonych gości gradem wystrzałów, tak, że część napastników zwaliła się na ziemię, część zaś wycofała się z pola walki, krzycząc:

– Towarzysze, pojedziemy teraz do Popołzuchina, tych zostawimy na później.

Kolonista Ł., chcąc ostrzec obóz o grożącym mu niebezpieczeństwie, ruszył z Samgałtaju na Dzindzilik, gdzie wpadł w ręce bolszewików, ci znęcali się nad nim w nieludzki sposób, po czym jeden z nich strzelił mu w głowę, lecz go nie zabił. Kula przeszła między szczękami, wybijając kilka zębów. Po przyjściu do przytomności Ł. czas jakiś szedł brzegiem Tesi w stronę Cagan-tołogoju, wreszcie padł zemdlony, w tym miejscu, gdzieśmy go odnaleźli.

Przejeżdżając obok miejsca, gdzie stało niedawno nasze auto, znaleźliśmy tylko kupę gruzów. Ogień, podłożony zbrodniczą ręką, wywołał widocznie eksplozję rezerwuarów, gdyż całe auto było zdemolowane w okropny sposób.

W urtonie Dzur spotkaliśmy porucznika Iwanowa i kilku żołnierzy; wszyscy byli lekko ranni. Por. Iwanow był naocznym świadkiem początku napadu bolszewickiego na obóz. Słowa jego potwierdziły nam domysły co do por. Popołzuchina, który okazał się nikczemnym zdrajcą.

Wyprowadziwszy z obozu piechotę w zamiarze niby to strzelania do celu, Popoizuchin oddalił się od żołnierzy na czas dłuższy, wreszcie wrócił, prowadząc ze sobą kilku konnych. Podszedłszy do żołnierzy, rozkazał im oddać broń przyprowadzonym przez siebie

towarzyszom. Zdumieni żołnierze, widząc na piersiach „towarzyszów" czerwone gwiazdy, nie mogli w pierwszej chwili zrozumieć, co ma oznaczać taki rozkaz z ust ich dowódcy. Pierwszy zorientował się porucznik Iwanow i zakomenderował krótko: „pal". Rozpoczęła się strzelanina, podczas której większa część piechoty zginęła. Porucznik Iwanow wskutek utraty krwi stracił przytomność, a przyszedłszy do siebie, usłyszał słowa Popołzuchina:

– Teraz, towarzysze, uderzymy na obóz, w którym nie ma nikogo, prócz Sierpasa i jego pomocników!

Dopiero w urtonie mogliśmy przejrzeć dokumenty, znalezione przy jednym z zabitych przez nas bolszewików.

Między innymi papierami był raport o boju pod Dzindzilikiem, w którym bolszewicy, przyznając się do poważnych strat, wynoszą pod niebiosa zasługi swej „doblesnej armii". Raport ten adresowany był do pełnomocnika sowieckiego w Urianchaju, Safianowa, podpisany zaś przez Filipowa, komisarza partyzanckiego urianchajskiego rewolucyjnego oddziału. W innych papierach znaleźliśmy plany projektowanego napadu na Changelcyk oraz sprawozdanie z mobilizacji Sojotów.

Wzięty do niewoli Sojot początkowo nie chciał nic zeznawać i dopiero po zastosowaniu represji wyśpiewał wszystko, co wiedział. Był to, jak się okazało, szpieg bolszewików, będący na służbie u Popołzuchina. Dowiedzieliśmy się od niego, że bolszewicy stracili podczas napadu na obóz bardzo wielu ludzi, lecz wszystkich wywieźli do Atamanówki. Jeniec zdradził również projektowany plan napadu na atamana Kazancewa, który w obecnej chwili znajdował się jakoby na Dżedanie i prowadził układy z Chun-nojonem. Szpiega powieszono nad brzegiem Tesi, po czym ruszyliśmy w stronę Bel-bułuku.

Przejeżdżaliśmy przez miejscowość górzystą, lecz niezwykle urodzajną. Mimo wczesnej wiosny trawa na pastwiskach sięgała koniom do kolan. Mongołowie mieszkają tutaj nie pojedynczo, lecz tworzą całe osady, składające się nieraz z kilkuset jurt. W kotlinach pasą się nieprzeliczone stada baranów i sarłyków.

Przyjmowano nas tutaj bardzo życzliwie, ze względu zwłaszcza na młodego Ł., cieszącego się wśród Mongołów niezmierną sym-

patią. Po upływie trzech dni byliśmy w Changelcyku, gdzie zastaliśmy już atamana Sierpasa, rozkwaterowanego w domu Centro-Sojuza.

Spodziewając się lada dzień napadu bolszewików, spędzaliśmy czas na fortyfikowaniu wzgórz i czynieniu odpowiednich przygotowań do przyjęcia wrogów.

Któregoś dnia zjawił się niespodzianie konny posłaniec z Utankomu od atamana Kazancewa z rozkazem wyjazdu do Ulasutaju. Uprzednio jednak należało zbadać, czy miasto nie jest już zajęte przez bolszewików.

Posłaniec opowiadał, że mimo pozornie przyjaznych stosunków z Sojotami którejś nocy na śpiący obóz atamana napadł (w rabunkowych celach) wyśmienicie zorganizowany oddział sojocki pod dowództwem bolszewików.

W walce, która się wywiązała, ataman stracił dużo towarów i kilku ludzi, między innymi hrabiego Borcha.

Znakomita organizacja wszystkich tego rodzaju eskapad świadczyła najwyraźniej, że w partyzanckiej armii przeciwbolszewickiej poza Popolzuchinem było jeszcze wielu innych zdrajców, pracujących dla dobra nieprzyjaciół.

Prosiłem atamana Sierpasa, by poruczył mi misję zbadania bezpieczeństwa drogi do Ulasutaju. Wyjazd mój wszakże nie doszedł do skutku, gdyż do Changelcyku przybył oddział Czacharów, służących w lotnym dywizjonie konnej azjatyckiej dywizji barona Ungerna. Oddział ten został wysłany z Ulasutaju, w celu zebrania informacji o miejscu postoju naszych wojsk. Od dowódcy Czacharów, młodego Kozaka, dowiedzieliśmy się, że esauł Bezrodnych znajduje się w danej chwili w Ulasutaju, a miasto to strzeżone jest przez mongolski dywizjon z esaułem Wandałowem na czele. Fałszywą pogłoskę o zajęciu Ulasutaju przez bolszewików rozsiewali jacyś nieznani ludzie, widocznie w celu wywołania popłochu wśród mobilizowanych Mongołów.

XVIII. POWRÓT DO ULASUTAJU

Wyjechałem z Changelcyku w towarzystwie Czacharów i kolonisty Zurawlewa, aby przygotowywać wielbłądy i rozstawne konie na urtonach.

Dzięki uprzejmości księcia-gubernatora udało mi się zapewnić przejazd całemu naszemu oddziałowi.

Po upływie dwóch dni byłem już w Ulasutaju. Tutaj dowiedziałem się na samym wstępie, że ataman Kazancew przyjechał z Kobdo i w danej chwili bawi u esauła Wandałowa.

Obóz dywizjonu mongolskiego znajdował się za rzeczką Ulasutaj. Pośrodku dużego placu stała obozowa ładna jurta, przed którą pełniło straż kilku mongolskich żołnierzy. Wszedłszy do jurty, ujrzałem atamana Kazancewa, siedzącego obok wysokiego Buriata, ubranego w jedwabny książęcy strój z naszytymi na ramionach epoletami ze swastyką. Na piersi miał kilka rosyjskich orderów. Był to, jak się okazało, esauł Wandałow. Po przedstawieniu mnie esaułowi zdałem Kazancewowi raport z mej podróży oraz walki pod Dzindzilikiem. Zauważyłem, że Wandałow skrzętnie zapisywał niektóre z opowiadanych przeze mnie szczegółów.

W Ulustaju znajdowało się wielu naszych rannych, których umieszczono w obszernym domu pod opieką sióstr miłosierdzia.

Ulasutaj żył teraz pod wrażeniem ciężkiej ręki sądu polowego i ciągłych śledztw.

Esauł Bezrodnych wykrył tutaj organizację bolszewicką.

Z papierów znalezionych podczas rewizji u jednego z magazynierów firmy Szwecowa dowiedziano się, że na czele spisku stał kolonista Burdukow, który pieniądze i dyrektywy otrzymywał od sowieckiego sztabu generalnego w Irkucku. O sprężystej działalności bolszewickiej placówki świadczył fakt, że spiskowcy byli w posiadaniu nazwisk oraz dokładnych rysopisów wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy uciekli z Rosji sowieckiej do Mongolii. W znalezionych papierach znajdował się również spis komunistycznych jaczejek, rozrzuconych po całej Mongolii.

Postanowiono wyłapać wszystkich członków bolszewickiej organizacji. Burdukow, przeczuwając niebezpieczeństwo, uciekł wraz z rodziną w kierunku zachodniej granicy.

Wysłana za nim pogoń skonstatowała, że udało mu się przejść granicę Mongolii w okolicach Bikon-murenu.

Przybyłych w tym samym czasie do Changelcyku z oddziałem atamana Sierpasa, urzędników Centro-Sojuza, wsadzono również do więzienia. Podczas rewizji, przy wszystkich aresztowanych znaleziono legitymacje komunistyczne wydane przez Burdukowa.

Śledztwo prowadzone było tajnie, żeby nie spłoszyć zawczasu pozostających na wolności komunistów. W tym samym czasie nadszedł z Urgi słynny i głośny rozkaz nr 15 barona Ungerna.

W rozkazie tym Ungern podawał do wiadomości ogółu przyczyny i kierunek organizowanej ofensywy przeciwko bolszewikom.

W jednym z paragrafów rozkazywał rozstrzeliwać wszystkich komunistów i komisarzy bolszewickich, znajdujących się w obrębie granic Mongolii lub na terenie działalności oddziałów swoich wojsk, jednym z najbardziej charakterystycznych punktów był ten, w którym baron polecał komendę miast mongolskich oraz intendentury wojskowe oddawać w ręce Polaków, o ile znajdą się oni w zajętych przez wojska barona placówkach i jeśli zgodzą się na przyjęcie ofiarowanych sobie funkcji.

Punkt ten, jak się później dowiedziałem z ust samego Ungerna, opracowany został przez prof. Ossendowskiego, który bawił podówczas w Urdze i był przez barona nad wyraz mile widziany. Ungern opowiadał mi, że wiedząc, iż prof. Ossendowski był już w Tybecie, chciał go wysłać z poselstwem do dalaj-lamy, lecz rodak nasz nie zgodził się na to i wyjechał do Chin, pozostawiając po sobie jak najlepsze wspomnienia.

Rozkaz barona kończył się zapewnieniem, że azjatycka konna dywizja będzie walczyć przeciw bolszewikom, aby uwolnić świat od komunistycznego szału.

Wobec powyższego rozkazu wszystkich aresztowanych komunistów stracono, dwóch z nich: buchaltera Centro-Sojuza z Ulasutaju i magazyniera firmy Szwecow rozstrzelano, jako byłych żołnierzy.

Atamani formowali nowe oddziały, oficerowie zaś zajęci byli szkoleniem rekrutów. Ja zajmowałem się przygotowaniem granatów ręcznych w specjalnie oddanym do mej dyspozycji domku, stojącym na uboczu, tuż nad rzeczką.

Po paru dniach pracy, w obecności całego personelu oficerskiego, urządziłem próbę fabrykowanych przeze mnie granatów, która wypadła doskonale. Ataman, zachęcony osiągniętymi przeze mnie rezultatami, dał mi kilkunastu ludzi do pomocy, polecając równocześnie przygotowanie w jak najkrótszym czasie kilku tysięcy sztuk pocisków.

Pewnego dnia przyszedł do mnie esauł Bezrodnych, prosząc, abym wziął udział w uroczystości przyjęcia Dżałchancy-gegena, ministra-premiera przy dworze Bogdo-gegena z Urgi i głównego radcy dworu dalaj-lamy z tybetańskiej Lassy.

W dniu przyjęcia dygnitarza zwolniłem z pracy wszystkich żołnierzy, sam zaś, ubrany w strój świąteczny, udałem się do obozu Wandałowa. Ulice miasta były czysto zamiecione, domy przybrane chorągwiami o barwach narodowych. Stu żołnierzy konnych czekało na gościa przed bramami miasta, zaś stu pieszych tworzyło szpaler, ciągnący się wzdłuż całej ulicy, aż do twierdzy, zamieszkałej ongiś przez chińskiego gubernatora.

Na podwórzu twierdzy zebrał się cały sztab oficerski z atamanami na czele, starostowie chińscy i rosyjscy, a także choszunni urzędnicy.

Koło godziny 4 po południu rozległy się salwy karabinowe, zwiastujące przyjazd gościa; nadjechał on w aucie, podarowanym mu przez barona Ungerna, w następnym zaś samochodzie jechali przyboczni pisarze Gegena. We wrotach twierdzy nastąpiło przywitanie dygnitarza, poczym Gegen udał się do wielkiej sali, gdzie miał się odbyć bankiet na jego cześć.

Podczas ceremonii przedstawiania Gegenowi całego zastępu oficerów oraz składania podarków przez delegacje kupców chińskich i kolonistów rosyjskich, obserwowałem z niezwykłym zajęciem zarówno samego dygnitarza, jak i otaczający go dwór.

Minister mimo sześćdziesięciu lat i siwych zupełnie włosów robił wrażenie młodego jeszcze człowieka.

Wrażenie to potęgowały jego ruchy, energiczne i stanowcze. Ubrany był w żółty jedwabny terłyk, haftowany w kwiaty. Na niezasłoniętej niczym piersi widniała mała srebrna puszka, w której znajdowały się błogosławieństwa od Chutuchty i dalaj-lamy. Ślicz-

ne, wąskie, rasowe ręce Gegena pokryte były bransoletami, zaś na serdecznym palcu widniał ogromny złoty sygnet z rubinem. Dwór ministra składał się przeważnie z duchownych, ubranych w żółte jedwabne terłyki oraz wysokie spiczaste czapki, zakończone barwnymi kutasami. Twarze ich były poważne i skupione.

Przy uczcie na pierwszym miejscu siedział Gegen, obok zaś niego dwaj esaule, którzy wystąpili w książęcych strojach, przysługujących im, jako gunom. Dalej siedzieli atamanowie, za nimi sztab oficerski.

Uczta złożona z wyśmienitych potraw, podanych na prześlicznych chińskich serwisach, i zalewana obficie winem i koniakami, trwała dość długo. Zauważyłem, że minister nie pił wódki ani koniaku, rozochocił się dopiero na widok szampana. Na drugi dzień po bankiecie Dżałchancy-gegen w otoczeniu swego dworu zwiedził moją fabrykę. Zademonstrowałem swoje wyroby przed dostojnym gościem, co się mu niezmiernie podobało. Z ogromnym zainteresowaniem słuchali moich informacji, tyczących się technicznej strony fabrykacji granatów. Przy pożegnaniu minister ofiarował mi artystycznie wykonany złoty posążek Buddy wysokości 5 centymetrów. Od towarzyszących mu książąt dostałem dwa konie gobijskie z siodłami i czaprakami. Ponieważ miejscowy zwyczaj każe odwzajemniać się za podarki, jednemu więc z książąt ofiarowałem srebrną papierośnicę, drugiemu – pistolet Browninga.

Dżałchancy-gegen bawił w Ulasutaju kilka dni, spędzając czas przeważnie na tajnych naradach z atamanami, poczym wyjechał do Lassy, żegnany wspaniałym bankietem, który na jego cześć wydali oficerowie i kupcy chińscy.

Na trzeci dzień po wyjeździe Gegena otrzymałem od atamana Kazancewa rozkaz wtajemniczenia sotnika Karapetowa w fabrykację granatów, sam zaś zostałem oddany pod bezpośrednią komendę esauła Bezrodnycha.

Rozkaz ten zaniepokoił mię bardzo, gdyż nastąpił bezpośrednio po rozmowie z Bezrodnychem, w której tenże twierdził, że słyszał, jakobym służył w bolszewickiej armii. Widocznie komuś zależało na mojej zgubie.

Przyjaciele moi byli tym wyjazdem niezmiernie zaniepokojeni –

znano już bowiem taktykę Bezrodnycha, który skazanych na śmierć wyprawiał niby to do Urgi i kazał rozstrzeliwać ich o parę kilometrów za miastem wśród skalnych szczelin.

Podejrzenie moje potwierdziła wiadomość, że z oddziałem ma wyjechać porucznik S., od kilkunastu dni siedzący w areszcie za przekroczenie służbowe.

W myślach moich przesuwały się wszystkie cierpienia ostatniego roku – więzienie w Minusińsku, ciężkie warunki bytu w tajdze – bezsenne noce w siodle podczas walk w Urianchaju, wreszcie awanturnicze życie w Mongolii, i kilkakrotnie zadawałem sobie pytanie, czy tyle cierpień ma pójść na marne...

Czy zawistny los nie pozwoli mi już nigdy wrócić do wolnej, ukochanej Ojczyzny?

W momentach wątpliwości najwyraźniej słyszałem słowa szamana z Urianchaju: „Wiele czasu spędzisz na siodle, lecz wrócisz tam, gdzie czeka cię ukojenie".

Postanowiłem być w podróży bardzo ostrożnym i nigdy nie zostawiać z tyłu za sobą żołnierzy esauła. Do siodła włożyłem granaty, aby w razie ewentualnego wyroku zabić siebie i swych katów.

Dwutygodniowa podróż w ciągłym naprężeniu i oczekiwaniu śmierci rujnowała mi siły, tym bardziej że jakkolwiek Bezrodnych obchodził się ze mną z należytym szacunkiem, to jednak nie udało mi się wybadać go, w jakim celu mam być wieziony do Urgi.

Z drugiej strony rad byłem tej podróży, która rzucała mię o 1200 kilometrów na wschód, skąd można się było dostać czy to do Chin, czy do Japonii, gdzie były już polskie konsulaty.

XIX. TRAKTEM ULASUTAJ–URGA (DA-CHURE)

Wiosna 1921 r. była w całej pełni i zieleń mieniła się szmaragdem w promieniach słońca, gdy dzielne konie niosły nas przez rozległy step, położony na południu od Ulasutaju. Step pobłyskiwał gdzieniegdzie błękitno-zieloną tonią jezior niewielkich, a pełnych wodnego ptactwa, rozbrzmiewał przenikliwym krzykiem ciągnących żurawi i łabędzi lub szumem zapadających w szuwary gęsi, turpanów i kaczek. Rozgwaru drobnych ptasząt brak było na

stepie, brak melodii słodkich i dźwięcznych, panowała tu dzika jakaś, fałszywa orkiestra błotnego ptactwa, które mimo swej wielkości i siły drży i milknie przed królem ptaków – orłem i krwiożerczym jastrzębiem.

Często wysuwały się z nor tłuste świstaki, siadały beztroskie na tylnych łapkach, robiąc przednimi poranną toaletę. Mniej ufne były kuropatwy lub białe pardwy, bo spłoszone tętentem koni wzbijały się niewysoko w górę i szybując poziomo, zapadały hen daleko w trawy.

Pasące się spokojnie płowe antylopy, dzereny, na widok ludzi podnosiły swe śliczne zgrabne główki, obserwując nas przez chwilę spojrzeniem cudnych, czarnych oczu. Lecz potem mknęły na przełaj stepem, przebiegając nam wedle swego zwyczaju drogę, by znowu z oddali obserwować niknące sylwetki jeźdźców.

Po kilku godzinach jazdy zboczyliśmy na wschód. Wtedy zmienił się otaczający nas krajobraz. Znaleźliśmy się wśród gór, których wierzchołki (sopki) były pokryte trawą; z krzewów rosła tu jedynie karagana. Dzięki znakomitym mongolskim koniom, podróż upływała pomyślnie i względnie wygodnie. Na urtonach stawiano nam osobne jurty, wśród nich jurtę książęcą dla esauła Bezrodnycha.

Krajobraz zmieniał się szybko. Droga wiła się, to głębokimi jarami, to szczytami wyniosłych gór. Coraz częściej widać było lasy. Na stokach pokrytych gęstą trawą pasły się tysiące owiec, między którymi nierzadko widziało się grupki argali. Jurty Mongołów, wciśnięte w zaciszne wąwozy, zdradzały swą obecność wąskimi smugami dymu. Wreszcie karawana nasza przebyła śnieżną przełęcz Decechangin (3030 m), skąd głębokim jarem potoku, zasilanego topniejącymi śniegami, spuściliśmy się w dolinę rzeki Ter-chet. Okolica tu jest żyzna, gęsto zaludniona. Liczne jeziorka kipią od ptactwa wodnego, wśród którego szczególną uwagę zwraca żółta kaczka „lama", ptak święty, gnieżdżący się wśród rozpadlin skalnych.

Przebycie rzeki Terchet rysowało się w barwach niezbyt przyjemnych, gdyż w Mongolii nie ma mostów i rzeki przeważnie przebywa się w pław. Szczęściem natrafiliśmy na miejsce przewozu, położone na trakcie karawan i zaopatrzone w prom, tj. dwie łódki,

wyciosane z pnia drzewa, na których leżą deski związane silnymi arkanami. Przeprawa po bystrych wodach, np. Terchetu, Selengi, Orchonu lub Toły nie jest łatwa, zwłaszcza, że całą siłę stanowią wiosła przewoźnika. Nieraz zniesiony prądem prom trzeba holować linami na miejsce dogodnego lądowania. Tym razem pomyślnie przejechaliśmy jednak z jukami na promie, a konie płynęły obok nas. Po przeprawieniu się znaleźliśmy się w rozległej dolinie, obramowanej od północy i południa górami. Teraz nastąpił okres, w którym miałem możność poznania życia i obyczajów Mongołów.

Mieszkania ich stanowią jurty, podobnie urządzone, jak u Sojotów, tylko zasobniejsze. Mongołowie nie przestrzegają czystości, toteż trudno doszukać się jej w ich mieszkaniach. Mongołki nie myją nigdy ciała ani naczyń. Odzieży swej nie piorą, lecz noszą tak długo, aż się zedrze. Na wiosnę trzymają Mongołowie w jurtach swych małe jagnięta i cielęta, chroniąc je przed zimnem i wilkami. Łatwo więc wyobrazić sobie, jak duszna atmosfera panuje w jurcie. Głównym pożywieniem Mongołów jest mięso, mleko i czaj liściasty, przyprawiany solą, tałchanem[25] i masłem. Z gotowanego mleka zbierają Mongołki śmietanę (urum), którą suszą i przechowują jako przysmak dla gości; wyrabiają też suszony twaróg (churuk) i ser (tarak). Mięso jedzą na pół surowe, a największym ich przysmakiem jest świstak pieczony na własnym tłuszczu.

Ptaków i ryb Mongołowie-Chałchasi nie jedzą.

Naczynia kuchenne są robione przeważnie z miedzi lub mosiądzu, często pięknie ozdabiane srebrem. Do gotowania mięsa i czaju używają Mongołowie żelaznych kotłów, które stawiają na taranach, paląc pod nimi argałem – kiziakiem, tj. suszonym nawozem.

Płeć nadobna w Mongolii ma warunki bytu o wiele lepsze niż u innych nomadów. Wprawdzie kobiety spełniają najcięższe prace domowe, lecz stanowisko ich socjalne jest o tyle dobre, że nie są one niewolnicami swych mężów. Rodzice z radością witają pojawienie się córki, gdyż ta przynosi im w przyszłości duże korzyści.

Strój dziewcząt mongolskich jest skromny. Noszą one zwykłe

[25] Tałchan – grubo mielona mąka pszeniczna prażona nad ogniem.

terłyki, podobne do męskich, przewiązując je jedwabnymi pasami büs. Włosy układają w warkocze, wplatając w nie jedwabne sznurki i srebrne monety. Życie płciowe zaczyna się w Mongolii bardzo wcześnie, bo już w 12–14 roku życia. Wiele dziewcząt oddaje się prostytucji, pomagając w ten sposób swojej rodzinie i zbierając sobie posag.

Młodzieniec, mający się żenić, musi rodzinie swojej wybranej ofiarowywać podarki, których ilość i wartość zależy od wdzięków dziewoi.

Huczne wesela odbywają się w obecności lamów i sproszonych sąsiadów. Uroczystość weselną uświetniają zabawy, gonitwy konne lub ulubione zapasy i strzelanie z łuków. Przy tej sposobności upijają się Mongołowie araki – wódką robioną z mleka, a czasem chińskim spirytusem chańszynem, pędzonym z goalanu, a działającym zabójczo na organizm i nerwy.

Kobiety zamężne różnią się od dziewcząt swym oryginalnym ubiorem. Włosy upinają one z tyłu głowy, za uszami i w kształcie wachlarzy, smarując je dla sztywności klejem i spinając srebrnymi klamrami. Na przodzie głowy układają włosy na krzyż i silnie przewiązują je czerwoną wstążką. Końce włosów splatają w warkocze, które wkładają do srebrnych lub jedwabnych woreczków, opuszczonych na piersi. Na głowach zamężne Mongołki noszą srebrne czepce, gęsto sadzone koralami i turkusami; na czepce zaś wkładają wysokie, ostre czapki mongolskie, bramowane futerkiem z sobola. W uszach noszą długie łańcuszkowe kolczyki lub kawałki pięknie polerowanego jaspisu.

Suknie mężatek mają wygląd szlafroków: są one zszyte w dole, od kolan zaś do szyi rozcięte i spinane za pomocą srebrnych lub pozłacanych guzików. Rękawy na ramionach mają wystające garby, koniec zaś rękawów jest obszyty futerkiem lub jagnięcą skórką, chroniąc w ten sposób ręce przed zimnem. Na rękach noszą srebrne lub miedziane bransolety, na palcach szerokie pierścienie.

Mongołki lubują się w strojach i błyskotkach.

Starsze kobiety zdejmują z siebie srebrne ozdoby dopiero wtedy, gdy czyniąc pobożne śluby, oddają się modlitwom.

Spartańskie wychowanie Mongołów zaczyna się już od lat najmłodszych. Kilka razy w podróżach po Mongolii byłem świadkiem przyjścia na świat dziecka mongolskiego, które natychmiast po urodzeniu kąpano, zależnie od zwyczaju panującego w okolicy, w mleku lub też w rosole baranim. Następnie kładziono noworodka na suszony nawóz wielbłądzi i obwijano skórką jagnięcą, mającą zastępować pieluszki.

Dwuletni malcy czołgają się już po jurcie bez względu na temperaturę. Niejednokrotnie widziałem dzieciaki nagie latem i zimą, biegające w sąsiedztwie jurt.

Mongołowie odznaczają się wielką gościnnością. Zajeżdżać do ich jurt można o każdej godzinie dnia i nocy, wyłączając jednak takie wypadki, w których drzwi jurty są zamknięte i przywiązane pod kątem ostrym do palika wbitego przed drzwiami. Otwierając samowolnie taką jurtę, można się narazić na duże nieprzyjemności. Sposób przyjmowania gości jest ten sam, co u Sojotów, z tą tylko różnicą, że zamiast „Mende" mówi się „Sajn bajnu". Wytrzepywanie popiołu z fajki przez uderzanie nią o tagan jest największą zniewagą ogniska domowego i biada temu, kto pozwoli sobie na podobny nietakt wśród liczniejszej rodziny mongolskiej.

Pochodzi to prawdopodobnie jeszcze z czasów pierwotnego kultu religijnego ludów azjatyckich, szamanizmu, kiedy to największym przekleństwem były słowa: „Niech zgaśnie twój ogień".

Obecnie szamanizm zachował się jeszcze w swej pierwotnej formie wśród ludów północnej Azji, jak również w lesistych Sajanach.

W Mongolii występuje szamanizm w północnej części wzdłuż Tannu oła.

Szamani składają duchom ofiary przez rzucanie im pokarmu oraz skraplanie ognia mlekiem lub wodą. Ubóstwiają niebo, ziemię, księżyc i słońce – w ogóle całą przyrodę, pełną dobrych i złych duchów. Ofiary, tzw. tajłgany, składają szamani parę razy do roku.

Szamanami mogą być zarówno kobiety, jak i mężczyźni, nawiedzeni łaską najwyższą, pozwalającą im obcować z duchami, które mogą zaklinać, prosić o pomoc dla wiernych lub po prostu wyganiać z jurty.

Kilkakrotnie spotkałem się z twierdzeniem, że szamani nie ma-

ją specjalnych miejsc modlitwy – a jednak widywałem szamańskie kaplice w okolicach Ubsa-noru i Chatchyłu.

Liczne obo w górach są prawdopodobnie dawnymi szamańskimi ołtarzami, na których składano krwawe ofiary.

Obecnie dość często spotyka się drzewa turge, na których szamani zawieszają szmatki lub sierść końską, pragnąc w ten sposób zjednać dla swych wiernych opiekę dobrych duchów.

Pewnego dnia byłem świadkiem wróżb, mających na celu zbadanie przyczyny pomoru na owce u pewnego bogatego Mongoła. Szaman, strojny w pióra i skórki różnych zwierząt i płazów (ongony), siedział przy ognisku i bijąc w bęben, śpiewał jakąś dziwną melodię, przechodzącą w wycie. W pewnej chwili odrzucił bębenek i począł biegać w skokach po jurcie. Zaglądał pod znajdujące się sprzęty, wreszcie na środku izby stanął i począł rwać włosy z głowy i drapać twarz paznokciami. Wyglądał przy tym strasznie, oblany krwią, z obłąkanymi oczami. Szloch jak gdyby dziecięcy wyrywał mu się z piersi. Potem rzucił się na ziemię, przy czym mięśnie drżały mu febrycznie. Nagle porwał się z przeraźliwym krzykiem i chwyciwszy nóż, wybiegł na podwórze. Tam, dopadłszy barana, rozpłatał mu jednym ciosem brzuch i mimo oporu nieszczęsnego stworzenia wyrwał mu serce. Z drgnień tego serca miał wywnioskować wróżbita przyczynę choroby i znaleźć lek skuteczny. Niestety w kilkanaście godzin potem byłem w dalszej podróży i nie dowiedziałem się o rezultacie tych zabiegów.

W czasie pobytu w Ulasutaju zawarłem znajomość z doktorem tybetańskim, nadwornym konsyliarzem świątobliwego chutuchty Bogdo-chana w Da-chure, który przebywał chwilowo na dworze Dżałchancy-gegena. Był to specjalista od chorób żołądkowych. Chcąc wypróbować jego wiedzę, udaliśmy się doń z kolegą, który wskutek postrzału cierpiał na pęcherz. Dla zmylenia diagnozy, skarżył się przed lekarzem na piersi i głowę, Tybetańczyk jednak po zbadaniu pulsu i tętnic za uszami chorego, określił właściwą dolegliwość z najściślejszą dokładnością. Potem szeroko objaśniał nam naukę leczenia szkół tybetańskich i demonstrował sprawność, z jaką władał swymi mięśniami. Na próbę spożył z kilku talerzyków ziarna bobu, pszenicy, prosa i różnej wielkości gwoździe, po czym

(poddał się przedtem dokładnej rewizji) oddawał z żołądka żądany produkt. Nie była to żadna mistyfikacja, albowiem towarzyszący nam chorąży czynił zdjęcia fotograficzne.

Lekarstwa tybetańskie są to proszki z suszonych i mielonych roślin, zbieranych po górach, niedostępnych wąwozach i piaszczystych wydmach.

Najcenniejszym i najbardziej poszukiwanym lekarstwem jest korzeń żeń-szeng; wywar z niego ma mieć cudowne wprost właściwości.

Starsi wiekiem Chińczycy, szczęśliwi posiadacze młodych żon, kupują żeń-szeng jako środek odmładzający, płacąc za korzeń kolosalne sumy.

W dalszej drodze, jadąc doliną rzeki Terchet, dosięgliśmy wkrótce stepu, pełnego lotnych piasków. Przebywszy wpław rzeczkę Chanyn-goł, znaleźliśmy się w Dzun-modo, gdzie byliśmy zmuszeni zostawić tabun naszych zmęczonych koni pod opieką dwóch żołnierzy.

Droga wiodła wśród gór i lasów. Nad brzegami bystrych potoków płynących do Chairtuzam lub Orchonu leżały jurty i pasły się stada koni, owiec i krów, z rzadka tylko sarłyków.

Mongołowie są w tych stronach zamożni, gdyż zajmują się wywozem wełny owczej i wielbłądziej do Kałganu i Tiensinu. W górach lub strumykach zbierają złoto i drogie kamienie, zwłaszcza ametysty.

Po drodze przyłączył się do nas stary lama, zdążający do Dzain-Szabi; zaprzyjaźniłem się z nim prędko.

– Patrz – mówił starzec – ta ziemia, po której teraz jedziemy, te stepy i góry, spoglądały wiele lat temu na dzielne hufce największego władcy świata – Czingis-chana. Widzisz tu nad Orchonem te czarne mury? Tutaj stała przed wiekami stolica państwa mongolskiego – to Karakorum. Tutaj na zwaliskach dawnej stolicy Ujgurów wybudował potężny syn Czingisa wspaniałą rezydencję, tutaj władcy zawojowanych ziem bili czołem przed chanami mongolskimi, przysięgając im wierność. Tutaj zmarła matka potężnego Chorezm-szacha Ala-ed-dina Mohammeda, tutaj skończył swe życie promieniejący chwałą założyciel miasta, najukochańszy syn wiel-

kiego Mongoła, Ogotaj (Ugedej), tutaj po śmierci chana Gujuka, potężny pogromca Zachodu, Batu-chan, posadził na tronie wnuka czingisowego – chana Mangu (Möngke), którego brat Chubiłaj założył znowu na wschodzie stolicę Chan-balik (Pekin).

Po tych trawą teraz zarośniętych kamieniach przewijały się cudne jak marzenia branki różnych ludów. Na tych pagórkach obozowali najsłynniejsi rycerze mongolscy, którzy mieczem swym podbijali niezmierzone przestrzenie. Teraz Europejczycy szukają grobu Czingisa, ale nie znajdzie go nikt, bo przestrzeń między Kentejem a Changajem, gdzie go pochowano, jest wielka.

– Spójrz na ten klasztor – mówił lama drugiego dnia, gdyśmy zawróciwszy od Karakorum, jechali ku północy – to jest Erdeni-Dzu. Bohaterski Abataj-chan przywiózł tę świątynię z Tybetu prawie czterysta lat temu. To jest najstarszy w Mongolii klasztor „żółtej wiary". Przejechawszy taki szmat ziemi mongolskiej, widziałeś zapewne niejedne ruiny miast i klasztorów. Nam lamaistom wiara zabrania kopać w tych ruinach, ale nierzadko znajdują tu Chińczycy różne rzeczy, które potem sprzedają za drogie pieniądze. A przecież to są pamiątki po minionej przeszłościowych dzikich, jak wy ich nazywacie, Mongołów.

Ze zdumieniem patrzyłem na pooraną zmarszczkami i spaloną wichrami stepowymi twarz lamy, którego oczy powlekły się cieniem smętku i zadumy. Nie przypuszczałem, że ten niepozorny na pierwszy rzut oka duchowny tak dobrze zna historię Mongolii. Po chwili lama zaczął:

– Czy wiesz ty, w jaki sposób rabują nam Europejczycy nasze stare kroniki? Oto przekupują młodszych lamów, żądnych bogactwa, ci zaś wykradają różne wartościowe rzeczy z bibliotek klasztornych, nie wiedząc, że sprzedają duszę swego kraju. Dawniej tak nie bywało.

Wielu znałem patriotów mongolskich, w ich liczbie saita Ulasutaju, księcia Czułtun-Bejle (rozstrzelanego na podstawie fałszywego doniesienia Domozyrowa przez esauła Bezrodnycha), lecz pierwszy raz rozmawiałem w Mongolii z człowiekiem tak gorąco kochającym tradycje swego kraju.

XX. W DZAIN-SZABI REZYDENCJI WOJOWNICZEGO PANDITY

Przeprawiwszy się przez rzekę, popędziliśmy galopem, chcąc w nocy zajechać do Dzain-szabi. Na ostatnim urtonie dzangin poinformował esauła Bezrodnycha, że w klasztorze znajdują się jacyś żołnierze – nie mógł jednak dokładnie określić, kto by to mógł być.

Esauł Bezrodnych, który nie odznaczał się zbytnią odwagą, wysłał swego wachmistrza w celu zasięgnięcia języka, oddział zaś posunął się na odległość 12 kilometrów od osady. Czekaliśmy długo, wreszcie zaniepokojony esauł poprosił mnie, abym z jednym Kozakiem pojechał na zwiady.

Noc była ciemna, a tętent koni głuszyła obfita trawa. Podjechaliśmy do wysokiej góry, spoza której wyłonił się księżyc, oświetlając nam drogę swym srebrnym, łagodnym blaskiem. Majestatycznie kołysały się olbrzymie modrzewie, wśród których wiła się wąska kamienista ścieżka. Po prawej ręce huczał w głębokim wąwozie potężny strumień. Nagle kilka kamieni z szelestem zsunęło się na drogę. Podniosłem karabinek do oka, lecz w tej samej chwili opuściłem go; na olbrzymiej skale zarysowała się niespodziewanie sylwetka wspaniałego argala. Z największym trudem pokonałem żyłkę myśliwską. Towarzyszący mi Kozak przeżegnał się parę razy i wskazując ręką na głęboki jar, rzekł:

– Nie boję się ludzi, ale boję się duchów. Tu w tym jarze leżą zarąbani pułkownicy z Ulasutaju. Może już wilki rozwłóczyły ich ciała, ale miejsce to nie jest dobre.

Już z rozmów żołnierzy Bezrodnycha zrozumiałem, że gdzieś pod Dzain-szabi zabili oni kilkunastu ludzi, lecz teraz od naocznego świadka chciałem się o wszystkim dowiedzieć, rzuciłem więc pytanie:

– Michajłow tu zginął?

Kozak przeżegnał się raz jeszcze i szeptem mówił:

– Tu zabiliśmy Michajłowa, trzech braci Filipow i pułkownika Poletykę, Zubowa i żonę Michajłowa. W boju zabijesz i nic, a taki, co się go bezbronnego szablą zarąbie, to ciągle przed oczami stoi. Paskudne miejsce.

– Aleście i w Ulasutaju rozstrzeliwali? – pytam dalej.

– W Ulasutaju dużo ludzi zginęło, ale tamtych ja nie zabijałem – tamci zginęli z rąk Bogdanowa i Trołowa.

Chciałem się dowiedzieć na pewno, kto zginął w Ulasutaju, ale Kozak wymienił tylko te nazwiska, które ja znałem, dodając, iż o szczegóły należy pytać dwóch wyżej wspomnianych żołnierzy. Nie miałem jednak nigdy ochoty indagować nadwornych katów esauła, gdyż wzbudzali we mnie nieokreślony jakiś wstręt.

Ze szczytu góry widać było białe ściany budynków oraz migocące światełka na olbrzymiej, prostopadłej, białej zupełnie ścianie skalnej.

Zjechawszy w dolinę, ruszyliśmy w stronę klasztoru, pogrążonego we śnie. Po długich kołataniach w drzwi jamynu wpuszczono nas na podwórze. Urzędnik dzakirokczi podczas herbaty opowiedział nam o najnowszych wypadkach w Dzain-szabi. Spytałem o wojsko – odrzekł, że parę dni temu rzeczywiście przyjechali tu jacyś jeźdźcy, ale nie wie, czy to są bolszewicy, czy biali.

Przebywszy potok, oddzielający klasztor od kolonii rosyjsko-chińskiej, wjechałem w uliczki dosyć szerokie, lecz zupełnie ciemne. Tylko w jednopiętrowym domu firmy „Szwecowa" okna były jasno oświetlone.

Podkradłem się do drzwi, zza których dochodziły głosy, i szybko otworzywszy je, wpadłem z rewolwerem w ręku do jasnego dużego pokoju. Za suto zastawionym stołem siedziało kilku oficerów, wśród nich nasz wachmistrz. Po chwili byłem już z obecnymi w najlepszej komitywie i natychmiast pchnąłem posłańca Mongoła z wiadomością, że w Dzain-szabi znajduje się dwudziestu ludzi wysłanych przez pułkownika Kazagrandi w celu przygotowania kwater i zakupu niezbędnych prowiantów. Oddział ten pozostawał pod dowództwem kapitana F.

Czterodniowy pobyt w Dzain-szabi zużytkowałem na zwiedzenie okolicy oraz klasztoru.

Dzain-szabi otoczone jest z trzech stron górami, z czwartej zaś zlewa się z rozległym stepem. Klasztor posiada piękne świątynie o białych ścianach w stylu tybetańskim. Nieco dalej znajduje się kilka kapliczek. Tuż za klasztorem wznosi się prostopadła zupełnie

ściana skalna, na której wykute są obrazy bogów oraz litery pisma tybetańskiego, ułożone z białych kamieni. Na wysokim szczycie tej skały stoi parę małych kapliczek, budowanych w chińskim stylu. Kapliczki te, rzucone na występy skalne, wyglądają jak gniazdka jaskółcze. W nocy na skale płoną lampy, zapalane w jakiś niewytłumaczony sposób przez pustelnika mieszkającego w grocie skalnej.

Kolonia chińsko-rosyjska, oddzielona od klasztoru wąskim strumieniem, jest gęsto zabudowana w prawidłowy kwadrat. Domki są małe, lecz schludne i czyste, prawie każdy z nich posiada ogródek warzywny. Jedynym piętrowym domem jest filia handlowa „Szwecowa".

W miesiącach wiosennych 1921 r. przeżyło Dzan-szabi ciężkie czasy i tylko bohaterskiej obronie kolonistów i zbiegów z raju sowieckiego należy zawdzięczać, że cała ludność rosyjska i mongolska nie została wycięta w pień przez gaminów chińskich, podjudzanych przez bolszewików z Chatchyłu. Najpoważniejszą, lecz i najbardziej ekscentryczną postacią w Dzain-szabi był Pandita-gegen, dwudziestoletni zaledwie bóg klasztoru. Młodego boga poznałem zaraz na drugi dzień u esauła.

Pandita ubrany był w strój wojskowy z epoletami esauła na ramionach, na głowie miał kozacką czapkę, przy boku pistolet Mausera. Na twarzy gegena, bladej i wycieńczonej, malowały się wyraźnie ślady nocnych hulanek. Po długiej rozmowie z Panditą udałem się do jego mieszkania, gdzie musiałem mu rysować i wyjaśniać konstrukcje aeroplanów i tanków. Wojowniczy bóg tak był zachwycony rysunkami, że kazał podać całą baterię butelek i po dwugodzinnej pijatyce zwalił się, jak kłoda, pod stół. Poznałem również młodocianego chubiłgana, mającego w przyszłości zostać przeorem klasztoru. Nadzwyczajnie rozwinięty umysłowo chłopiec ma już swą wartość, jest jednakże nieznośny i krnąbrny. Na własne oczy widziałem, jak rozkazawszy klęknąć jednemu poważnemu chambie, siadł mu na plecy i założywszy sznurek w usta starego lamy, kazał mu udawać konia, nie szczędząc przy tym bolesnych uderzeń piętami.

Miałem ogromną ochotę chwycić chłopaka za uszy i dać mu kil-

ka klapsów, lecz dałem spokój, widząc pokorne i usłużne miny otaczających nas lamów.

W tym samym czasie, gdy spędzałem mile wieczory w towarzystwie drugiego chubiłgana i kilku poważnych lamów, słuchając różnych legend lub opowiadając im szeroko o cywilizacji i wynalazkach technicznych Zachodu, esauł Bezradnych sądził i skazywał na śmierć – egzekucje jednak odbywały się tak cicho, że o nich dowiedziałem się dopiero w jakiś czas później.

XXI. WAN-CHURE

Ruszyliśmy z Dzainu ze świeżymi siłami. Bezrodnych wspomniał kilka razy, że baron ucieszy się naszym przyjazdem, gdyż w dywizji brak jest fachowców. Miałem więc zapewnione bezpieczeństwo życia aż do Urgi. W ciągu podróży robiłem poszukiwania mineralogiczne oraz polowałem na dropie i zwierzynę. Trofea były bogate. Okazów mineralogicznych nie mogłem zabierać w dowolnej ilości, gdyż esauł nie chciał mi dać na tych, jak się wyrażał, „kamyków" jucznego konia, skór zaś ciekawszych dla mnie gatunków ptaków nie mogłem preparować, nie mając ani odpowiednich przyrządów, ani środków przeciwgnilnych.

Wreszcie jednego ranka zarysowała się przed nami obszerna kotlina, na której widniały z daleka białe kamienne kapliczki otaczające klasztor.

Po przebyciu ostatnich pięciu kilometrów, wjechaliśmy na szeroką ulicę, obok płynął szeroki strumień, odgradzający kolonię od klasztoru. Byliśmy w Wan-chure.

Oddział rozlokował się u bogatego kolonisty K. Bezrodnych zamieszkał w domu kolonisty, dla mnie i Szyłowa postawiono obszerną, czystą jurtę.

Kolonia rosyjska składa się z 24 rosyjskich domów i kilkunastu chińskich sklepów. Mieszkańców kolonii stanowiły przeważnie kobiety, gdyż niemal wszyscy mężczyźni zostali zmobilizowani do oddziału pułkownika Kazagrandi.

Komendantem osady był kapitan T., dowodzący oddziałem wywiadowczym, złożonym z kilkunastu Kozaków oraz 25 Mongołów.

Wan-chure przeżyło w lutym 1921 r. czasy ciężkie i straszne. Zginęła tu niezliczona liczba ludzi, torturowanych przez chińskich gaminów, którzy w każdym Europejczyku widzieli szpiega barona, zdobywającego w tym czasie Urgę.

Potem z kolei wycinano tu gaminów i sympatyków bolszewizmu, między którymi znajdował się także weterynarz z Chatchyłu Gej z całą swoją rodziną. Zginęło też tutaj z rąk rozwydrzonej tłuszczy chińskiej paru Polaków, nie zdołałem jednak ustalić ich nazwisk, gdyż zrabowane ich mienie zabrali uciekający do Bolszewii Chińczycy, trupy zaś dawno rozwlekły wilki i psy.

Dowiedziałem się również o szczegółach śmierci jednego z braci Filipow, który podczas przesłuchiwania go przez Ungerna opowiadał wiele o organizacji „białych oficerów" w Omsku, lecz był na tyle nieostrożny, że miał przy sobie papiery z dyrektywami sowieckiego sztabu. Organizacja oficerów w Omsku istniała rzeczywiście, ale o niej mogłoby najwięcej powiedzieć Kołomzino koło Omska, gdzie bolszewicy rozstrzelali w 1920 r. kilka tysięcy oficerów. Tam też rozstrzelany został prawdziwy, znany mi osobiście kapitan Poletyka, w którego dokumenty zaopatrzył się w Mongolii szpieg bolszewicki.

Między Wan-chure i Urgą zrabowali również Chińczycy karawanę Zwierewa, który z kilku towarzyszami uciekł z Urianchaju przed czerwonymi, wioząc kilkanaście pudów pantów (rogów marali). Między wymordowanymi podróżnikami karawany miał się znajdować Walerian Kulikowski, podporucznik 5. syberyjskiej dywizji polskiej.

Siedzieliśmy w Wan-chure 4 dni, czekając na rozkazy generała, który znajdował się jakoby o 160 km od nas, wypoczywając z dywizją gdzieś nad brzegiem Selengi, po niefortunnym napadzie na Troickosawsk.

Chodziły słuchy, że baron jest ciężko ranny i cała dywizja ruszy z powrotem do Urgi.

Tymczasem nadjechał posłaniec od generała, wzywający natychmiast esauła do dywizji. W rozkazie tym baron wzywał również i mnie.

XXII. W OBOZIE „KRWAWEGO GENERAŁA"

Wyruszyliśmy zaraz i jedynie ciemność nocy zmusiła nas do noclegu w pierwszej napotkanej jurcie. Nazajutrz posuwaliśmy się brzegiem Selengi, zwanej przez Buriatów rzeką śmierci. Nazwa ta jest zupełnie uzasadniona, gdyż rok rocznie brudne jej a wartkie wody pochłaniają setki ludzi i tysiące sztuk bydła. Dzięki wylewom rzeki, brzegi jej stanowią najżyźniejszą glebę w całej Mongolii. Dolina rzeki Kerulenu zajmuje już drugie miejsce pod względem urodzajności. Toteż nasze konie brodziły po brzuchy w wysokiej, soczystej trawie.

Nad brzegiem rzeki widziałem często czarne bociany z czerwonym dziobem i nogami; są one w tej stronie pospolitym zjawiskiem, jak również łabędzie.

Dzięki wskazówkom Tatarów, żołnierzy stanowiących ochronę intendentury barona, znaleźliśmy i jej dowódcę, porucznika Baranowa, osobistego przyjaciela esauła Bezrodnycha. Widok intendentury był imponujący. Całe stada koni, wielbłądów i wołów pasły się w stepie, karawany wielbłądów niosły na północ wory krup i mąki, a na placu w zacisznej dolinie Selengi, między górami piętrzyły się stosy skrzyń i worów okrytych celtami. Opodal w gaju brzozowym rozpościerały się jurty, zajęte przez administrację i żołnierzy.

Mimo ulewnego deszczu nazajutrz ruszyliśmy dalej i po paru godzinach stanęliśmy w obozowisku żandarmerii polowej; stąd, wylegitymowawszy się, ruszyliśmy pod eskortą paru żołnierzy przed oblicze naczelnika dywizji barona Ungerna, zwanego tutaj „Dieduszką". Teraz spotykaliśmy co krok oddziały konnych w strojach mongolskich, którzy oddawali nam ukłony wojskowe i usuwali się z drogi.

Wreszcie wydostaliśmy się na obszerną polanę nad brzegiem Selengi, okoloną stuletnimi sosnami, gdzie rozpościerały się majdany i płonęły ogniska. Na uboczu stał niewielki namiot, nad którym trzepotała się na wietrze jedwabna żółta chorągiew ze znakami Czingis-chana – było to mieszkanie generała. W obozowisku panował ruch: widać było kilkunastu oficerów i ordynansów roznoszących rozkazy w różne strony. Po chwili esauła Bezrodnycha

zawezwano do generała, zaś w pół godziny potem przybiegł esauł, wzywając mnie spiesznie do naczelnika dywizji.

W namiocie ujrzałem mężczyznę w średnim wieku, blondyna, siedzącego na pół nago przed nikłym ogniskiem, na którym stał mosiężny czajnik. Spod wysoko sklepionego czoła patrzyły na mnie oczy jasne, świecące, chłodne jak lód.

Z lewej strony namiotu zauważyłem starego lamę, trzymającego na otwartej dłoni wróżbiarskie monety chińskie.

Baron Ungern patrzył na mnie, nie mrużąc powiek, ja zaś, uprzedzony przez esauła Bezrodnycha, czyniłem to samo. Po upływie kilku chwil baron zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Czemu jeździ pan po Mongolii, zamiast wracać do domu?

– Po pierwsze, nie mam środków na zapłacenie koni, po wtóre zmobilizowano mnie bez mojej woli raz w Ułankomie, drugi raz w Ulasutaju – brzmiała moja odpowiedź.

– A dlaczego pan wojował z bolszewikami w Urianchaju, zamiast przedzierać się na wschód? – zapytał Ungern.

Odpowiedziałem, że jako wojskowy czułem się w obowiązku szkodzić nieprzyjacielowi, który rabował i niszczył moją ojczyznę.

Baron chwilę siedział w milczeniu, trąc silnie palcami czoło, potem wstał i podając mi rękę rzekł:

– Dziękuję! Chciałbym, aby ci wszyscy, co mnie otaczają, byli tacy jak pan.

Klasnął w dłonie i rzekł do nadbiegającego szefa sztabu:

– Ten pan zamieszka w sztabie, osobne rozporządzenia później.

Tak się skończyło pierwsze moje spotkanie z „krwawym generałem", przed którym drżeli bolszewicy.

XXIII. BARON UNGERN VON STERNBERG

Roman Fiodorowicz Ungern von Sternberg był ostatnim potomkiem magnackiej rodziny Steinbergów, baronów bałtyckich.

Dziad Romana, pirat, na wyspie Dagö wybudował latarnię morską, którą świecił podczas burzy, zwabiając w ten sposób statki handlowe walczące z żywiołem. Statki te, miast znaleźć pomoc i ratu-

nek w cichej przystani, wpadały na skały, Ungern zaś ze swą drużyną mordował kupców i rabował towary. Trwało to dosyć długo, wreszcie aresztowano go i wysłano w kajdanach na Syberię. Ród Ungernów nie stracił jednak przywilejów rodowych i potomkowie pirata kończyli szkoły w Moskwie lub Piotrogrodzie.

Roman Ungern po ukończeniu wojskowej szkoły morskiej w Piotrogrodzie, czas jakiś przebywał na dworze carskim, lecz za jakąś awanturkę miłosną przeniesiono go na Zabajkale. Tutaj wstąpił do pułku kozackiego, gdzie jako młody chorąży walczył z Japończykami. W czasie, wojny światowej dał Ungern dowody niezwykłej odwagi i okrucieństwa. Z Kozakami swymi podchodził oddziały Niemców i wycinał je w pień z taką starannością, ze musiano go przenieść na inny front. Kilkanaście razy ranny, odznaczony krzyżem oficerskim św. Jerzego, baron dostał się podczas rewolucji rosyjskiej na Zabajkale i tu z towarzyszem frontowej służby esaułem Siemionowem, późniejszym hetmanem Zabajkala, walczył z bolszewikami.

Ungern był buddystą, wiarę przekazał mu umierający dziad. W czasie swego pobytu w Mongolii w 1912 r. Ungern zawarł liczne znajomości z lamami, którzy nauczyli go języków wschodnich, co ułatwiało baronowi, znającemu dobrze języki i literaturę zachodnią, pogłębianie swej wiedzy przez czytanie kronik i ksiąg zawierających mądrość Wschodu.

Przed wojną europejską dopuszczał się Ungern tak ekscentrycznych wybryków, że koledzy oficerowie mieli go za wariata.

Awanturnicza natura tego potomka „Raubritterów" i piratów, nie nadająca się zupełnie do wąskich ramek codziennego życia, zarysowała się bardzo wyraźnie w walce ze śmiertelnym wrogiem ludzkości – bolszewizmem.

Za czasów pierwszego bolszewizmu na Syberii Zabajkale tworzyło osobne państewko pod hetmanem Siemionowem. Wtedy baron rozpoczął antybolszewicką akcję i jako generał dowodził brygadą na obszarach Daurii. Krwawą sławą rozbrzmiewało imię barona od Daurii aż po Mandżurię. Agenci sprowadzali tysiące bolszewików na sąd generała, który krótkim: „Kończyć" rozstrzygał los schwytanych. Toteż trupy pokrywały gęsto okoliczne wzgórza.

Ungern nie znosił obecności kobiet w obozie, a żona jego, księżniczka chińska, stale mieszkała w Pekinie.

Dzięki strachowi i nienawiści, jakie wzbudzał wśród prześladowanych, osobę jego wkrótce otoczyły niesamowite legendy,

W okresie upadku rządów generała Kołczaka i „lodowego" pochodu wojsk generała Kappela baron został zmuszony przez kappelowców, a następnie przez bolszewików do opuszczenia Daurii i musiał uchodzić w stepy Mongolii. Zdążył jednak zburzyć olbrzymie forty i składy amunicji, ze sobą zaś zabrał broń, karabiny maszynowe, kilka armat i 700–1000 żołnierzy. Zatrzymawszy się na granicy Mongolii, staczał boje z bolszewikami w nadziei odrzucenia wroga z Zabajkala przy pomoczy powstańców. Niestety, bolszewicy, chwyciwszy kraj w żelazne szpony terroru, byli nie do zwalczenia. Cofnął się więc Ungern nad Kerulen, próbując skłonić Chińczyków, by przepuścili go na Ałtaj dla połączenia się z generałem Wranglem. Gubernator Urgi stanowczo odmówił. Wtedy Ungern postanowił podbić Mongolię, zrobić ją niezależnym państwem, cezarem zaś obrać Bogdo-gegena w Urdze. Wywołanie ruchu powstańczego u Mongołów szło z początku opornie, lecz generał działał wśród masy przy pomocy niechętnych rządowi chińskiemu lamów i książąt, rozbijając jednocześnie niewielkie oddziały, złożone z 200 lub 300 ludzi, dla konfiskaty chińskich transportów na drodze między Kałganem, Urgą lub Ulasutajem. Wkrótce stał się posiadaczem wspaniale zaopatrzonej intendentury i olbrzymich stad koni, wielbłądów i owiec. Liczono 2000 wielbłądów, zapasy żywności mogłyby starczyć na całe lata dla tej niewielkiej ilości wojska, jedną z charakterystycznych wypraw była ekspedycja z 250 ludzi pod odważnym esaułem Zabijakinem i zdolnym artylerzystą podporucznikiem W. Ekspedycja ta miała na celu przyłapanie na trakcie kałgańskim karawany chińskiej, złożonej z 700 wielbłądów, eskortowanej przez 500 gaminów chińskich. Oddział zaopatrzony w jedną armatkę dwa dni oczekiwał przybycia karawany w miejscu zasadzki. Trzeciego dnia ukazał się nareszcie długi sznur jucznych wielbłądów, poprzedzany zbrojnym oddziałem gaminów, jadących wolno i swobodnie; nie mogli bowiem zauważyć ukrytych w falistościach gruntu ungernowców. W chwili, gdy ozwały się karabiny

i zaklekotał kulomiot, panika powstała wśród otulonych w długie szuby Chińczyków i kilkanaście koni bez jeźdźców pognało w step. Gdy esauł Zabijakin, pewny zwycięstwa, rozkazał Kozakom ruszyć do konnego ataku, z reszty kawalkaty uformowała się tyralierka, która celnymi strzałami poczęła razić nacierających, grożąc im zniszczeniem. Wówczas zagrzmiała armatka, która zadecydowała o losach zagrożonych Kozaków. Pociski armatnie, padając w środek taboru, wzniecały rozpaczliwą panikę, rozrywały na sztuki ludzi i zwierzęta, podnosiły w górę słupy ognia, szczątki rozbitych towarów i strzępy ciał... Kulminacyjnym punktem okazał się moment, gdy pocisk padł na grzbiet wielbłąda, dźwigającego skrzynię amunicji, i wywołał szalony wybuch. W powietrzu zakłębiło się wprost od szczątków ludzkich i zwierzęcych. Po ogłuszającym huku zapanowała chwilowa cisza i zupełne obezwładnienie całej karawany. Wówczas to Kozacy, korzystając z oszołomienia przeciwnika, wśród okrzyków „ura" wpadli na wroga, urządzając rzeź kompletną. Wkrótce miejsce pola walki znaczyła krwawa plama pobojowiska, a zwycięzcy usiłowali opanować rozszalałe wielbłądy i gromadzili zdobycz, która przechodziła wszelkie oczekiwania. Zdobyto skrzynie kosztownych win i koniaków francuskich, kompotów, mięsnych i rybnych konserw, ciast, cukru i kawioru. Na 150 wielbłądach znaleziono wyborną białą mąkę. Były tam dalej całe masy materiałów wybuchowych i amunicji, mundurów, sukna, kilkadziesiąt tysięcy srebrnych tajanów i skrzynia jamb srebra, co stanowiło nie lada bogactwo. Późną dopiero nocą zwycięzcy zasiedli przy roznieconych na skrwawionym śniegu ogniskach, racząc się wyborną strawą.

XXIV. ZDOBYCIE URGI

Główne siły wojsk chińskich koncentrowały się w Urdze, tj. w stolicy Mongolii, mniejsze zaś oddziały rozrzucone były w większych osadach i ważniejszych punktach terytorium. Na północnej granicy bolszewickie oddziały pomagały gaminom tępić białych, dzieląc się z Chińczykami zrabowaną zdobyczą. Chińczycy byli bezlitośni dla zbiegów z raju bolszewickiego. Sami gubernatorowie

polecali starostom chińskim przedstawiać dokładne spisy ludności europejskiej, w szczególności zaś wojskowych, przybyłych z Sowdepii. Tych, którzy nie posiadali chińskiego paszportu ani pozwolenia na pobyt i przejazd przez Mongolię, aresztowano i osadzano w więzieniu. Kto mógł, chronił się pod opiekę wrogich Chińczykom Mongołów, inaczej, o ile nie poniósł natychmiast śmierci, spotykały go nieludzkie katusze. Aresztowanych zakuwano w drewniane belki, bito bambusem w pięty i morzono głodem. Uwięzieni w zimnych, wilgotnych piwnicach gnili we własnych nieczystościach lub żywcem pożerani byli przez szczury. Jedynie na zachodzie, gdzie kręciły się liczniejsze oddziały „białych", bezpieczniej było Europejczykowi.

Pierwsze oblężenie Urgi przez barona było niefortunne. Przybywszy z Kerulenu, po wstępnym boju musiał się cofać, zostawiając kilkadziesiąt trupów i armatę. Tylko w okolicy Chara-goł udało mu się stoczyć zwycięską walkę z wielkim oddziałem Chińczyków i Czacharów, idącym na pomoc oblężonym. Równie bezskuteczne było następne 3-dniowe natarcie. Położenie Ungerna było bardzo trudne, gdyż Mongołowie, chętni do walki z Chińczykami w otwartym polu, odmawiali udziału w zdobywaniu miasta, w którym mieszkał Bogdo-gegen. Podniesienie ręki Mongołów na to święte miejsce miało – wedle wierzeń mongolskich – spowodować wszystkie możliwe kary na cały kraj.

Wówczas w głowie generała zrodził się szalony plan wykradzenia z Urgi aresztowanego przez Chińczyków Bogdo-gegena.

Poinformowawszy wpierw Bogdo-gegena o swym zamiarze, przeprowadził Ungern kilkudziesięciu śmiałków przez świętą górę Bogdo-uła i wyciąwszy do nogi straż otaczającą aresztowanego „boga", uciekł z nim od 12000 gaminów chińskich, tworzących garnizon Urgi.

Teraz można było prowadzić swobodnie oblężenie i Mongołowie nie mieli żadnych zastrzeżeń co do swej pomocy. W tych warunkach rozpoczęło się trzecie oblężenie, wspomagane przez artylerię okopaną na świętej górze Bogdo-uła. Chińczycy ufortyfikowali wzgórza okalające Urgę, razili celnie strzałami z karabinów żołnierzy Ungerna; jednak artyleria chińska była prawie

bezsilna wobec dzielnych puszkarzy barona. Sytuacja dla oblegających była ciężka i jedynie szalona śnieżyca, mrożąca do szpiku kości, dopomogła Ungernowi w rozstrzygającym ataku. Widząc, jak Chińczycy tracą pozycję za pozycją, generalicja ich rzuciła się do ucieczki, co znów zupełnie zdemoralizowało gaminów.

Na czele kilku sotni Kozaków pułkownik Laurionow wyciął broniących się w Urdze gaminów. Korzystając jednak z zamieszania, ukrył znalezione wówczas zapasy złota, za co poniósł z rozkazu barona śmierć. Ungernowcy zdobyli wielkie skarby w pieniądzach, amunicji i odzieży, sześć pudów złota w monecie i piasku, 80 pudów srebra w jambach i sztabach, monecie chińskiej i rosyjskiej, znaczną liczbę papierowych chińskich banknotów, wystawionych przez bank w Kałganie, kilkanaście pak banknotów carskich rosyjskich, poza tym wiele wyrobów jubilerskich i brylantów. Nie brakło i broni: a wiec było 8 armat, w tym 3 japońskie górskie działa Arisaka, 2 polowe rosyjskie 3-cal., 2 niemieckie górskie Maksima i kilka starego rosyjskiego systemu, zaopatrzone w 12000 sztuk pocisków!

Zdobyto bardzo wiele karabinów maszynowych, prawie wszystkich systemów europejskich, w tym kilka chińskich, wyrabianych w Szanghaju, o cudacznych nazwach. Składy zawalone były bronią ręczną i amunicją, jak również bielizną i umundurowaniem. Nie brakło także warsztatów mechanicznych i samochodów. Wydaje się wprost niepojętym, jak Ungern ze swą garstką mógł zdobyć tak silnie obsadzoną wojskiem Urgę. Przyczyna leżała w samej naturze Chińczyków, którzy byli nie żołnierzami, ale kupcami; dlatego też posiadali do 12 armat zaledwie 3 szóstki koni artyleryjskich, a w sztabie zamiast planów operacyjnych znaleziono rachunki i kalkulacje handlowe. Nawet w chwili popłochu pamiętali oficerowie chińscy o pakowaniu futer i kosztowności, a za ich przykładem gamini, zamiast stawiać opór wchodzącemu nieprzyjacielowi, rabowali domy kolonistów.

Owładnąwszy Urgą, baron rozpoczął pościg za pokonanym wrogiem na północ w stronę Majmaczenu i na południe ku Ude. Chińczycy, uzbrojeni w karabinki i pistolety Mauzera, nie mogli

stawić czoła strasznej białej broni Kozaków, przy czym jako marni jeźdźcy rzucali się często do pieszej ucieczki.

Jeden z oddziałów, złożony z 4000 gaminów, uciekał w pełnym uzbrojeniu w okolicę Sair-Ussu, podążając bezdrożami do Kałganu. Ścigał go z 280 ludźmi i baterią pułkownik K. Zgubiwszy ślady wśród zawieruchy śnieżnej, znalazł się niespodziewanie w pustyni Gobi. Tu przypadkiem tylko odnalazł ścigany oddział i zmusił go kilkoma armatnimi salwami do kapitulacji.

Trudniej wojować było z Czacharami na północnym odcinku, bo ci dzielni synowie stepów nawykli byli od dzieciństwa do walki. Zrezygnowali jednak i oni z oporu i weszli jako wierni sprzymierzeńcy w służbę Ungerna.

Urga przez kilka dni przeżywała krwawy chrzest, ale gdy za grabieże i gwałty Ungern zaczął karać śmiercią – zapanował spokój. Stolica Mongolii powoli zmieniała swój wygląd. Zniknęły tamujące przejścia kupy śmieci, naprawiono mosty, puszczono w ruch elektrownię, oświetlając ciemne dotychczas uliczki, montowano radiostację, budowano warsztaty mechaniczne i garaże, uruchomiono garbarnię.

Jednocześnie odbywano uroczyste obchody na cześć barona, „Dzańdzuń-chana". Generał otrzymał, jako chan Mongołów, 11 białych wielbłądów i 40 siwych koni. Złożono dziękczynne ofiary z racji oswobodzenia Mongolii od tyranii chińskiej, a sędziwy Bogdo-gegen odznaczył godnościami i orderami oficerów Ungerna. Wkrótce oddziały kozackie wróciły z pościgu i rozlokowały się w mieście, którego komendantem był esauł Bezrodnych, a po jego wyjeździe pułkownik Sipajłow, zwany przez żołnierzy „Makarka duszogubiciel wielki". Był to człowiek pozbawiony zupełnie sumienia. Mordował on ludzi z sadystycznym wyrafinowaniem i często przechwalał się swymi zbrodniczymi czynami. W piwnicy domu, w którym mieszkał, znajdowała się wynaleziona przez niego maszyna do duszenia ofiar, często jednak pracę maszyny zastępował jego pomocnik. Kto tylko miał jakikolwiek dobry wpływ na Ungerna, ten ginął z ręki Sipajłowa.

Oficerowie, żołnierze i koloniści w Urdze do tego stopnia bali się tego pułkownika, że gdy pojawiał się, milkły rozmowy, towarzy-

stwo zaś rozchodziło się. Baron brzydził się Sipajłowem, lecz czuł przed nim jakiś fanatyczny strach.

Po zakończeniu uroczystości często generał odbywał podróż samochodem do Majmaczenu i Wan-chure, gdzie przebywał pomocnik jego, generał Riezuchin i gdzie odbywano wspólne narady z pułkownikiem Kazagrandi i Szyłowem.

Baron, otoczony jeszcze innymi podobnymi do Sipajłowa ludźmi, jak: Żenia Burdukowskij, Wiesiołowskij i esauł Małmajew, zwany z powodu małego wzrostu „Makar małyj", zdobył dzięki ich postępowaniu przydomek „krwawego".

XXV. WYPRAWA NA TROICKOSAWSK

W chwili uspokojenia Mongolii po dokonanym pogromie gaminów, przybył z Chajłaru pułkownik, wysłaniec hetmana Siemionowa z ważnymi planami, dotyczącymi wspólnej ofensywy na froncie bolszewickim.

Hetman Siemionow w nadziei owładnięcia całą częścią Syberii, od Nowonikolska aż po jezioro Bajkał, będącą podówczas rodzajem buforowego państewka pod nazwą „Dalnie Wostocznaja Respublika", chciał wspólnie z Japończykami zniszczyć wojska republiki i połączyć się z Ungernem. Jednocześnie baron miał wzniecić powstanie w południowej części Syberii, zniszczyć linię kolejową nad Bajkałem, aby odciąć bolszewikom drogę dla wysłania pomocy i uderzyć z tyłu na przeciwnika.

Plany były znakomicie obmyślane, ale wykonaniu ich stawała na przeszkodzie odległość. Raz czy dwa razy łączył się hetman Siemionow z Urgą za pomocą radia z Władywostoku, po czym nastąpił zupełny brak jakichkolwiek wieści w ciągu prawie miesiąca.

Trzeba było rozsyłać zaufanych ludzi dla uzyskania informacji o sytuacji militarno-politycznej. Po zajęciu Urgi przez Ungerna, stała się ona punktem nader ożywionym i pełnym poselstw ze wszystkich zakątków Mongolii. Nawet dalajlama z Lassy tybetańskiej przysłał swych przedstawicieli.

Baron, mimo nawału spraw, zajmował się studiami nad religią buddyjską, czytając z najświatlejszymi lamami Mongolii i Tybetu

stare księgi i przepowiednie świętych chutuchtu. Ungern prowadził życie bardzo skromne, mieszkał w jurcie, ubierał się w jedwabny żółty terłyk w kwiaty, taki. jaki mogą nosić tylko chanowie, i wygodne do konnej jazdy buriackie buty. W czasie pobytu barona w Urdze, przybył tam rodak nasz, prof. Ossendowski. Obok wielu cennych rad profesor dał generałowi przepis na wyrabianie duszących gazów z cyjanku potasu, którego wytwarzanie zostało mi później powierzone. Niebawem Ossendowski, obdarowany przez generała i Bogdo-gegena, opuścił Urgę, udając się do Pekinu, opatrzony listami ochronnymi. Wkrótce potem baron z całym wojskiem udał się pod Troickosawsk nad Selengę, zabierając oddziały spod Majmaczenu. Gdy wojska barona zajęły już przedmieścia Troickosawska, zjawiły się posiłki bolszewików spod Irkucka. Kilka pułków kawalerii oraz sprowadzona na parowcach artyleria znalazły się na tyłach Konnej Azjatyckiej Dywizji. Jedynie spryt pojedynczych dowódców pułkowych i nienawiść do bolszewików uratowały wojsko Ungerna od zupełnej klęski. Na domiar złego, pojawiły się aeroplany bolszewickie, warkot oraz rzucane z nich bomby przerażały ludzi i zwierzęta. Wielbłądy strwożonym wzrokiem śledziły ruchy płatowców i albo uciekały jak oszalałe w step, albo niby zahipnotyzowane kładły się na ziemię. Zwierzęta te zawlokły 4 armaty na bolszewicką pozycję, a kilkaset jucznych dwugarbów, ułożywszy się na ziemi, pozostało tam mimo razów i ognia.

Niespodziewanie rozeszła się pogłoska o śmierci Ungerna. Resztki armii ruszyły w górę Selengi, ale wkrótce zjawił się z dwiema sotniami Japończyków baron, raniony tylko poważnie w nogę. Objąwszy znów naczelne dowództwo, stanął Ungern w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od Wan-chure, lokując dywizję po obu brzegach Selengi.

Straty pod Troickosawskiem były wielkie, najbardziej jednak ciężka dla Ungerna była śmierć Dżam-Bałona. Ten dzielny książę pierwszy wdarł się ze swą jazdą na przedmieście Troickosawska i zginął bohaterską śmiercią.

XXVI. KONNA AZJATYCKA DYWIZJA

Znalazłszy się w obrębie Konnej Azjatyckiej Dywizji, zaznajomiłem się w krótkim czasie ze sztabem I brygady, w którym znalazłem wielu znajomych z okresu walk na Uralu w 1918 r. Pierwszego dnia po przyjeździe, wieczorem, zawezwano mnie do generała, który zaprosił mnie na kolację. Baron wypytywał o przejścia w Sowdepii, stosunki w Urianchaju, a wreszcie o plany na przyszłość. W rozmowie, prowadzonej w tonie przyjaznym, prosiłem barona o ułatwienie mi wyjazdu do Chin, skąd przy pomocy konsulatów udać się chciałem w dalszą drogę do kraju. Lecz generał, wpatrując się we mnie swymi jasnymi oczyma, rzekł:

– Pan zostanie przy mnie w dywizji. Nie mam ani jednego technika, a pracy jest dużo. Zresztą lama wróżył przed chwilą, że pan wróci do kraju swego dopiero po mojej śmierci. Wiąże nas wspólna nienawiść do bolszewizmu. Chcę mieć przy sobie kogoś bliskiego mi, gdyż ci – tu wskazał ręką na obóz – boją się mnie, a duszy „szalonego generała" nie rozumie nikt.

Noc całą spędziłem z baronem na rozmowie, którą prowadziliśmy w języku niemieckim. Z rozmowy tej wywnioskowałem, że Ungern do ostatniego tchnienia będzie walczył z bolszewikami, a Zabajkale spłynie obficie krwią.

Przeczucie mówiło mi, że ten człowiek, pragnący ratować świat przed strasznym polipem, rujnującym kulturę i postęp duchowy, zginie, niezrozumiany przez swoich oficerów, uważających go za sadystę i zbrodniarza. Zgodziłem się pozostać w dywizji. Chciałem być świadkiem jego zmagań duchowych i czynów, nazywanych przez wrogów barona „niepoczytalnymi".

W ciągu paru pierwszych dni rozglądałem się po dywizji, poznając jej skład. Pierwszą brygadę stanowiły dwa kawaleryjskie pułki, dywizjony mongolski i japoński i jedna bateria o 2 działach. Pułki dzieliły się na sotnie przeważnie kozackie; kubańców, dońców, orenburców, jenisejców i zabajkalców.

Pierwszym pułkiem dowodził pułkownik Markow, drugim – pułkownik K., późniejszy szef sztabu dywizji. Dywizjonem mongolskim dowodził Baszyrty Gun, książę z okolic Chatchyłu. Dowódcą dywizjonu japońskiego był kapitan Maruta.

Druga brygada składała się z dwóch pułków kozackich, dywizjonu chińskiego pod dowództwem porucznika P., dywizjonu karabinów maszynowych pod pułkownikiem Efarickim i dywizjonu górskiej artylerii pod dowództwem pułkownika Dmitriewa. Przy drugiej brygadzie znajdowały się tabory intendentury, czerpiące prowiant z głównych składów Baranowa. Licząc z pojedynczymi oddziałami wywiadowców, dywizja obejmowała około 6000 ludzi i 11000 koni. Końmi i bydłem zarządzał chorąży Burdukowskij.

Inżynier Wojciechowicz złączył za pomocą drewnianego mostu przez Selengę oba obozy, po czym wyjechał do Urgi. Z mostu pozwalano korzystać tylko intendenturze i szpitalom, ludzie i konie dla przyzwyczajenia się przebywać musieli rzekę wpław.

Po kilku dniach otrzymałem od barona rozkaz udania się do II brygady i przygotowania tam gazowych pocisków.

Do pomocy otrzymałem chemika z Urgi Michajłowa i paru rzemieślników-żołnierzy. Ponieważ generał Riezuchin, dowodzący tą brygadą, bał się nieszczęśliwego wypadku w obozie, urządziłem laboratorium na wysepce Selengi. Mając wszelkiego rodzaju narzędzia, łatwo mogliśmy fabrykować skrzynki wybuchowe; gorzej było z gazami, gdyż do przechowywania kwasu siarczanego potrzebne były butelki szklane, o które trudno było w stepie. Właśnie miałem się udać na rozkaz barona po zakup tych niezbędnych przedmiotów do Wan-chure i Urgi, gdy zatrzymał mnie wylew rzeki. Wysepka moja została zalana falami i to tak szybko, że ledwo zdołaliśmy wywieźć zapasy wybuchowe; namiot mój i bielizna popłynęły już do Bajkału.

Powódź zmusiła całą drugą brygadę do cofnięcia się w głąb stepu. Cały dzień walczyliśmy z potęgą fal, które złowrogo szumiąc, unosiły w naszych oczach trupy ludzi, koni i owiec, chatki i jurty.

Jednocześnie zjawił się nowy powietrzny wróg, aeroplan, w którym dzięki mym wybornym szkłom Zeissa rozpoznałem samolot bolszewicki. Naczelnik dywizji dał rozkaz witania na przyszłość podobnych gości ogniem dział i kulomiotów. Nazajutrz zbudziła nas kanonada. Aeroplan rzucił 18 nieszkodliwych bomb, z których jedna spadła nawet w środek artyleryjskiego parku, inne zaś trafia-

ły w rzekę, podnosząc olbrzymie słupy wody. Odtąd przez kilka następnych dni trapiły nas odwiedziny samolotów.

Na 180 bomb, rzuconych przez bolszewickich lotników, jedna tylko zraniła poważnie 2 żołnierzy.

Ponieważ jednak te poranne odwiedziny nie pozwalały wypędzać tabunów koni i bydła na paszę, przenieśliśmy się niepostrzeżenie w zarośla wpadających do Selengi potoków i od tego czasu zapanowała cisza.

Po obozie zaczęły krążyć alarmujące wieści o 80000 armii bolszewickiej, idącej na podbój Mongolii dla unicestwienia dywizji barona Ungerna. Bolszewicy jakoby szli na Urgę, Wan-chure, Dzain-szabi i Chatchył. Wiadomości te były znane baronowi, gdyż wręczając mi dokumenty służbowe i dżarę, zabronił zatrzymać się dłużej w Urdze. Musiałem się śpieszyć, aby uprzedzić porucznika Balka, przebywającego w Urdze dla reperacji armat, o zbliżającym się niebezpieczeństwie i wyekspediować działa. W powrotnej drodze miałem zbadać stan komendy mongolskiej w Wan-chure, a w razie alarmu cofnąć się do Dzain-szabi i tam oczekiwać rozkazów barona.

XXVII. DA-CHURE

Stolica Mongolii Urga, położona nad brzegiem Toły u ujścia rzeki Selby, jest rezydencją głowy mongolskiego lamaizmu, a zarazem stanowi centrum administracyjnego i handlowego życia. Nazwa Urga jest właściwie europejska, gdyż Mongołowie nazywają to miasto Da-chure, tj. wielki klasztor, albo Örgö, czyli dwór.

Kiedy właściwie Urga powstała – nie wiadomo, historyczne wiadomości o niej zaczynają się od czasów Undur-gegena, syna Tuszetu-chana, a pierwszego w Mongolii chubiłgana, znanego apostoła buddyzmu w Indiach i Tybecie. Dżibcun-Taranata-Gunga-Nimbo, a wiec od 1649 roku.

Założony przez Undur-gegena klasztor nie znajdował się jednak stale na jednym miejscu, lecz koczował często, przenosząc swe świątynie.

Drugi chubiłgan Łubsan-Damba-Donmi, syn cin-wana Dondob-Dorczi, począł sprawować godność swego poprzednika

w Mongolii, w Urdze, w 1729 r., jednak w 13 lat potem w czasie powstania Ceren-Dondoba przeciw Mandżurom chutuchta musiał opuścić rezydencję i wrócił dopiero po ukończeniu zamieszek w kraju, tj. po dziesięciu latach. Od tego czasu chutuchta przebywał stale w Urdze, założył tu pierwszą w Mongolii szkołę wyższej dogmatyki buddyjskiej Canit oraz zorganizował pod koniec swego życia osobną kastę lamów-lekarzy, co spowodowało ściągnięcie do miasta znacznej liczby lamów z całej Mongolii. Napływ uczących się był tak wielki, że wkrótce obok świątyni Canitu utworzyła się jak gdyby nowa dzielnica, nazwana Gandon.

Później na rozkaz pekińskiego rządu założono w Urdze osobny urząd dla spraw poddanych chutuchty, tj. szabinarów, oraz naznaczono mongolskiego ambana (namiestnika), który miał pomagać w kierowaniu tym urzędem. W 1761 r. naznaczono do Urgi jeszcze jednego ambana, tym razem Mandżura, dla prowadzenia spraw dwóch wschodnich ajmaków: Cecen-chana i Tuszetu-chana. W ten sposób Urga, będąc już stolicą mongolskich chutucht, stała się także głównym punktem administracyjnym kraju, odbierając pierwszeństwo Ulasutajowi.

W międzyczasie kupcy chińscy poczęli zakładać swe sklepy w pobliżu chure, przez co powstał Majmaczen, tj. miasto targowe. Później w ich ślady poszli kupcy rosyjscy i teraz faktoria rosyjska tworzy osobną dzielnicę tuż koło głównego chure.

Obecna Urga, leżąc w ogromnej dolinie rzeki Toły, przedstawia się niezmiernie malowniczo. Od strony północnej zasłonięta jest grzbietem Czingiltu-uła, a od południa prześliczną lesistą górą Bogdo-uła (Chan-uła), uchodzącą u Mongołów za świętość. Przed zdobyciem Urgi przez Ungerna, w promieniu widzenia Bogdo-uła, nie wolno było wykonać wyroku śmierci, a w lasach tej góry żyło mnóstwo zwierząt niepłoszonych przez nikogo.

Główną częścią miasta jest stary klasztor, tzw. Kureń, obok którego znajdują się budynki administracyjne, mieszkania urzędników mongolskich, bazary i sklepy oraz pracownie Chińczyków, a także sporo domów kolonistów rosyjskich. Na zachód od Kurenia, zlewając się z nim prawie, znajduje się Gandon. Nad wszystkimi świątyniami góruje tu chram Ariabalo, wybudowany przez la-

mów jako ofiara mająca przywrócić wzrok ostatniemu Bogdo-gegenowi. Wkoło Gandona widać mnóstwo suburganów. Ze wschodu przypiera do Kurenia faktoria rosyjska i tu znajduje się konsulat rosyjski, cerkiew, garbarnia, szkoła handlowa, poczta oraz kilkadziesiąt domów, dalej zaś, w oddaleniu kilku kilometrów rozciąga się Majmaczen, wywierający przykre wrażenie. Ulice Majmaczenu są tak wąskie, że dwóch jezdnych z trudnością tylko może się rozminąć, a wzdłuż tych uliczek ciągną się wysokie mury i częstokoły, jakby mury cmentarne. W ogrodzeniach tych tu i ówdzie widać bramy, dopiero za tymi murami leżą domki Chińczyków, sklepy i składy towarów. Najbardziej ożywioną częścią Majmaczenu jest bazar; pełno tu straganów, jadłodajni, mnóstwo Mongołów i Mongołek, krzyk, śmiechy i rwetes.

Patrząc na Majmaczen, na jego pokrzywione, wąziutkie i puste uliczki, biegnące w różne strony, poczerniałe mury ogrodzeń, w których jaskrawymi plamami odznaczają się bogato nieraz rzeźbione wrota, na maleńkie kumirnie, gdzie przed posągami karykaturalnych bóstw płoną wieczne lampy, patrząc na olbrzymie bo siedem kilometrów długie a prawie półtora szerokie zbiorowisko ciemnych murów i częstokołów, wśród których tylko tu i tam widnieją wysokie maszty, oznaka domów rządowych, ma się wrażenie, że roić się tam powinno od ludzi, kotłować jak w ogromnym mrowisku, tymczasem Majmaczen świeci prawie pustkami i wszędzie poza bazarem panuje tam cisza cmentarna. Zdawałoby się, że to jedna z dobrze zachowanych ruin, tak często spotykanych w Mongolii, można by pomyśleć, że to niedawno rozegrane wypadki wojenne wyludniły tę dzielnicę miasta.

Tak nie jest. W Majmaczenie mieszka około 60000 Chińczyków, ale życie ich płynie wewnątrz domów odgrodzonych od siebie i ulic wysokimi częstokołami i murami. Chińczyk, ubrany w swój długi czarny chałat, w pilśniowe papucie, przemyka uliczką szybko, trwożliwe jak jakaś ciemna mara i znika równie szybko gdzieś we wrotach.

Na samym końcu Majmaczenu, na dużym placu, otoczonym walącym się tu i ówdzie murem, znajduje się chińskie cmentarzysko. Nie jest to jednak miejsce wiecznego spoczynku w pojęciu eu-

ropejskim. Wedle chińskiego zwyczaju, każdy Chińczyk zmarły na obczyźnie winien być pochowany na rodzinnej ziemi, przeto cmentarzysko w Urdze jest tylko czasowym składem nieboszczyków, którzy mają być odesłani do Chin. Leży tu zawsze kilka lub kilkanaście grubych, niezgrabnych skrzyń, często jaskrawo pomalowanych, a w skrzyniach tych zwłoki. Karawany zmarłych odsyłane bywają dopiero wtedy, aż zbierze się znaczniejsza liczba nieboszczyków, gdyż koszta pojedynczej wysyłki byłyby zbyt wielkie. Można sobie przeto wyobrazić, co za straszna woń panuje na cmentarzysku, bowiem skrzynie z zawartymi wewnątrz, rozkładającymi się trupami, oczekują na transport, leżąc cały czas na wierzchu, poddane działaniu aury.

W czasie pobytu mego w Urdze, na cmentarzu chińskim leżało kilkadziesiąt skrzyń zawierających ofiary wojny, które długo zapewne czekać musiały na tysiąckilometrową wędrówkę przez stepy do granic „Środkowego Państwa".

Inaczej przedstawia się cmentarzysko mongolskie.

Jest to spory wąwóz, oddalony od miasta, szeroki, otoczony pagórkami, gdzie w jamach i pieczarach gnieżdżą się psy-grabarze. Cała powierzchnia wąwozu zarzucona jest tysiącami kości ludzkich, czaszek i najrozmaitszymi rzeczami złożonymi tam razem ze zmarłymi. Jak już przedtem wspomniałem, Mongołowie nie zakopują umarłych, lecz wyrzucają ich na step, w Urdze jednak, środowisku bardzo licznym, rzecz taka byłaby niemożliwa ze względu na częste zgony, wyrzuca się więc trupy do wspomnianego wąwozu. Gdy tylko oddalą się trochę ci, co odwożą nieboszczyka, wnet z jam i pieczar wypada zgraja półdzikich psów-grabarzy i trup natychmiast zostaje rozerwany na części i pożarty.

Na południe od Urgi, w oddaleniu 3 km od miasta, na drugim brzegu rzeki Toły, znajdują się dwa pałace Bogdo-gegena, kilka niewielkich świątyń oraz pełno jurt i bajszynów zamieszkanych przez świtę gegena. Do pałaców prowadzi długi most drewniany przerzucony przez Tołę, płynącą tu kilkoma szerokimi korytami. Nad brzegiem rzeki, od strony miasta widnieją poczerniałe gruzy starej twierdzy chińskiej, bliżej zaś nieco piękny pałacyk jednego z magnatów mongolskich,

Urga przed zdobyciem jej przez Ungerna przedstawiała się pod względem czystości nader ujemnie. Na ulicach pełnych kurzu leżały kupy śmieci, zdechłe psy, kał ludzki (podobnie jak w Ulasutaju, Mongołowie i w Urdze na najludniejszych ulicach i placach siadali w kuczki), a w czasie deszczów były tam bajora pełne grząskiego błota, cuchnące obrzydliwie.

Ungern zmienił całkowicie ten stan: zniknęły stosy śmieci, zamiatano i polewano ulice, kapryśna dotychczas elektrownia zaczęła należycie pracować, dając możliwe oświetlenie ulic. Widziało się codziennie rano i wieczór setki Chińczyków i Mongołów zajętych czyszczeniem miasta: wszelkie niechlujstwo karano surowo, uruchomiono dużą radiostację, przeprowadzono sieci telefoniczne. Miasto wychyliło się z brudu i błota, zajaśniało ładem i czystością.

Urga w zupełności odpowiada swej nazwie: Da-chure (wielki klasztor).

Jest to rzeczywiście największe w Mongolii zbiorowisko lamów. Wedle obliczeń Urga ma ich około 20000 w dwóch klasztorach: Da-chure i Gandonie; w roku 1921 było ich na pewno dużo więcej. Na ulicach Kurenia i Gandona, w faktorii rosyjskiej, na bazarach i koło rezydencji Bogdo-gegena spotyka się ciągle żółte i czerwone terłyki duchowieństwa, migają wśród tłumu pielgrzymów strzyżone głowy i wysokie rytualne czapki. Dostojnikom duchownym towarzyszy świta pomniejszych stopniem lamów, masa chuwaraków i band włóczy się z kąta w kąt po bazarach i sklepach. Rzesze pielgrzymów dążą do świątyń, do wróżbitów i lekarzy.

Dziwnie wygląda to miasto! Jakaś mieszanina Wschodu z Zachodem. Tu rozchylają swe bogato rzeźbione ramiona chińskie duchy świątyń, tam ogromny chram Ariabalo w poważnym stylu tybetańskim, bieleją półokrągłe jurty, obok ciemnych bajszynów krytych blachą lśnią w słońcu kopulaste dachy świątyni Majdari i Burun-örgö, a na wschód od nich strzeliste maszty radiostacji i rosyjska cerkiew. Na ulicach widzi się jadących konno Mongołów w barwnych terłykach, Mongołki z fantastycznymi fryzurami obwieszonymi srebrem, w bogatych strojach haftowanych złotem, poplamionych łojem baranim, a obok przelatuje z głośnym wy-

ciem syreny i głuchym warkotem motoru automobil, mijając zręcznie długą karawanę wielbłądów, kołyszących się lekko pod ciężarem juków. Przez plac targowy przeciąga wolno, ze śpiewem, oddział Kozaków, a za nimi na małych krępych konikach sotnia doskonale wyćwiczonych Mongołów, ubranych w jednostajne niebieskie terłyki. Tłum biegnie patrzeć na to widowisko, a wśród tego tłumu widać Mongołów, wysokich, barczystych Tybetańczyków, harde twarze Czacharów, chytre, smagłe lica Sartów, brodatych Rosjan, Buriatów, wszelkie rasy, narodowości i szczepy, różniące się rysami, ubraniem, mową czy też tylko odmiennym sposobem siedzenia na siodle.

XXVIII. U BOGDO-GEGENA – POWRÓT DO WAN-CHURE

Sprawy moje w Urdze nie wymagały wiele czasu, przeto już na drugi dzień jechałem do pałacu Bogdo-gegena, któremu miałem oddać listy.

Na drodze wiodącej do rezydencji „boga" przewalał się tłum pielgrzymów, każdy chciał dotknąć ręką sznura otaczającego pałac. Mongołowie wierzą, że koniec trzyma w ręce Bogdo-gegen i tą drogą przesyła im swe błogosławieństwo, przeto dotknięcie tego sznura jest analogicznym z dotknięciem samego gegena. Wśród pielgrzymów kręcą się dyżurni lamowie, rozdając za zapłatą czerwone skrawki materii, znak odbytej pielgrzymki, albo też sprzedają długie pasma papieru z wypisanymi modlitwami. Papiery te nakleja się później na młynki modlitewne.

Bogdo-gegen, głowa lamaizmu w Mongolii, był 23. inkarnacją tybetańskiego Taranaty w ogóle, a ósmą żyjącą w Mongolii. Urodził się w Tybecie w 1870 r. i jako pięcioletni malec, po otrzymaniu święceń od dalaj-lamy w Tybecie, przewieziony został do Urgi. Oficjalny tytuł Bogdo-gegena brzmi: Szadżin-Teru-Chabsyn-Barikczi-Nari-Bogdo-chan.

Bogdo-gegen odegrał w życiu politycznym Mongolii rolę bardzo ważną, gdyż jako człowiek o wysokich aspiracjach dążył do uniezależnienia kraju, przyczyniając wiele trosk rządowi pekiń-

skiemu. Życie jego jako osoby duchownej nie szło zupełnie w parze z dogmatami religii.

Bogdo-gegen zapijał się do utraty przytomności alkoholem, prowadził życie rozpustne, aż wreszcie wbrew religii, nakazującej mnichom bezżenność – ożenił się.

Wskutek hulaszczego życia stracił wzrok i wtedy lamowe wystawili ową wspaniałą świątynię Ariabalo, jako ofiarę mającą „bogowi" wzrok przywrócić.

Pałace Bogdo-gegena, dwa nad rzeką Tołą, jeden w głównym klasztorze w Kureniu, były zbiorowiskiem wszelkich możliwych rzeczy. Zajmując się czas jakiś fotografią, sprowadzał aparaty różnej wielkości, potem zachwycał się gramofonami, arystonami, aby po pewnym czasie zabrać się do chirurgii itp. Był to człowiek niespokojny, o słabym charakterze, wodzony za nos przez żonę i klikę nadworną, która przy boku władcy mogła bezkarnie nabijać kieszenie i zajmować co lepsze stanowiska. Władza Bogdo-gegena była tak wielka, że mógł on zmieniać ministrów wedle swej woli, decydować o najważniejszych sprawach bez rady ministrów – słowem miał władzę nieograniczoną.

Ludność mongolska czciła w nim władzę, ale stokroć więcej wcielenie „boga".

Wyszedłem z pałacu chana Mongolii, obdarowany talizmanem w postaci srebrnego jajka, na którym wyryte było imię Bogdo-gegena, powróciłem na kwaterę. Zaniepokojenie, wywołane wieściami o zbliżających się do stolicy wojskach bolszewickich, potęgowało się coraz bardziej.

Wielu Rosjan pakowało swe rzeczy, zabierało co najcenniejsze i chyłkiem umykało z miasta. Mongołowie zbierali się w gromady, radzili nad czymś, to zaczepiali każdego wojskowego, pytając gorączkowo, czy dzańdzuń Ungern nie powróci bronić stolicy.

Siedziałem przy kolacji w gronie oficerów, gdy nagle wpadł do pokoju komendant miasta, wszechwładny Sipajłow.

Natychmiast ustały rozmowy, ten i ów zakręcił się niespokojnie, ale Sipajłow nie zajął miejsca przy stole, lecz oświadczył jakimś niepewnym głosem, że otrzymał rozkaz od Ungerna, aby natychmiast wyjechał do Wan-chure. Spuściłem wzrok, aby pułkownik nie wy-

czytał w nim zdziwienia, gdyż wiedziałem, że generał miał posłać do Urgi rozkaz powieszenia komendanta. Skąd więc ta nagła zmiana rozporządzeń? Dopiero po wyjściu pułkownika rozmowa nawiązała się znowu, jedni spodziewali się, że Ungern przyjdzie stolicy z odsieczą, inni radzili ucieczkę.

W nocy ruch się zwiększył. Szukano wszędzie Sipajłowa, by dokonać na nim egzekucji w myśl otrzymanego przed chwilą rozkazu z obozu generała. Dobrych jednak miał szpiegów pułkownik w obozie barona, gdyż dowiedziawszy się wcześniej o wyroku, umknął ze swym pomocnikiem, zabierając całą kasę. Dla zmylenia śladów wymyślił ów rozkaz, wzywający go do dywizji.

Następnego dnia wyjechałem, pędząc co koń wyskoczy do Wan-chure. W osadzie panował wielki niepokój, gdyż wiedziano tu już o wojskach bolszewickich zbliżających się szeroką ławą. Miejscowy książę choszumy Dajcyn-wan, skryty wróg Ungerna i Bogdo-gegena, a sympatyk bolszewików, chcąc widocznie zawładnąć bogatymi składami intendentury, zorganizował zbrojny napad na komendanta Wan-chure, kpt. T. Napad nie udał się i Dajcyn-wan wraz z kilku swymi pomocnikami przeszedł do nirwany.

Ogólne zdenerwowanie nie udzielało się atoli lamom, którzy obchodząc doroczne święto Can, odwiedzali z procesją kapliczki otaczające chure.

Procesja ta odbywała się przy udziale tłumów odświętnie ubranych mężczyzn i kobiet, harcujących na dzielnych koniach. Z mieszkania jednego kolonisty miałem sposobność przyjrzeć się dobrze całości.

Na czele pochodu szły straszliwe maski: lwa, tygrysa i smoków, otoczone gromadą chłopaków mongolskich; maski te torowały sobie drogę za pomocą pletni i bambusów, a wchodząc na podwórze domów, wymuszały daninę, z herbaty, pieniędzy i jedwabnych materiałów.

Dalsze z kolei maski, wyobrażenia ludzkich potworów-olbrzymów, były mniej natarczywe, ale za to bardziej odstraszające. Wyobrażały one grzechy ludzkie. Następnie ciągnął podwójny sznur lamów pod baldachimami z żółtej materii. Za nimi postępowali duchowni z palącymi się pochodniami, w szatach z czerwonymi

szarfami. Mali, uczący się w chure chłopcy, nieśli na barkach kilkumetrowe trąby, w które dęli potężni mężczyźni z całych sił, wydobywając tony miękkie, basowe. Środek pochodu zajmował ołtarz kolosalnych rozmiarów, lśniący w promieniach słońca złotymi ozdobami, a ciągniony na niskim wozie przez kilkudziesięciu lamów. Między przepysznymi rzeźbami wznosiła się statua Buddy i symboliczne znaki księżyca, otoczone mnóstwem smoków i potworów. U podnóża posągu siedział siwy i poważny gegen, dusza i mądrość chure, ubrany w powłóczystą żółtą, jedwabną szatę, lamowaną złocistym brokatem. Na głowie miał żółtą jedwabną czapkę, podobną do dragońskiej. Otaczał go aromatyczny dym kadzidła, które sam sypał na żarzące się węgle. Lamowie najwyższych stopni, ubrani w czapki podobne do czapki gegena lub bogato haftowane berety, otaczali ołtarz. Za wozem postępowała orkiestra, złożona z piszczałek, fletów i bębnów, wydająca hałas stokroć gorszy od „kociej muzyki", sprawiający jednak widoczną przyjemność słuchaczom. Koniec procesji stanowiły zwarte szeregi konnych, przybranych w odświętne, narodowe szaty.

Po skończonej uroczystości odbyły się wyścigi konne i zapasy atletyczne oraz strzelanie z łuków, tej tradycyjnej broni mongolskiej. Zdumiewałem się patrząc, z jaką szybkością i celnością wbijano strzały na odległość 50 kroków w gliniane głowy Chińczyków.

Tegoż wieczoru przybył do chure setnik Szyłow, wysłany przez barona dla objęcia dowództwa jednego z oddziałów pułkownika Kazagrandi. Nazajutrz zaś esauł Pawelcow przywiózł mi rozkaz powrotu do dywizji, a zarazem polecenie wyjazdu do Szabi wraz z rodzinami dla wszystkich wojskowych z oddziału Ungerna. Wojska bolszewickie były już podobno koło urtonu Bargotaj i zajęły Fanzę dwiema brygadami piechoty. Niepomyślne te wiadomości rozproszyły zebraną u solenizanta gromadkę gości, a mnie skłoniły do natychmiastowej podróży w towarzystwie Kozaka i przewodnika.

W drodze spotkałem tabor intendentury pod dowództwem podporucznika Baranowa, uciekający przed bolszewikami w stronę chure Cecen-chana.

W obozie, dokąd przyjechałem około północy, panował wielki ruch: przeprawiano pierwszą brygadę na lewy brzeg rzeki. Z powo-

du zniszczenia mostu przez niedawny wylew, musiano na tratwach przewozić mąkę, cukier, amunicję i armaty. Przeprawa odbyła się pomyślnie; jedynie kilkunastu Chińczyków, porwanych prądem rzeki, utonęło.

Składając generałowi raport z odbytej podróży, wspomniałem, że w Urdze oczekują odsieczy, lecz baron, patrząc na mnie prawie wesoło, rzekł:

– Czy zna pan przepowiednię, która zmusza mnie iść w głąb Zabajkala?

– Nie.

– A więc niech pan słucha: Przyjdzie z północy człowiek biały, a oczy jego będą, jak kawałki lodu. Przejdzie po ziemi jak płomień i śmierć. To będzie bóg wojny, który da szczęście i spokój narodom mongolskim. Aby się ta przepowiednia sprawdziła, muszę iść nie do Urgi, ale zalać krwią Zabajkale – bo stamtąd przyjdzie bóg wojny – mówił baron, a oczy jego błyszczały fosforycznym blaskiem.

Następnego dnia przeprawiano jeszcze bydło rogate, co zabrało masę czasu, bo tylko owce można było wieźć promem, reszta, około 1000 sztuk, musiała pójść wpław. Nie szło to łatwo, kilkakrotnie tabor cały zawracał lub znosiła go woda. Nareszcie, z niewielkimi stratami, udało się, dosięgnąć drugiego brzegu. Sam Ungern w otoczeniu sztabu pilnował konno przeprawy. Nagle koń jednego Mongoła począł tonąć, pociągając za sobą jeźdźca. Generał, będąc znakomitym pływakiem, pośpieszył mu z pomocą i wpół przytomnego wyciągnął na ląd. Po przeprawieniu się na drugi brzeg rzeki przystąpiłem natychmiast do fabrykacji pocisków gazowych i min wybuchowych, których próby dały znakomite wyniki.

Tymczasem cały obóz szykowano do wojennego pochodu i ruch panował we wszystkich oddziałach.

W tym czasie odkryto spisek bolszewicki, zorganizowany w dywizji przez indywiduum podające się za Polaka, doktora Jezierskiego. Był to zwyczajny aferzysta; po przeprowadzeniu śledztwa wraz z wspólnikami spisku został rozstrzelany.

Jednocześnie przybyło poselstwo od dalaj-lamy z Tybetu z bogatymi darami. Tybetańczycy byli wysokiego wzrostu, o szlachetnych

rysach twarzy, zwłaszcza piękne były ich czarne, głębokie oczy. Różnili się od lamów mongolskich gęstymi, fryzowanymi, czarnymi czuprynami, które spinali srebrnymi klamrami.

Nowi goście, z którymi szybko zawarłem przyjaźń, zaproponowali wspólny wyjazd do Lassy i obiecywali mi stanowisko przy dworze dalaj-lamy. Ponieważ baron nie protestował, cieszyłem się więc niezmiernie, iż będę miał możność dotrzeć do serca tajemnic, zakrytych przed oczyma zwykłych Europejczyków. Niestety, w dzień odjazdu Tybetańczyków, baron zabronił mi opuszczenia obozu, wobec braku innego specjalisty. Otrzymałem tylko od moich nowych przyjaciół cenne upominki. Nasi Mongołowie otaczali Tybetańczyków niezmierną czcią. Zastępy pielgrzymów błagały ich o porady lekarskie, wróżby lub błogosławieństwo. Padano przed lamami na twarz i całowano skraj ich szat

Pewnego dnia przyszła wiadomość o wzięciu Urgi, przyniesiona przez zbiegów ze stolicy. Baron z dnia na dzień był coraz bardziej zdenerwowany, zmieniał wciąż szefów sztabu. Pułkownika Lwowa posadził na 24-godzinny odwach, następcę jego, Tomaszewskiego, obił taszurem i odesłał do pułku.

Najdłużej trzymał się na swym stanowisku pułkownik K.

Szefem sztabu u generała Riezuchina był pułkownik Ostrowskij.

Miłość żołnierzy do nerwowego barona jeszcze nie osłabła, chociaż obawiali się go jak ognia.

XXIX. W ZABAJKALSKIM KRAJU

Niespodziewanie pewnej nocy zatrąbiono na alarm. W ciągu godziny wyruszyły w drogę pułki kawaleryjskie, artyleria, stada, wreszcie tylna straż. Ja ze swym oddziałem gazowo-wybuchowym miałem oczekiwać specjalnych rozkazów. Po paru godzinach okazało się, że alarm wszczęto dla wypróbowania sprawności wojsk. W 2 dni potem wyruszyliśmy jednak naprawdę w stronę Dzunu-Dżasak, gdzie już nasza przednia straż toczyła walkę z bolszewikami. Przybyłem tam z 3. baterią, dowodzoną przez kapitana O., a złożoną z dwóch wybornych dział Arisaka i opatrzoną w kruppowską amunicję.

Zająwszy wskazany przez barona punkt, udaliśmy się z kapitanem O., aby obrać miejsce obserwacyjne na jednym z okolicznych wzgórz. Armaty „czerwonych" zasypywały ogniem naszą spieszoną konnicę, a karabiny maszynowe siekły gradem kul. Kapitan O. jednak zmusił celnymi strzałami tyralierę bolszewików do cofnięcia się i do zmiany pozycji dział. Korzystając z tego, nasz pierwszy pułk rzucił się do ataku. Powitany gęstymi karabinowymi strzałami, nie uląkł się, lecz dopadłszy bolszewików, jął ich ciąć białą bronią. Pod naporem Kozaków zachwiały się kolumny bolszewickie, lecz natychmiast otrzymały pomoc całej brygady. Groźną sytuację uratowały szrapnele pierwszej baterii porucznika Balka, którego spokój i zimna krew przyczyniły się do ocalenia pułku. Niespodziewane jednak przerwanie przez wrogów lewego skrzydła chińskiego dywizjonu i zajście nam tyłów – przechyliło znów szalę zwycięstwa na stronę czerwonych. Walka przeszła w krwawy morderczy bój, którego ostatecznym rezultatem było zdobycie przez Chińczyków bolszewickich armat. Jednocześnie bitwa, tocząca się na prawym skrzydle, zaczęła przybierać zatrważający dla nas obrót. Rozbicie dywizjonu chińskiego wzbudziło panikę w szeregach ungernowców, pierzchających w popłochu pod naciskiem wrogów. Na widok bliskiej klęski, baron, na czele sławnej 5. sotni orenburców, rzucił się do ataku, wskrzeszając ducha w zdjętych paniką szeregach. Sytuacja została uratowana. Bitwa pod Dzunu-Dżasakiem skończyła się zupełną porażką bolszewików. Od jeńców dowiedzieliśmy się, iż sztab generalny 5. armii sowieckiej był tak pewny pojmania barona, iż obsadziwszy wojskami wszystkie drogi do Rosji, obchodził już 3 lipca 1921 r. w Irkucku święto zwycięstwa nad Ungernem.

Po bitwie, zaraz wieczorem, ruszyliśmy na zachód od Selengi, kierując się ku górom, pokrytym lasami. Szliśmy wyciągniętym marszem aż do następnego popołudnia, zatrzymując się tylko na trzygodzinny odpoczynek o północy. Znalazłszy się w bezludnej okolicy na bezdrożach, a korzystając z otaczających nas błot, spokojnie wypoczywaliśmy całą dobę. Ranni zostali wysłani do Dzain-Szabi, lecz bolszewicy chwycili ich w drodze, eskortę wycięli, rannych zaś wraz z wozami powrzucali do

Selengi. Smutną tę wieść potwierdził jedyny wyratowany przez Mongołów woźnica.

Wypoczynek dywizji przerwała wiadomość o pogoni bolszewickiej. Ruszyliśmy więc naprzód, pędząc dzień i noc, wypoczywając zaledwie po parę godzin na dobę. Pięliśmy się długim wężem wśród gór i lasów, to znów zapadaliśmy w doliny.

Na czele postępowała druga brygada generała Riezuchina jako awangarda, dalej ciągnęły tabuny koni, krów i owiec, za nimi zaś dywizjony: mongolski, chiński i japoński z sotniami Kozaków, intendentura i szpitale. Artyleria i oddział gazowy poprzedzały pułki I brygady, zamykającej pochód. Ariergardę prowadził esauł Zabijakin, a na skrzydłach pomykały wywiadowcze oddziały Mongołów.

Wkroczywszy w góry, posuwaliśmy się bardzo wolno. Olbrzymie lasy tamowały przejścia. Jedynymi żyjącymi stworzeniami, jakie spotykaliśmy tutaj, były stada szybkonogich jeleni i poważnie kroczące niedźwiedzie.

Drogę wśród niebosiężnych sosen i cedrów musieliśmy wyrąbywać toporami i usuwać olbrzymie pnie, zwalone przez wichry i burze. W wąwozach trzeba było układać nad przepaściami mosty, mniejsze wyrwy i szczeliny zasypywać chrustem i gruzem, skały rozsadzać dynamitem. W niektórych miejscach armaty przeciągano na linach lub przenoszono. Łamały się wozy i rwała uprząż, ludzie zalewali się potem, a jednak nikt nie szemrał i nie ociągał się. Złamane części zastępowano nowymi, a żołnierze z uśmiechem robili kolosalne wysiłki w oczach wodza, którego wola nad wszystko była dla nich potężniejsza. Ungern sam był wszędzie obecny, przyjmując niejednokrotnie czynny udział w przeprowadzaniu wozów i dział. Najgorsze były przeprawy przez grząskie błota, w których konie daremnie szarpały unieruchomione wozy.

Na koniec po 4-dniowych wysiłkach dostaliśmy się na rozległą dolinę pokrytą soczystą trawą. Konie i wielbłądy puszczono na paszę, żołnierzom zaś wydano rozkaz cofnąć się i zniszczyć w miarę możności przebyty niedawno trakt dla uniemożliwienia pościgu. Dwie następne doby poświęcono na odpoczynek oraz naprawę uprzęży i mundurów, aby znów ze świeżymi siłami ruszyć dalej. Niestety na drugi dzień natrafiliśmy na nieprzebytą przeszkodę

w postaci 3-wiorstowych bagien. Na rozkaz generała udałem się, by zbadać trzęsawisko. Wywiad ten omal nie skończył się katastrofa. Wierzchowiec mój utopii się w bagnie, ja zaś z trudnością tylko zdołałem się uratować. Długo radziliśmy nad sposobami przeprawy, aż wreszcie wpadłem na pomysł zbudowania mostu z faszyny, tj. wikliny i chrustów, powiązanych w pęki, 3000 ludzi cięło szablami nadbrzeżne krzewy, a parę sotni Kozaków ciągnęło z lasu grube pnie. Z wielką ostrożnością puściliśmy pierwszą sotnię przez prowizoryczny most, który okazał się na tyle wytrzymały, że można było przez niego przeprowadzić całą dywizję. Ariergarda zabrała z sobą faszynę, którą na brzegu spalono. Bolszewikom nie udało się przebyć błota tak szczęśliwie, jak nam, część ich piechoty i kilka karabinów maszynowych zginęło w zdradliwej głębinie trzęsawiska.

Okolica, w którą teraz wjechaliśmy, była już mniej górzystą, a bardziej żyzną. Mijaliśmy ułusy Buriatów, spotkaliśmy nawet chutor, zamieszkały przez Kozaków zabajkalskich. Doszedłszy do rzeki Dżidy, zatrzymaliśmy się na 2 dni. Miałem wtedy sposobność siedzieć nad brzegiem rzeki w cudną gwiaździstą noc, pełną aromatów ziół i świerków, i wsłuchiwać się w gwar obozu, rozbrzmiewający wszystkimi językami Wschodu. Dyżurni oficerowie lokowali oddziały nad brzegiem rwącej i głębokiej Dzidy, setki zarośniętych twarzy kozackich przesuwały się w blaskach rozpalonych ognisk, a chałaty chińskie rozwiewały się fantastycznie w jasnym blasku księżyca. Ruch wieczorny panował przy ogniskach, bito bydło, gotowano wodę na herbatę, w majdanie oficerskim szykowano wieczerzę. Po zapachu pieczonego mięsa można było rozpoznać różne obozowiska: Tatarzy piekli źrebięta, Mongołowie smażyli łój barani, Chińczycy korzeniami przyprawiali swe potrawy, Rosjanie gotowali rosół, Buriaci znów piekli w popiele mięso, oblizując skrwawione dłonie. Wezwany niespodziewanie do generała przez porucznika W. nie zdążyłem spożyć kolacji. Gdy wracałem, dywizja odmawiała wieczorną modlitwę. Rosjanie zanosili modły za przyszłego cara i „władzielca Wszechrosji", Chińczycy piskliwie powtarzali niezrozumiałe wyrazy z refrenem słowa „Ho", muzułmanie smutno zawodzili: „Ałłach-Akbar, Ałłach-Akbar", Japończycy zaś i Mongołowie śpiewnie wzywali Buddę, patrząc na

świecący księżyc. Powoli cichły modlitwy, głośny gwar przechodził w szmer. Wreszcie pogasły ogniska i zapanowała cisza, przerywana z rzadka sygnałami patrolujących oddziałów. Przed oczyma moimi stanął obraz z niedawno minionej wielkiej wojny. Tam ludzie cywilizowani, leżąc w okopach, przeklinali los i bluźnili Bogu, bojaźń przed śmiercią zalewając wódką, tutaj półdzicy mieszkańcy Wschodu po trudach i znojach bitwy oddawali hołd swym bogom, a ufni w ich opiekę, spokojnie oczekiwali niepewnego jutra.

W tym samym czasie, gdy cały obóz pogrążał się w głęboki sen, gdy z pobliskich pastwisk dolatywało zgłuszone parskanie pasących się koni – w jednym tylko namiocie czuwano: przy blasku ogniska siedział półnagi baron i z wytężoną uwagą badał mapy, kreśląc plan marszu na dzień następny.

Mimo złośliwych wersji o krwawym wodzu, obcowanie bliższe z tym człowiekiem niepospolitym wywoływało głęboki szacunek. Imponował on siłą woli, uczciwością i niezachwianą odwagą, która podtrzymywała nawet najgorszych tchórzów.

Ungern, sam bardzo majętny, nie korzystał z bogactw, poświęcając wszystkie pieniądze na walkę ze znienawidzonymi bolszewikami. Potrzeby swe stawiał na ostatnim planie, myśląc przede wszystkim o zaspokojeniu wymagań żołnierzy i oficerów. Nieraz zadawaliśmy sobie pytanie, kiedy naczelnik śpi. Baron miał tak żelazne zdrowie, że wystarczało mu kilka godzin snu na siodle. Codziennie rano i wieczorem kąpał się, niezależnie od pory roku chodził w jedwabnej bieliźnie, a za całe ubranie służył mu żółty chański terłyk. Żywił się baranim mięsem w stanie na pół surowym, wódki nie pijał, natomiast namiętnie ćmił fajkę.

Z cierpienia własnego niewiele sobie robił. Kulę, którą otrzymał pod Troickosawskiem i która przeszkadzała mu w jeździe, wydobył sam z uda za pomocą małego nożyka; silny ten człowiek był jednak przesądny. Z wróżb otaczających go lamów czerpał przepowiednie na przyszłość. Ciż sami lamowie dostarczali mu informacji o bolszewikach, zasięganych z kolei od Buriatów.

W stosunku do podwładnych baron był surowy i wymagający, cenił bardzo ludzi odważnych i gotowych na niebezpieczeństwa, tchórzów traktował pogardliwie.

Szczodrość barona względem ludzi walecznych i zasłużonych nie miała granic. Nie żądał nigdy kwitów z załatwianych zakupów, ale w razie najmniejszego nadużycia był nieubłagany. Za najmniejszą niedokładność karał własnoręcznie kijem. Bił oficerów i żołnierzy, uważając ten system karania za najkrótszy i najlepszy. Niewiele osób cieszyło się względami barona; do takich wyjątków należałem ja oraz pułkownik K. Ungern ogromnie cenił Polaków, mówił nieraz, że z tysiącem polskich żołnierzy przeszedłby Rosję od Irkucka do Piotrogrodu, ale z tchórzliwą, podwładną sobie bandą nie dojdzie nawet do Wierchnie-Udinska i zginie przez niedołęstwo własnych oficerów. Przepowiednia ta sprawdziła się w dwa miesiące potem.

Dywizja, pokrzepiona odpoczynkiem, ruszyła dalej.

W pobliżu granicy rosyjskiej spotykaliśmy wiele buriackich ułusów. Wreszcie pewnego dnia przeszliśmy granicę. Ze szczytów gór oczom naszym ukazał się prześliczny, od dawna oczekiwany widok. Szeroko rozwijały się ciemnozielone lasy, przerżnięte srebrną linią Dzidy i ożywione małymi jeziorkami. Była to Rosja, do której wracali Kozacy-wygnańcy. Na wielu twarzach znać było prawdziwe wzruszenie, ozwały się wspomnienia krwawej krzywdy bolszewickiej: ten wskazywał miejsce, gdzie zabito mu rodziców, ów przypominał zhańbioną siostrę. Mocno zaciskały się dłonie około rękojeści szabli, a oczy pałały nienawiścią i bólem.

Drugiego dnia po zejściu w równinę spotkaliśmy chutor kozaczy, zamieszkały przez parę siwych staruszków, których radość na widok „białych" nie miała granic. Nasi wywiadowcy, przeprawiwszy się zaraz przez Dzidę, okrążyli stanicę Dżidzińskoje i poczęli szukać partyzantów Szczetinkina i Jakimowa, ale na próżno. Około stanicy Chuldackaja wpadł w nasze ręce automobil „komisarzy od dostawy mięsa dla armii". Aresztowani komisarze nie chcieli wierzyć, że znajdują się w ręku Ungerna. Zdziwieni pokazywali wojenne komunikaty sztabu bolszewickiego w Irkucku, w których sztab donosił o zupełnym rozgromieniu wojsk Ungerna na terytorium Mongolii, gdzie jakoby został również rozstrzelany sam „krowawyj czort".

Przeprawiwszy całą dywizję przez Dzidę, ruszyliśmy wzdłuż jej

brzegu forsownym marszem. W jednym miejscu znaleźliśmy składy zdobyczy komisarza Jakimowa i kilkaset wielbłądów. Po drodze przyłączali się do nas Buriaci, jako przyjaciele i przewodnicy.

W naszym pośpiesznym, wyczerpującym marszu mieliśmy wiele chwil miłych i radosnych. Wsie całe wylegały na nasze spotkanie, wynosząc mleko, chleb, jaja. Ludność sowicie wynagradzana za swoje dary, nie mogła nacieszyć się brzęczącą monetą. Biedni ci mieszkańcy „raju bolszewickiego" byli na pół nadzy. Obrabowani z ubrań i inwentarza, nie mieli nawet zboża w dostatecznej ilości. Wszystko było rekwirowane. Za najmniejszy opór groziła śmierć, konfiskata majątku i puszczenie domostwa z dymem. Kobiety i nieletnie dziewczęta gwałcono, tłumacząc, iż są one „dostojanijem gosudarstwa", tj. własnością państwa.

Cerkwie stały zrabowane i puste. Nabożeństwa nie miał kto odprawiać, bo popów zesłano w katorgę. Wieczorem, gdy po przymusowej, a nie wynagradzanej pracy włościanie wracali do domu, kazano im śpiewać internacjonał lub inne rewolucyjne pieśni. Domy urzędników i sympatyków bolszewickich wyróżniały się zamożnością, a nawet przepychem. Robiły wrażenie składów ubrań, butów, produktów spożywczych, wreszcie przedmiotów zbytku, zrabowanych w cerkwiach i domach „pomieszczikow". Widziałem zabawne zastosowanie przez czerwonych niektórych nieznanych im naczyń: w domu okręgowego komisarza w srebrnym kuble z mitrą książęcą stały pomyje, a w „filiżance" fajansowej z uszkiem... zbierana śmietana.

Bolszewicy umykali na wieść o zbliżających się wojskach Ungerna. We wsi Aleksinskaja znaleźliśmy ogromne składy towarów, naftę, żelazo, 75 pudów prochu strzelniczego i półtora miliona kapsli. Potrzebne płótno, narzędzia techniczne i materiały palne zatrzymaliśmy dla dywizji, resztę zaś przedmiotów rozdaliśmy ludności.

Nastąpił teraz okres nocnych marszów po 50–70 wiorst dziennie, wśród gór, lasów, bagien i rozpadlin. Jeden chyba Ungern szedł tak szybko pomimo taborów, wozów i bydła, prowadzonych, wbrew wszelkim zasadom taktyki, razem z konnicą. Pochód barona można porównać z przejściem Suworowa przez Alpy, z tą różnicą, że tam były zagrożone jedynie tyły, gdy tymczasem tutaj nie-

bezpieczeństwo czyhało ze wszystkich stron i bezustannie trzeba było staczać utarczki ze 100-tysięczną armią bolszewicką. Pochód Ungerna stanowczo przewyższał również „lodowy"[26] przemarsz armii generała Kappela przez Syberię i wierchnie-angarską tajgę.

Przebywszy góry i rzeki, wśród tych nocnych pochodów, dywizja Ungerna znalazła się w kraju Buriatów. Zaczęły się drobne starcia z bolszewikami, w których zapominaliśmy o nieludzkim zmęczeniu. Przed przybyciem na dłuższy postój do buriackiego chutoru, zmuszeni byliśmy rozebrać samochód z powodu braku benzyny i zostawić go w stepie. W czasie, gdy wszyscy wypoczywali, tylko jeden namiot barona wykazywał ruch i wytężoną pracę. Spokój jednak zakłócił nam aeroplan, przed którym – o ile możności – staraliśmy się przy pomocy skoszonej trawy zamaskować obecność dywizji. Zdradziły nas pasące się stada koni, ale dzieląca nas wysokość utrudniała wzajemne rozpoznanie. Porucznik W. wysłał granat, który omalże nie strzaskał aparatu, po czym motor z głuchym warczeniem poszybował w stronę Mysowej. Tego samego dnia zwinęliśmy obóz, kierując się przez stepy w stronę wsi Nowodimitriewki. Noc była tak mroźna, iż wojska szły pieszo, prowadząc konie. W powietrzu czuć było zbliżającą się walkę, świadczyły o tym roześmiane twarze Kozaków, pędzących naprzód z karabinami maszynowymi. Gdy rankiem stanęliśmy koło wsi, zastaliśmy naszą dywizję sformowaną pod osłoną karabinów maszynowych i odprzodkowanych dział. Dała się słyszeć nieregularna salwa karabinowa. Zajmując przeznaczone nam stanowiska, ujrzeliśmy już zdobycz w jeńcach i taborach, a w okopach wroga trupy.

Z budowy fortyfikacji nieprzyjacielskich można było wnioskować, że oczekiwano ciężkiej przeprawy, uważając najwidoczniej ungernowców za poważnego i groźnego przeciwnika. Rowy strzeleckie były głębokie i wzmocnione piaskiem, kamieniami i drzewem. Od rowów biegły wygodne przejścia w kierunku zabudowań,

[26] Generał Kappel, cofając się przed bolszewikami od Uralu w 1919–1920 r., przeprowadził całą swą armię na Daleki Wschód, a ponieważ pochód ten, liczący parę tysięcy kilometrów, zrobiono w zimie, przy najcięższych warunkach – przeto nazwano go „pochodem lodowym".

a gniazda kulomiotów były prawdziwymi fortami. Pozycja była silna, ale brakło w niej ducha.

Wieś cała była wyludniona, wszystko, co żyło, pochowało się do piwnic. Tuż za wsią ciągnęły się rozległe pastwiska, na których rozłożyła się nasza dywizja. U stóp tej wyżyny roztaczała się olbrzymia kotlina, z południowej strony otwarta, z północy zaś i wschodu ujęta w ramę gór. Kotlinę przecinały liczne strumienie wpadające do rzeki Temnik. Na zboczach widniały chutory z drewnianymi zabudowaniami, zamieszkałe przez osiadłych Buriatów, którzy, porzuciwszy życie koczownicze, uprawiali ziemię, hodowali konie i bydło, sprzedawane potem w Irkucku.

W chwili, gdy obserwowałem przez szkła okolicę, kotlina była terenem zajadłej walki między sotnią kozacką a „karaulnym" sowieckim irkuckim pułkiem do „specjalnych poruczeń". Kotlinę zamykały nasze japońskie sotnie z karabinami maszynowymi. Oddziały bolszewickie (sami komuniści) chciały przedrzeć się do Mysowej, lecz pod morderczym ogniem cofnęły się w stronę Gęsiego Jeziora i tam wpadły w zasadzkę. Naciskani przez 3. pułk ze strony Dimitriewki, rozsypani w tyralierkę, staczali walkę na trzy fronty. Opór nie trwał długo wobec działania naszych armat i karabinów maszynowych, a szczególniej szarżujących sotni, czerwoni próbowali oddać się do niewoli. Zrozumiawszy jednak, że nie uzyskają pardonu, zginęli po bohatersku z pieśnią na ustach. Zmobilizowane szeregi bolszewickie nie odznaczały się nigdy takim męstwem, zwłaszcza komisarze zmykali co tchu z pola, a dostawszy się do niewoli, na kolanach błagali o życie. Tym razem z całego pułku zdołało uciec zaledwie 14 komisarzy, reszta zaś leżała pocięta szablami lub poszarpana kulami, świecąc z dala nowym pięknym umundurowaniem. Inaczej wyglądał zmobilizowany szeregowiec: w starym ubraniu z worków, w obszarpanym płaszczu, w dziurawych butach walczył i ginął za wielkie hasła bolszewickie, głoszące szczęście i dobro proletariatu. Na wynędzniałych twarzach żołnierzy bolszewickich malowała się rozpacz i obłąkanie. Tych ungernowcy nie dobijali. Wzięci przemocą z chat 17-letni chłopcy, ćwiczeni w Tomsku i Kurganie, nie zdołali jeszcze wśród chłodu i głodu przejąć się zasadami komunizmu, który im prze-

mocą narzucano. „Komrot" – komendant kompanii i „politruk" – kierownik polityczny byli panami ich życia i myśli. Słowo „komisar" było dla nich największym postrachem i groźbą. Biedacy ci, nakarmieni i opatrzeni przez białych, ze łzami w oczach dziękowali, mówiąc:

– A przecie mówili komisarze, że wy żywych ludzi ze skóry obdzieracie...

Wielu lekko rannych błagało o przyjęcie w szeregi dla pomszczenia niedawnych krzywd.

Pierwsza więc nasza potyczka w Rosji była zwycięska. Przyniosła zdobycz w postaci 12 karabinów maszynowych, masy naboi, kilkunastu aparatów telefonicznych i telegraficznych. Skrzynki angielskie z nowiutkimi karabinami z datą 1920 rok dowodziły, iż Lloyd George, wtedy gdy wstrzymał dowóz amunicji do Polski, wspierał jednak bolszewicką nawałę.

Ciekawe były znalezione komunikaty bolszewickich gazet, które głosiły o zabiciu Ungerna, podnosząc zarazem męstwo 5. sowieckiej armii oraz sprawność, z jaką zlikwidowała bandę „krwawego generała". W taki to sposób okłamywali bolszewicy własnych obywateli i cały świat. W ten sam sposób okłamują wszystkich i dzisiaj.

XXX. WALKI KOŁO GĘSIEGO JEZIORA I ODWRÓT

Po odniesieniu zwycięstwa wypoczywaliśmy w ciągu dwóch dni na równinie pod Nowodimtriewką. Czekało nas do rozwikłania trudne zagadnienie, a mianowicie jak kierować pochodem, by uniknąć żwiru, ścinającego kopyta naszych niekutych koni. W Mongolii bowiem zupełnie nie używają podków. Zdecydowano wreszcie posuwać się brzegiem rzeki Temnik, porosłym miękką trawą.

Dzięki chmurnej pogodzie nie zauważyły nas przelatujące aeroplany, pozwalając dywizji iść naprzód bez przeszkody. Uszedłszy 7 kilometrów, stanęliśmy na postoju w małej buriackiej wiosce, gdzie przeczekaliśmy w zacisznych namiotach ulewny deszcz. Wieczorem wyruszyliśmy znów dalej, ale zatrzymaliśmy się wkrótce dla okrążenia tyłów bolszewickiej brygady, pod osłoną szalejącej bu-

rzy. Brygada ta stała w Dacanie nad Gęsim Jeziorem na drodze do Selengińska. Tę właśnie drogę miały jej przeciąć nasze pułki. Tego wieczoru zostałem wezwany do generała, który siedział w namiocie, pochylony nad mapami – w towarzystwie oficerów sztabowych i lamów. Baron był wesoły, gdyż wróżba na paciorkach lamaickiego różańca zapowiadała pogrom bolszewików w ciągu 2 godzin i baron wierzył święcie, że tak się stanie.

O 6 rano ruszyliśmy wzdłuż Temniku, po czym przeprawiliśmy się w bród na lewy brzeg. Szliśmy stepem.

Bolszewików nie było widać, panowała głęboka cisza, tylko pocięte okopami drogi świadczyły o zabiegach wroga. Dopiero około 8 z rana posłyszeliśmy odgłosy artylerii bolszewickiej, a potem coraz wyraźniejszy grzechot kulomiotów. Nasi milczeli. Na rozkaz barona tabory, szpitale i artyleria miały wymaszerować naprzód o 5 kilometrów od Dacanu, by ściągnąć uwagę nieprzyjaciela.

Rozkaz taki wydał nam się szalonym, wypełniliśmy go jednak bez szemrania. Zaledwie znaleźliśmy się na odkrytym stoku góry, poczęto prażyć nas piekielnym ogniem. Z początku strzały padały zbyt blisko lub zbyt daleko, ale szósty już pocisk padł w środku kolumny, zabił adiutanta i 2 ordynansów generała Riezuchina. Dalszy obstrzał wywołał zupełną panikę. Bydlęta rozbiegały się w popłochu, wywracając wozy i rwąc uprząż, rozprute wory z mąką podnosiły biały tuman, zaś moi furmani, bojąc się eksplozji gazów, uciekli. Wśród tumultu i przekleństw zeszliśmy z nieszczęsnej wyniosłości w załom gór, które ogromnym wałem ciągnęły się aż do jeziora. Teraz dopiero mogliśmy ulokować artylerię. Nasza bateria stanęła półtora kilometra od pierwszych domów Dacanu, skąd przez szkła widać było pozycję i ruchy bolszewików.

Zostaliśmy panami sytuacji. Pierwszym granatem rozbiliśmy jaszcz bolszewicki, którego wybuch zniszczył obsługę, dalsze nasze pociski przerzedzały szeregi tyraliery, demolowały kulomioty. W szeregach wroga powstała panika, zwiększająca się pod naciskiem atakujących Kozaków. Jedni rzucili się między domostwa Dacanu, drudzy, chcąc uciec drogą selengińską, wpadli w ręce ukrytego dywizjonu Chińczyków.

Gdy bitwa miała się ku końcowi, ruszyliśmy w stronę Dacanu, tj.

klasztoru Buriatów, położonego w południowo-zachodniej stronie Gęsiego Jeziora. Jezioro to rozciągało się na przestrzeni 25 kilometrów długości i 5 kilometrów szerokości.

Liczne zabudowania klasztoru utrzymane są w typie rosyjskim, jedynie murowane świątynie podobne są do mongolskich.

Dacan jest niejako punktem handlowym Buriatów, ośrodkiem kultury i cywilizacji. Podstawą handlu jest tutaj rybołówstwo. Tonie jeziora dostarczają ryb w wielkiej ilością toteż kupcy ściągali tu z całej prawie Rosji. Bolszewicy siłą zagarnęli pod swoją kontrolę i tę dziedzinę życia. Wyznaczono specjalny garnizon, który w czasie wolnym od walk z białymi miał zajmować się soleniem ryb i wysyłaniem ich do pułków.

W chwili naszego napadu ochrona Dacanu była wzmocniona przez pomocniczy batalion, 2 działa górskie i dywizjon, złożony z 24 kulomiotów.

Bolszewicy, wiedząc o pogromie pod Nowodimitriewką, ufortyfikowali się nader przezornie. Od północo-zachodu rzucili co 500 kroków szereg okopów obsadzonych karabinami maszynowymi i fortów kulomiotowych. Z zachodu chroniły ich bagna i błota, ze wschodu jezioro, a od południa piaszczyste wydmy. Mocna ta forteca dawała przystęp jedynie od północy, ale i tu wobec 3-kilometrowej, zupełnie odsłoniętej przestrzeni bolszewicy mieli ogromne szanse powodzenia.

Baron Ungern, znając dokładnie teren walki, przeprowadził nasze główne siły przez błota i ukrył je w wiklinie, zaś dywizjon chiński na gobijskich koniach z łatwością przebył piaski i zagrodził czerwonym drogę do Selengińska. Dla zamaskowania szturmu od północy Ungern wysunął tabory na obstrzał artylerii i zanim bolszewicy poznali się na manewrze, już sotnie kozackie siedziały im na karkach. Niespodziewany atak z zachodu wywołał ostateczną panikę wśród bolszewików, których artyleria Ungerna celnymi strzałami pozbawiła możności użycia dział. Uciekali więc bolszewicy bezładnie, jedni rzucali się na oślep w błota i jezioro, drudzy błagali o darowanie im życia. Gdy jednak Kozacy, nie przeczuwając złego, zbliżyli się do nich, zostali przywitani strzałami komunistów. Odwet Kozaków był straszny, wszyscy bolszewicy zostali bez li-

tości wycięci. Sam Dacan nie został uszkodzony, kilka zaledwie dachów ucierpiało od kul i raniono paru lamów. Pod ścianami domów, w kałużach wody, leżały gromady rannych bolszewików. Na ulicach stały dwukołowe wózki napełnione dobytkiem żon komisarzy. Opodal na targowisku stały wozy ze stacjami telefonicznymi i telegraficznymi, drutem na 50 kilometrów przestrzeni i bogato zaopatrzonymi polowymi kuźniami.

Piętrzyły się stosy skrzyń z nabojami wszelkiej broni, setki ludzi pławiły się we krwi, obok leżały pozabijane konie. Cały plac był dosłownie zryty ogniem działowym. Zabudowania położone nad jeziorem ogarnął pożar, a z gęstego błota wychylały się ręce i nogi topielców. Pozycje dział przedstawiały widok prawdziwego żniwa śmierci; leżały tam poszarpane członki ludzi i zwierząt. Jeńców zabrano około 500, nie licząc rannych. Ci zostali oddani pod opiekę felczera i zaopatrzeni obficie w żywność, zdrowszych zgodnie z ich błaganiem wcielono do armii. Byli to przeważnie ludzie, których do służby czynnej u bolszewików zmusił gwałt. Natomiast kilkunastu komisarzy, jak również „prawdziwych" komunistów, rozstrzelano daleko za obozem. Noc po zwycięstwie była gwarna i ruchliwa, szykowano się znowu do dalszego pochodu. Na rozkaz barona zamieniłem posiadaną broń na rosyjską, resztę zaś w liczbie 2300 karabinów i 12 kulomiotów Maksima zakopałem, rozkazawszy uprzednio zawinąć ją w płachty przepojone smołą, a miejsce zakopania naznaczyłem na mapie dla łatwiejszego odnalezienia go. Poległym towarzyszom wznieśliśmy „bratnią mogiłę". Było ich: trzydziestu Kozaków, dwóch Japończyków, kilkunastu Mongołów i Chińczyków; w tym 4 oficerów, których w pełnym uzbrojeniu ze wszystkimi orderami pogrzebaliśmy wśród pieśni i salw pogrzebowych. Krzyż przysypaliśmy ziemią, aby bolszewicy nie zniszczyli nienawistnego im znaku.

Jeńców puszczono wolno z zastrzeżeniem, aby nigdy nie znaleźli się z bronią w ręku na drodze dywizji.

Pochód barona Ungerna kierował się teraz na Selengińsk w ten sposób, że brygada generała Riezuchina szła przodem, by przygotować teren działań wojennych, nasza zaś brygada, posuwając się wolno, wyławiała tabory i konie bolszewickie, które

wypasione na obfitych pastwiskach szły pod siodłem z wielką fantazją.

Niedaleko Selengińska otrzymaliśmy wiadomość od generała Riezuchina, iż po ucieczce bolszewików zajął to miasto bez oporu. Wstrzymaliśmy więc pochód, lokując się we wsi Arbuzowskiej. Wieczorem przybyły oddziały generała Riezuchina z cenną zdobyczą, zwłaszcza w materiale wybuchowym. Znaleziono w porcie wielkie ilości sikrytu, dynamitu, sznury Bikworda i zapalniki elektryczne Mejera. Poza tym kuźnie nasze wzbogaciły się znaczną liczbą podków, warsztaty zaś angielskimi narzędziami. Żałowaliśmy tylko, że nie udało się Riezuchinowi zająć Selengińska o 3 dni wcześniej, byłby zdobył bowiem 4 armaty i 2 statki rzeczne, które po zamienieniu ich na kanonierki dałyby nam panowanie na rzece.

W celu uniemożliwienia żeglugi wojsk bolszewickich, w najwęższym miejscu rzeki umieściłem miny wybuchowe.

Wkrótce potem dywizja zatrzymała się w odległości 60 km od Wierchnie-Udinska. Byliśmy pewni, że albo będziemy zdobywać miasto, albo też forsownym marszem podążymy na Czitę. Baron jednak milczał.

Niespodziewanie otrzymałem rozkaz wyruszenia w tajgę aż w góry bajkalskie z 50-ma kozakami, zaopatrzonymi w materiały wybuchowe. Celem ekspedycji miało być zniszczenie linii kolejowej nad Bajkałem, zdemolowanie żelazno-betonowego tunelu, aby zasypać skałami tor kolejowy.

Dla orientacji w tym niebezpiecznym terenie dostałem doskonałe mapy sytuacyjne.

Gdy po dwu dniach, po sformowaniu oddziału z kapitanem O. na czele i poczynieniu wszelkich przygotowań, oczekiwałem na rozkaz wymarszu, baron Ungern zawezwał mnie do siebie i zakomunikował zmiany w programie działania. Dla uniknięcia okrążenia przez siły bolszewickie, cała nasza dywizja miała natychmiast wracać pod Nowodimitriewkę, cofając się za Temnik przed przybyciem dwóch dywizji wroga, które w ciągu 38 godzin miały zamknąć opasujący nas pierścień. Wszystko zależało teraz od pośpiechu, toteż pędziliśmy do Temniku kłusem.

Jechaliśmy stepem rozciągającym się aż do Wierchnie-Udinska,

zamkniętym na północy lasami i górami bajkalskimi, na wschodzie zaś rzeką Selengą. Na południowym krańcu stepu ciągnęły się góry i lasy, w których kryły się oddziały Szczetinkina i Jakimowa.

Bolszewicy chcieli wyzyskać warunki terenu, opasując nas ze wszystkich stron. Od Muryńska nadciągały dwie dywizje piechoty i jedna kawalerii z 16 dywizjonami artylerii, z zachodu od Aksakowskiej 2 dywizje piechoty z 7 polowymi rosyjskimi działami. Od Wierchnie-Udinska podążały wreszcie 2 korpusy z pancernymi samochodami i samolotami. Na Selendze umieszczono flotę kanonierek, a na jej brzegach lotne artyleryjskie oddziały, które miały nam zagrodzić przeprawę. Zamknięci zatem od strony Temnika, musielibyśmy brnąć w tajgę i tam, nad Bajkałem, nastąpiłby nieomylnie rozgrom dywizji zgodnie ze słowami: *Nec Hercules contra plures.*

Idąc gwałtownym marszem, korzystaliśmy kilkakrotnie z linii telegraficznej bolszewickiej, podając sztabowi sowieckiemu fałszywe komunikaty o ruchach naszej dywizji, po czym niszczyliśmy przewody. Przeszedłszy Temnik, mieliśmy do wyboru: albo udać się w kierunku na wschód lub północ, albo przebić się przez dywizje bolszewickie i skryć się w górach Mongolii. Baron jednak chciał walki z wrogiem, toteż zatrzymawszy się pod Nowodimitriewką, rozkazał wojsku czekać na wroga w zasadzce. Bitwa rozpoczęta o świcie trwała ze zmiennym szczęściem przez cały dzień, wreszcie wieczorem jedna dywizja bolszewicka cofnęła się, odsłaniając pozycje działowe, zaś 113 brygada padła wykoszona ogniem naszych karabinów maszynowych. Gdy kawaleria nasza, szarżując, dobiegła dział, ukazały się niespodziewanie dwa pancerne auta bolszewickie, ziejące ogniem kulomiotów i niosące śmierć nie tylko naszym, lecz i swoim walczącym. Szalona konna szarża orenburców na atakujące pancerki zmusiła zdumionych bolszewików do cofnięcia się na znaczną odległość, z której rozpoczęto kontratak. Zwycięstwo zostało jednak po naszej stronie: straty w ludziach były niewielkie, za to koni padło mnóstwo. Niestety wskutek natarcia samochodów pancernych pozostawiliśmy zdobyte działa i cofnęliśmy się, jedna brygada poszła na północ, chroniąc tabory i szpitale, druga wstrzymywała tymczasem następującego wroga.

W nocy brygada ta dopędziła nas, prowadząc mnóstwo jeńców. Między nimi był naczelnik ofensywy 113 brygady, szef sztabu jednej dywizji z czasów wojny polsko-bolszewickiej, kawaler żelaznego krzyża niemieckiego i czerwonej gwiazdy bolszewickiej: kapitan Majer.

XXXI. POWRÓT DO MONGOLII

Uszedłszy 20 kilometrów, dywizja skręciła na zachód, wchodząc w labirynt gór i lasów, gdzie piętrzyły się zwały skał i pni drzewnych. Panowały głębokie ciemności, a na domiar złego ulewny, choć krótki deszcz zmoczył nas do nitki. Idąc wśród kałuży błota, po wąskiej ścieżynie, zatrzymaliśmy się przed olbrzymią prostopadłą górą, szukając przejścia. Krótki rozkaz barona Ungerna: iść prosto – przerwał wszelkie wahania.

Wiele trudnych przepraw mieliśmy, ale ta przeszła wszystkie dotychczasowe. Przez całą noc przeciągaliśmy na sznurach i przenosili na plecach materiały wybuchowe, działa, jak również wszystkich rannych; dopiero pogodny i słoneczny ranek zastał nas na szczycie góry. A jednak mimo kolosalnego zmęczenia nikt nie ustawał w pracy. Zejście było o wiele łatwiejsze. Na równinie jechaliśmy dalej bez odpoczynku, choć nie tylko ludzie kiwali się w siodłach, ale i konie ustawały. Musieliśmy do dział zaprzęgać wierzchowce, gdyż tabory z zapasowymi końmi były daleko na przodzie. Szczęśliwie jednak dojechaliśmy do obszernej doliny, pokrytej chatami Buriatów.

Nareszcie mogliśmy rozbić biwaki i pogwarzyć o niedawnej bitwie. Przy ogniskach i pogawędce zapomniało się nawet o 24-godzinnym marszu i zmęczeniu walką.

W ileż lepszych warunkach byli bolszewicy, którzy mimo znacznych strat w ludziach i broni, rozporządzali świeżymi rezerwami, mieli zapewniony spoczynek, dowóz amunicji i zaprowiantowanie!...

Ruchy dywizji Ungerna utrudniali ranni, których wieziono na 80 wozach; zajmowali więc oni tyleż podwód, co tabory z amunicją i żywnością. Pomimo to udało się nam niepostrzeżenie minąć 2 dywizje bolszewickie.

Na tym to postoju polecił mi baron wybadać w języku niemieckim kapitana Majera. Ponieważ władałem tym językiem zupełnie poprawnie, Niemiec wkrótce się rozgadał, biorąc mnie za rodaka. Przyznał się, że obecne nazwisko jego jest pseudonimem, w rzeczywistości pochodzi bowiem ze znanej szlacheckiej rodziny w Niemczech. On to przedstawił mi dokładnie plan kampanii bolszewików, podziwiając spryt i zręczność poruszeń barona. Bolszewicy stracili już jakoby około 40000 ludzi w piaskach Mongolii, reszta zaś zdzierała w pochodzie nie tylko buty, ale i własne podeszwy, marła od jadu tarantul w okropnych męczarniach, cierpiała na brak wody i pożywienia. Nie mogli jednak bolszewicy zaniechać pochodu, gdyż sztab ich przedwcześnie doniósł Moskwie o zniesieniu dywizji Ungerna, należało więc teraz dążyć wszelkimi siłami do unicestwienia wroga, o którego zwycięstwach wieść szeroko się rozchodziła. Przy końcu badania Majer zwrócił się do zgromadzonych przy ognisku oficerów z następującymi słowami:

– Wiem, że będę rozstrzelany, lecz radzę wam się nie poddawać. Nazwiska wasze są zanotowane i zaocznie jesteście skazani na stracenie.

Baronowi zeznanie Majera nie przyniosło nic nowego. W posiadaniu Ungerna znajdował się bowiem cały plik aktów, tyczących się planów schwytania naszej dywizji.

Trzeba było znowu uciekać, znowu mylić czujność wroga. Tegoż wieczora ruszyliśmy dalej. Pochód nasz odbywał się obecnie w warunkach nieopisanie trudnych. Robiliśmy po 100–170 wiorst dziennie, zmieniając konie 2–3 razy na dobę, odpoczywając 2–4 godziny, jedząc na wpół surowe mięso lub po kirgisku tłukąc je pod siodłem. Przebiegaliśmy szerokie stepy, wąwozy i rozłogi, tajgi i błota, góry i doliny. Gdy nie udało się minąć bolszewików, staczaliśmy z nimi bój na śmierć i życie. Toteż opłakany był widok dywizji „krwawego" barona: tylko lufy karabinów świeciły się zawsze gotowe do użycia. Sam Ungern szedł na czele wywiadu, niewidzialny dla reszty pochodu; tylną straż prowadził generał Riezuchin.

Nareszcie gdy konie opadły zupełnie z sił, zatrzymaliśmy się po pięciu dniach nad Dżidą, gdzie bombardowały nas samoloty bol-

szewickie, ale bez skutku. Staliśmy w dolinie całą dobę, dając ludziom i koniom możność odpoczynku. Żołnierze kąpali się w rzece, zwierzęta szczypały soczystą trawę. Nie szczędzono jadła, rozdając je obficie. Dzięki Buriatom, którzy urządzili prowizoryczną pocztę, Ungern wiedział o ruchach bolszewickich, a nawet znał oddziały, ich liczbę i nazwiska dowódców. Ścigała nas teraz kawaleria bolszewicka z 2 dywizjami górskiej artylerii. Wojska naszych prześladowców były rozsiane po całej Mongolii: na lewym brzegu Selengi i w Troickosawsku. Z Irkucka, traktem tunkińskim ku jezioru Kosogoł i ku Chatchyłowi wysłano również znaczne siły, wszystkie zaś drogi i ścieżki, idące ku granicy rosyjskiej, ściśle były obsadzone. Przeszło 100000 ludzi polowało na nasz oddział, składający się zaledwie z 6000 partyzantów.

Ungern jednak nie tracił ducha, liczył bowiem bardzo na sprawność i szybkość ruchów swego oddziału. Idąc wzdłuż Dzidy, spotykał baron wielu ochotników Kozaków, ale mobilizował tylko młodych i nieżonatych. Mieszkańcy chutorów byli niezmiernie gościnni, hojnie zaopatrywali ungernowców w żywność, a w zamian otrzymywali złoto i różne towary. Za stanicą Żahirską dopędzili nas bolszewicy, lecz dzięki naszej odpowiednio urządzonej zasadzce zrezygnowali z nacierania na Ungerna z bliska. Odtąd posuwali się stale za nami, ale w odpowiedniej odległości, atakowani często przez ariergardę generała Riezuchina.

Koło stanicy Asarginskaja przeszliśmy Dżidę, wchodząc w łańcuch gór leżący między Rosją a Mongolią. Z początku natrafialiśmy na ułusy Buriatów i szałasy myśliwskie, potem weszliśmy w głuchą dziewiczą tajgę, gdzie po raz pierwszy odzywały się wśród stuletnich sosen i brzóz ostre głosy wojskowej komendy. Wśród zarośli, kędy dotąd migały tylko gibkie ciała jeleni i saren, sunęły teraz setki uzbrojonych jeźdźców, dział, szpitale, stada zwierząt pociągowych i rogatych. Od czasu do czasu na urwisku skalnym powitał nas niedźwiedź głuchym rykiem, spędzany wkrótce strzałami żołnierzy, lub też ryś próbował skoczyć na kark któregoś konia czy jeźdźca, lecz zanim to uczynił, zauważony bystrymi oczyma Mongoła lub Tatara padał martwy.

Tajga niezbyt uprzejmie witała nieproszonych gości, stawiając

na drodze zwały pni i ostrych głazów, huczące wodospady lub głębokie skalne rozpadliny, szerokie jeziorka i grząskie błota.

Nad głowami kłębiły się roje małych muszek, brzęczących nieznośnie i tnących niemiłosiernie. Radzono sobie jednak ze wszystkimi przeszkodami, od muszek twarze zasłaniano jedwabnymi chustkami, a koniom przyczepiano pęki wonnych ziół lub ratowano się dymem z fajek.

Z przeszkód naturalnych najgorszym okazał się stok góry pokryty grząskim błotem, w które konie i wozy zapadały. Na szczęście błota te pokrywał gruby mech, po którym można było posuwać wozy na płozach. Sposób ten okazał się niezmiernie praktyczny i stale uciekaliśmy się doń potem. Przykre były również szczyty górskie, płaskie, bagniste, dostępne chyba jedynie łosiom i ptactwu. Jednak i te zwyciężyła silna wola jednego człowieka. Zostawiając za sobą wyrąbany szlak lasu, szczątki połamanych wozów i trupy potopionych koni, stanęła wreszcie dywizja Ungerna na suchym gruncie Mongolii. Przebycie granicy uświęciliśmy całodziennym wypoczynkiem.

Idąc bez wysiłku 12-godzinnymi marszami, spuściliśmy się z gór i z radością znaleźliśmy się koło pierwszych mongolskich jurt. Wesołym „Sain, sain bajnu" witano podjeżdżających z kumysem Mongołów.

Za rzeką Uri rozciągał się kraj bezleśny, nieco pagórkowaty i kamienisty. Lato było na schyłku, wysokie trawy pożółkły. Tam to na jednym z postojów zachorowałem. Ponieważ lekarz nie miał odpowiednich lekarstw, pozostawiono mnie więc losowi i sile własnej natury. Gdy już nie mogłem utrzymać się na koniu, wieziono mnie w wymoszczonym skórami wózku, a dowództwo oddziału objął pomocnik mój, porucznik B.

1. brygada szła naprzód bez przeszkód, za nią w ariergardzie posuwała się druga. W ten sposób dotarliśmy do rzeki Egim-koł. Tutaj przeprawa była ciężka z powodu wysokiego brzegu i rwących wód. Wszystkie cenniejsze materiały należało przewieźć w wózkach. Od brodu ruszyliśmy na zachód ku Chatchyłowi i znalazłszy obfitość trawy, stanęliśmy na odpoczynek. Nastrój był nieszczególny, chodziły wieści, że 2. brygada rozbita, że był tam bunt, że gene-

rał zabity. Sytuacja widocznie była niewyraźna, gdyż ordynansi nie wracali z wywiadów. Byłem jednak tak chory, że wszystko to mało mnie interesowało. Wreszcie 17 sierpnia starego stylu zaczął się w obozie podejrzany ruch; rozmawiano szeptem i radzono nad czymś w oddziałach. Około 10 wieczorem ozwały się strzały w środku obozu i od razu zapanowała panika, wśród której nie można było zrozumieć, co właściwie się stało. Mój oficer gdzieś przepadł, ordynansi naglili do wyjazdu, ale od nikogo nie można było dowiedzieć się o kierunku marszu ani wyjaśnić powodu paniki. Jeźdźcy pojedynczo lub grupami pomykali ku północy. Siadłem na konia i przy pomocy wachmistrza wyruszyłem ze swoim oddziałem przed siebie. Nie zdążyłem jednak ujechać kilku kroków, gdy do uszu moich dobiegł odgłos pojedynczych strzałów w stronie mongolskiego dywizjonu. Starałem się od mijających mnie w bezładnym pośpiechu oficerów, zasięgnąć jakichkolwiek informacji, lecz na próżno.

Gdy wyjechałem na górę, ujrzałem odprzodkowane działo z jednym kanonierem; ten objaśnił mnie, gdzie stoi dywizjon. Właśnie w tej chwili podjechało kilku jeźdźców, a wśród nich baron Ungern, który nie zauważywszy mnie, zapytał, co to za oddział, a gdy się dowiedział, zapytał o mnie. Gdy podjechałem z raportem, generał zwrócił się do mnie z pytaniem, kto dał rozkaz powrotu, lecz nim zdołałem odpowiedzieć, dodał po niemiecku: „Und Sie laufen von mir weg?" („I pan ode mnie ucieka?"). Byłem zdumiony i zaskoczony tymi słowami, bo rozkaz wyjazdu otrzymałem w imieniu barona od jednego z oficerów. Nie omieszkałem też tego zameldować. Wówczas baron objaśnił mi, iż początkiem paniki były strzały do jego namiotu, dane przez zrewolucjonizowanych żołnierzy czy oficerów, ale obecnie wszystko już jest w porządku i mamy wracać na miejsce poprzedniego postoju, Po czym mruknąwszy pod nosem: „Już się zaczęło, ciekawym jak się to skończy" – ruszył ku wojsku.

Wydałem już rozkaz cofnięcia się, gdy nowy oddział zagrodził mi drogę, a oficer w imieniu barona nawoływał do połączenia z dywizjonem. Nie ujechałem 10 kroków, a w dole rozległy się znów strzały, gruchnęły salwy i konny ordynans przyniósł rozkaz udania

się do brygady. Ruszyliśmy wówczas kłusem, ale wskutek osłabienia nie mogłem utrzymać się na siodle, zdałem więc dowództwo, siadłem na wózek i zakrywszy głowę, twardo zasnąłem.

XXXII. BUNT W DYWIZJI

Gdy obudziłem się, był jasny dzień i brygada ciągnęła stepem koło jurt mongolskich, do których często wpadali nasi żołnierze, wynosząc stamtąd produkty i skóry baranie. Dziwiło mnie to bardzo, gdyż nigdy dotąd baron nie zezwalał na najmniejsze nadużycia. Około południa zbliżył się do mnie oficer taboru S., zapytując o zdrowie. Byłem mu bardzo wdzięczny, gdyż w ostatnich czasach wszyscy ode mnie się odsunęli, uważając mnie za straconego, zgodnie z orzeczeniem lekarza. Jedynym wiernym towarzyszem był ordynans Michajłow, który znosił wszelkie moje kaprysy i wypełniał życzenia rozgorączkowanej fantazji.

Kiedy w czasie rozmowy wspomniałem z żalem, że „dieduszka", tj. Ungern nie daje nam odpoczynku, tak bardzo upragnionego, S. wybuchnął śmiechem i wykrzyknął:

– Człowieku, czyś z nieba spadł? Przecież Ungern zabity, Riezuchin zabity, 1. brygada czeka na nas nad Selengą, opuszczamy przeklętą Mongolię, idziemy na Daleki Wschód do Władywostoku.

Zdawało mi się, że mam halucynację lub że S. jest pijany. Prawda to jednak była niezbita; potwierdzili ją jeszcze inni oficerowie.

Przewrót dokonany został w nocy z 17 na 18 sierpnia przez zdemoralizowanych żołnierzy, którzy oparłszy się 100-tysięcznej armii bolszewickiej dzięki bohaterskiej energii swego wodza, postanowili zabić go, szukając na własną rękę lepszej doli.

Przewrotu dokonała grupa spiskowców, oficerów sztabu, z pułkownikami Lwowem, Efarickim i T. na czele, którzy umiejętnie wyzyskali niezadowolenie i zmęczenie żołnierzy.

Początkowo projektowano oddanie dowództwa gen. Riezuchinowi pod warunkiem rozpoczęcia marszu na wschód, zdemobilizowania tam wojska i rozdziału kasy między dywizję. Ungern miał być usunięty lub zabity. Czekano tylko wejścia do Mongolii, gdyż w Rosji groziło więzienie czeki bolszewickiej.

Gdy w Mongolii przedstawiono projekt Riezuchinowi, ten propozycję nie tylko odrzucił, ale jednego z oficerów uderzył taszurem. Wówczas ozwało się kilka strzałów, które lekko raniły generała. Riezuchin, wołając o konia, chciał wybiec z namiotu, lecz jeden z oficerów wypalił mu z nagana prosto w skroń, kładąc go trupem na miejscu. Po śmierci generała 2. brygada ruszyła ku Selendze. Pierwszą brygadę zawiadomił o dokonanym fakcie jeden z wtajemniczonych. Wówczas, po złożeniu narady, wysłano sotnika D. z rozkazem zabicia Ungerna, ale ten nie miał odwagi wykonać zamachu i umknął. Spiskowcy więc sami mieli dokonać zabójstwa i wydali już odpowiednie rozkazy, jak poszczególne oddziały mają się zachować w razie śmierci barona. Do zabójstwa Ungerna wybrano 10 ludzi, uzbrojonych w mauzery; ci, nie mając odwagi działać otwarcie, strzelali z daleka do namiotu, nad którym powiewała wielka, żółta, jedwabna chorągiew dywizyjna ze znakami Czingischana.

Przez omyłkę trafili w inny namiot i zabili tylko dwóch ordynansów. Strzały te spowodowały niezrozumiały dla mnie popłoch, który generał starał się stłumić, objeżdżając osobiście obóz. Wtedy to właśnie spotkaliśmy się po raz ostatni. Ungern po rozstaniu ze mną wezwał zrewoltowanych do posłuszeństwa, tłumacząc, iż dążenie ich na wschód jest błędne, gdyż i tam wre walka z bolszewikami, zaś armia Merkułowa nie ma co jeść. Przy czym oświadczył, że obecnie ma zamiar zimować w dogodnym miejscu, aby z wiosną udać się do Wrangla.

Baron był doskonale poinformowany o zamiarach spiskowców, których nazwiska głośno wywołał: „Lwow", „Efarickij"! Lecz obaj pułkownicy schowali się, co widząc, Ungern krzyknął: „Wyłaźcie spod wozów, to nie miejsce kryjówki dla oficera". Pułkownicy, trzęsąc się ze strachu, nie usłuchali rozkazu, Ungern, rzuciwszy zaledwie okiem na świeżego trupa chorążego dywizji Burdukowskiego, ruszył ku taborom. Wówczas esauł Matwiejew dał za odjeżdżającym 2 strzały z nagana, ale chybił. Baron mruknął „mierzawiec" (podły) i zwrócił się ku dywizjonowi Mongołów. Znowu ozwały się salwy skierowane do generała. Koń Ungerna, widocznie raniony, pomknął w stronę lasku, unosząc jeźdźca, za któ-

rym rzuciło się w pogoń kilku oficerów, w tej liczbie Efarickij i Lwow, jakby chcąc wynagrodzić sobie niedawne tchórzostwo. Baron zginął, ale i prześladowcy jego nie wrócili do dywizji.

Baron pozostawił po sobie sławę niezwykle odważnego człowieka. Sami oficerowie piętnowali całą podłość podobnego postępku zgrai wobec swego wodza. Dowództwo objął teraz pułkownik O. Brygada składała się z 2 pułków kozackich, dywizjonu Buriatów, 3 baterii górskich, dywizjonu kulomiotów, mojego oddziału gazowego, taborów, stad bydlęcych i szpitali. Prowiantu było bardzo mało, gdyż przeważną część wozów pozostawiono na biwaku podczas przewrotu. Na pierwszym postoju złożono radę komendantów, między którymi znalazłem się i ja. Zniesiono bicie, jedyna kara – stanie pod szablą. Narada była burzliwa, gdyż miano na względzie nie dobro brygady, lecz osobiste ambicje.

Brygada nasza szła ku Selendze, gdzie miała spotkać się z 2. brygadą, a stamtąd, unikając bolszewików, miała się udać na wschód. Doszedłszy do rzeki, dowiedzieliśmy się od koniuchów mongolskich, że jakieś wojsko przeprawia się przez rzekę w odległości 20 wiorst. Przypuszczaliśmy, że to nasi.

W czasie przeprawy przez rwące koryto wody ponieśliśmy wielkie straty. Na próżno cały dzień szukano dogodnego brodu; wreszcie w płytszym miejscu Kozacy przepłynęli dość szczęśliwie, ale działa porywał i przewracał prąd. Na domiar złego napadł na nas cały pułk kawalerii bolszewickiej. Wysłano przeciwko niemu 1 pułk, działa Arisaka z porucznikiem i kulomioty. Walka trwała 4 godziny. Kule padały w wodę, raniąc i zabijając konie i ludzi. W pośpiechu wywracały się wózki, tonęły cenne przedmioty. Poszedł na dno skarbiec dywizji, zdołano uratować jedynie część złota, srebra i biżuterii. Zatonęło 100 skórek soboli, 50 wyder, 5000 gronostai i przeszło 10000 wiewiórek. Zatonęło 75 pudów prochu, 4,5 puda cyjanku potasu, znaczna ilość dynamitu, wszystkie narzędzia chirurgiczne, opatrunki, kilkanaście pudów opium i wiele innych rzeczy. Bardzo osłabionych rannych przewożono na tratwach, zbitych z wózków. Armaty przeciągano na linach, przy czym utonęło 1 działo włoskie i 18 kulomiotów. Pozostało ich jeszcze 22.

Mój majątek był załadowany na koniach, sam mimo osłabienia

płynąłem za ulubionym wierzchowcem. W połowie rzeki tak osłabłem, że zawołałem o pomoc, siły bowiem zupełnie mnie opuszczały. Wtedy ordynans, prowadzący ładunek, puścił go i podpłynął do mnie. Wierny Michajłow próbował potem ratować jeszcze konie, ale na próżno. Wskutek rozluźnienia się, rzemienie i toboły przekręciły się na brzuchy koniom i zatopiły je wraz z całym moim dobytkiem. W ten sposób straciłem 4 konie, cały majątek w srebrze i złocie, złoty posążek Buddy, cenne klisze i fotografie, dziennik, papiery osobiste, a co najważniejsze: stare książki na pergaminie zabrane z klasztoru oraz dokumenty tyczące się bolszewickiej akcji, otrzymane od Ungerna.

Jedyną pociechę mogła stanowić myśl, że takich zubożałych było więcej w tym dniu. W każdym razie został mi jeszcze doskonały pistolet Mauzera, lornetka polowa Zeissa, szabla i siodło. Te dawały mi możność życia i bezpieczeństwo.

Dość szczęśliwie przeprawił się porucznik W., który, uporawszy się z bolszewikami przy pomocy kartaczy, poza jukami stracił tylko kilku ludzi. Przeprawa ta kosztowała ogółem życie 80 żołnierzy, 2 miliony rubli w złocie i stado zatopionych koni. Ruszyliśmy teraz na południe – na przełaj przez góry i stepy. Czasem wstępowaliśmy do osad i klasztorów, gdzie lamowie opowiadali różne wieści o Ungernie i o bolszewikach. Jedni twierdzili, że Baszyrty Gun, chcąc się okupić bolszewikom, wydał w ich ręce śpiącego generała, inni zaś, że baron uszedł do Ulasutaju, a potem do Tybetu do dalaj-lamy.

Musiała być w tych wersjach jakaś iskra prawdy, gdyż Mongołowie, posiadając prymitywne urządzenia na wzór naszej poczty, komunikują sobie wzajemnie ważniejsze wydarzenia. W razie takiego zdarzenia Mongoł natychmiast podaje zaraz dalej wiadomość o nim i w ten sposób wieści rozchodzą się po całym kraju. Rozporządzenia rządu lub pocztę rozwożą posłańcy w specjalnych kaftanach, przekazanych razem z listem. Kaftan z wyszytymi hieroglifami na plecach jest najlepszą ochroną od napadu i gwarantuje pomoc ze strony mieszkańców. O szybkości podobnej poczty świadczy legenda, iż Batu-chan dowiedział się w Europie o chorobie i śmierci syna Czingis-chana Ugedeja w ciągu 8 dni, mimo od-

ległości przeszło 7000 kilometrów między stolicą chańską w Karakorum a wojskami Batu-chana na Węgrzech. Mongołowie umieją jednak zachowywać dyskrecję, zwłaszcza, gdy chodzi o obcokrajowców.

Bogdo-gegen poinformowany widocznie o śmierci Ungerna wydał tajny rozkaz, aby pomagać wojskom barona, bolszewików zaś wprowadzać w błąd co do ruchów brygad. Toteż poinformowani o planach czerwonych, mijaliśmy bezkarnie ich oddziały. Poza tym udzielano nam pomocy w postaci żywności i w dostarczaniu przewodników oraz koni. Niekarność jednak naszych żołnierzy, rabujących ułusy i jurty, obudziła wkrótce nieufność ludności, która poczęła ukrywać przed nami swój dobytek.

Dowódca brygady płk O. próżno wydawał surowe rozkazy, żołnierze stracili karność. Wówczas, aby zapobiec tym grabieżom i rozbojom, zebranie rady wojennej ustanowiło karę śmierci. Gdy w parę dni potem w Koturia-chure lamowie donieśli o nowej grabieży, zarządzono śledztwo i po wykryciu winowajców sąd polowy skazał ich na śmierć. W obliczu zgromadzonego wojska przestępcy musieli oddać zrabowane przedmioty do chure lamom i po zerwaniu szlif zostali rozstrzelani. Powyższy wyrok zadowolił lamów, a wśród żołnierzy zaś wskrzesił dawną karność. Toteż znowu, jak poprzednio, Mongołowie dostarczali koni, mięsa i mleka.

XXXIII. NA WSCHÓD!

Idąc w kierunku południowo-wschodnim, robiliśmy po 70 wiorst dziennie. Nie radzono nam zachodzić do Dzain-szabi, gdyż koncentrowały się tam znaczne siły bolszewickie, które rozbiły 1. brygadę. Wreszcie znaleźliśmy się nad Orchonem i rzekę tę dzięki dogodnemu brodowi przebyliśmy szczęśliwie. Po 2-tygodniowej podróży na wozie mogłem znowu swobodnie dosiąść konia. Zdrowie poczęło mi wracać i chociaż nie miałem jeszcze siły kierować półdzikim rumakiem, trzymałem się w siodle coraz silniej. Gdy wiatr stepowy wygnał ze mnie resztki choroby, doktor Riabuchin nie mógł się nadziwić, jakim cudem człowiek w podobnych warunkach mógł bez pomocy lekarstw przyjść do zdrowia. Wówczas to,

żartując, wyraziłem przypuszczenie, że zdrowie swe zawdzięczam talizmanom, otrzymanym od Bogdo-gegena.

Po przebyciu Orchonu warunki naszej podróży znacznie się pogorszyły skutkiem silnej agitacji bolszewickiej w Urdze.

O sytuacji tego miasta dowiedzieliśmy się od Czacharów, zbiegów z więzień czerezwyczajki, których spotkaliśmy koło jeziora Sze-tukum. W Urdze ogłoszono stan wojenny, nikomu nie wolno było bez przepustki komendanta przyjeżdżać lub wyjeżdżać z miasta. Nocą przebiegały miasto silne patrole, a na jego krańcach stała artyleria i karabiny maszynowe. Składy i sklepy zamknięto, towary wywieziono do Majmaczenu koło Kiachty. W miarę zajmowania Mongolii grzeczni z początku bolszewicy stawali się coraz okrutniejsi.

I tutaj, podobnie jak w innych miejscowościach, czerwoni stosowali zwykłą swoją taktykę, ogłaszając amnestię dla wszystkich, którzy służyli w dywizji gen. Ungerna, pod warunkiem zarejestrowania się w Urdze. Naiwnych, którzy zawierzyli kłamliwym obietnicom, pakowano do więzień, następnie wywożono do Rosji i tam rozstrzeliwano.

Urga zmieniła znacznie swój wygląd. Bolszewicy skrycie i wśród ciemnej nocy wywozili zdobycz automobilami. Zakładali szkoły komunistyczne i „cywilizowali" lamów, wszczepiając w nich nieznany im dotąd zwyczaj przyjmowania łapówek. A złota na propagandę dostarczały zrabowane cerkwie i kościoły w Rosji. Za zniszczenie naszej brygady bolszewicy naznaczyli wysokie nagrody w srebrze i złocie.

Wszystkie drogi wiodące z Urgi na południe poobsadzali, Mongołom zaś zagrozili zemstą w razie wspomagania białych.

Nastąpiły ciężkie chwile. Żywność i konie zdobywaliśmy siłą. W obawie zdrady zrezygnowaliśmy z pomocy przewodników, posiłkując się jedynie mapą i kompasem. Ze względu na słodką wodę obraliśmy trakt z Kałganu do Kobdo. Tam między jeziorem Sze-tukum a pierwszym traktem urgińskim uciekł od nas w nocy dywizjon Buriatów. Strata byłaby niewielka, gdyby nie pozbawienie nas znakomitych gobijskich koni, które dywizjon ten zabrał ze sobą. Odtąd, mimo kar i perswazji, wypadki ucieczki zdarzały się coraz

częściej. Brygada topniała tak szybko, że w Duganty liczyła zaledwie 900 ludzi. Warunki oczywiście stawały się coraz trudniejsze: z powodu braku mąki jadaliśmy tylko mięso, a wodę zastępowano często świeżą krwią koni i wielbłądów. Spotykaliśmy jeziora, ale te były słone i nie mogły gasić ogólnego pragnienia, toteż konie padały gromadnie.

Aby dopełniać nasze stada, chwytaliśmy po drodze pasące się tabuny. Dzikie te wierzchowce ujeżdżali jeźdźcy naszej brygady, nie gorsi od Mongołów i Kirgizów; gorzej jednak było z końmi pociągowymi, bo nieprzyzwyczajone zwierzęta stepowe rwały uprząż i ponosiły w step. Odtąd zaczęliśmy używać do zaprzęgu wielbłądów, które okazały się nawet praktyczniejszymi, bo wytrzymalszymi na brak pokarmu i pragnienie. Za drugim urgińskim traktem dostaliśmy się w piaszczyste i bezwodne okolice. Osiem dni nie widzieliśmy ludzkiej siedziby. Tumany wichru rzucały w twarz sypki, żwirowaty piasek, raniąc dotkliwie. Konie pokrywały się ropiejącymi pęcherzami, a ludzie mdleli z wysiłku i pragnienia. Drogę naszą znaczyliśmy trupami zwierząt i mogiłami towarzyszy, śmierć przerzedzała wesołą niegdyś i rozśpiewaną brygadę. Wychudłe twarze, rozgorączkowane oczy, chwiejące się konie upodobniały nas, niedobitków dywizji Ungerna, do upiornych widziadeł. Krew koni podnosiła pragnienie. W żołądkach kilkunastu wielbłądów znaleziono znikomą ilość wody. Nareszcie ósmego czy dziewiątego dnia podróży poczęła się ukazywać trawa i stado kóz przebiegło stepem. Nadzieja wstąpiła w ludzi, konie poczęły chciwie szczypać trawę i strzygły uszami, rozdymając chrapy. Puszczono je wolno, by własnym instynktem odnalazły wodę. Szły początkowo stępa, potem galopem i wkrótce znaleźliśmy się nad szerokim stawem słodkiej wody. Jedynie ten, kto przeszedł męczarnie pragnienia, wie, jaką rozkoszą jest... móc je ugasić. Jedni rzucili się plackiem na ziemię i leżąc, pili zbawczy napój, drudzy zanurzali w nim całe głowy, jeszcze inni czerpali wodę dłońmi. Pomimo panującego chłodu znalazło się nawet kilku amatorów zimnej kąpieli. Konie piły długo, brodząc w trawie i wodzie i rżąc z cicha, tylko wielbłądy z lekka i flegmatycznie zanurzały swe pyski, nie zdradzając zbytniego zadowolenia.

Przy trzaskających ogniskach, uprzyjemniając sobie czas oczeki-

wania na kociołek pieśniami i śmiechem, piekliśmy koninę. Zapomniano o niedawnych utrapieniach. W całej brygadzie zapanował wesoły, niefrasobliwy nastrój. W obawie, by znowu nie zabrakło nam napoju, kupiliśmy z kapitanem O. w pobliskiej jurcie 2 wory na wodę oraz trzeci, mniejszy z wybornym, kwaśnym kumysem i przytroczyliśmy je do wielbłądów.

Teraz pochód skierował się na północny wschód ku rzece Kerulen. Woleliśmy zdecydować się na walkę z bolszewikami niż na męki pustynne wywołane pragnieniem. Szliśmy przyśpieszonym marszem, chcieliśmy bowiem wyminąć trakt wielbłądzi i automobilowy. Nie omieszkaliśmy jednak zagarnąć bolszewikom tabunu świetnych keruleńskich koni. Brygadę naszą, doskonale teraz zorganizowaną, chroniły po bokach i tyłach oddziały wywiadowcze. Mimo niepewnej sytuacji, wszyscy byli weseli, jedzenia bowiem ani wody nie brakowało, konie mieliśmy świeże, można więc było szybko jechać nocą, w dzień zaś wypoczywać. Niespodziewanie spotkaliśmy uzbrojonych w karabiny Mongołów, którzy zachowywali się dość hardo, ale gdy im przypieczono trochę pięty, wyśpiewali, że są szpiegami bolszewików, że ci ostatni chcieli nas wciągnąć w pułapkę i tylko wejście nasze w piaski stanęło temu na przeszkodzie. Za wyłapywanie naszych dezerterów Mongołowie otrzymywali nagrody od bolszewików.

Pewnej nocy minęliśmy doskonale utrzymany trakt samochodów, wiodący z Kałganu do Urgi i Majmaczenu. W czasie protektoratu chińskiego utrzymywano tu garaże, tj. stacje, dostarczające benzyny i wody. Panował tu duży ruch osobowy, z którego korzystali kupcy chińscy, koloniści rosyjscy, a nawet Amerykanie. Właściciele samochodów również odnosili wielkie zyski. Przewiezienie jednej osoby z Urgi do Kałganu kosztowało bowiem 400 tajanów.

Droga tu była szeroka i dogodna dla komunikacji samochodowej, lecz na terytorium Czacharów, żyjących z rozboju, dosyć niebezpieczna. Pod samym zaś Kałganem górzyste przełęcze utrudniały przejazd, tak że tylko wytrawni i odważni szoferzy mogli tam prowadzić automobil.

Baron Ungrn w czasie swych rządów w Urdze miał zamiar prze-

prowadzić linię telegraficzną na odcinku Kałgan – Cecen-chan-chure. Działania wojenne przeszkodziły mu wszakże w zrealizowaniu tych projektów. Nie wiem dotychczas, czy bolszewicy skorzystali z nagromadzonych w Urdze zapasów słupów i drutów, czy przeprowadzili połączenie telefono-telegraficzne Urgi z Ulasutajem na zachód, z Manganem na południe i Sanböjsen na wschodzie.

Z chwilą zawładnięcia Mongolią przez bolszewików upadł także opracowany przez inżyniera Wojciechowicza plan budowy mostów, na które materiału budowlanego miały dostarczyć choszuny.

XXXIV. WEJŚCIE W DOLINĘ KERULENU

Przebywszy ostatni trakt urgiński, znaleźliśmy się nieopodal rzeki Kerulenu, której okolice były nam już znane. Cieszyliśmy się wszyscy nadzieją dotarcia na wschód w niedługim czasie.

Maszerowaliśmy dniem. Pokryty bujną, choć już żółknącą trawą, step dostarczał koniom obfitego pożywienia, zaś liczne jeziorka i strumienie napoju. Nie brakło nam też mięsa i tłuszczu dzięki licznym stadom owiec pasącym się w stepie, zaś dzikie ptactwo urozmaicało jeszcze nasze pożywienie. Za zbędne konie otrzymywaliśmy proso, które zastępowało nam chleb.

Niestety, pierwsze nocne chłody dawały się nam już we znaki, przypominając zbliżanie się zimy. Nie mając ciepłych koców ani ubrań, spędzaliśmy noce, grzejąc się przy ogniskach, podsycanych argałem. Gdy przymrozki nocne zaczęły ścinać wodę powłoką lodową, a zimno dokuczało coraz bardziej, zaczęto urządzać wyprawy po kożuchy. Otaczano więc żołnierzami ułusy mongolskie i wybierano stamtąd najlepsze szuby, za które skarbiec brygady wypłacał bardzo wysokie ceny. Gdy ten sposób nie wystarczał, nakładano na spotykane chure kontrybucje, płatne w kożuchach lub w skórkach baranich.

W mongolskich szubach, krytych kolorowym jedwabiem lub czeczuńczą, w kapuzach lub w mongolskich czapkach, brygada zatracała cechy regularnego wojska. Przy tym konie stepowe nie umiały iść w szeregu; zdarzało się często, że jakiś jeździec wyrywał się w step, za nim zaś pobudzone przykładem gnały inne rumaki.

Nieraz trzeba było długo uganiać po stepie za nieposłusznym wierzchowcem, który, zrzuciwszy jeźdźca, pędził na wolność z rozwianą grzywą i rozdętymi chrapami. Nie udawało mu się jednak wywinąć od kozackiego arkanu i wkrótce ujarzmiony, okryty pianą, wracał na służbę brygady. A koni nam teraz nie brakowało, dzięki spotykanym w stepie stadom. Bez ceremonii wybierano najlepsze, zostawiając w zamian swoje zmęczone lub pokaleczone zwierzęta. Jedynie klacze pozostawiano koniuchom, szanujący się bowiem jeździec mongolski nie wsiądzie na matkę, choćby miał nieść siodło w ręku.

Mongołowie nie koszą siana, lecz tabuny swe pasą latem i zimą w stepach. Konie, szukając pożywienia, rozkopują kopytami śnieg i szczypią zżółkła trawę. Poza tym tabuny nie zawsze są pilnowane przez koniuchów, czasem chodzą swobodnie pod wodzą ogierów, które mają u stada bezwzględny posłuch. Największym wrogiem koni w zimie są wilki. Broniąc się przeciwko nim, konie formują kolisko, w którego środku stają źrebaki i matki. Ogiery kopytami i zębami miażdżą napadające wilki, rzucając pokaleczone zwierzęta na pastwę źrebiąt, które je tratują swymi małymi kopytkami.

Powodzenie stada zależy od dobrego i czujnego ogiera. Dlatego koniuchy pozostawiają koniom swobodę w wyborze ogiera-wodza, wierzą bowiem w ich instynkt.

Nareszcie dotarliśmy do rzeki Kerulen, która początek swój bierze w okolicy Karabuiłunu, przewijając się szeroką wstęgą przez bezleśne, ale bardzo żyzne stepy.

Stepy te nie są puste. Mnóstwo ułusów i jurt znaczy się białymi plamami wśród morza traw. Pasą się tam też stada rogatego bydła i baranów, liczące po kilkanaście tysięcy sztuk. Tabunów koni o małych łebkach i szerokich piersiach strzegą koniuchowie w długich szubach i owczych kapuzach, dzierżąc arkany lub urgi[27].

W zagrodach wypasają się dwugarbne wielbłądy, przeznaczona do długiego transportu. Właściciele często oglądają podeszwy ich racic, badając, czy zniosą one ostry żwir i piasek dalekiej drogi. Wczesną zimą wychodzą te zwierzęta, objuczone sierścią, sztabami

[27] Długie żerdzie, opatrzone na końcu pętlicą.

srebra i skórami, do Kałganu, Pekinu lub Tientsinu, skąd powracają dopiero w marcu, z herbatą, jedwabiem, czeczuńczą, dalembą i tytoniem.

Do Tybetu transport idzie 3–4 miesięcy, a kupcy handlujący z Sartami, wracają do domu zaledwie po 12–18 miesiącach. Wielbłądy przeznaczone do tych podróży pozostają całe lato samopas w stepie. Garby ich, luźno zwisające wiosną, w jesieni sterczą niby pagórki, a długa, miękka sierść pokrywa obficie ciało. Wypasione wielbłądy zagania się na 8 dni do zagród, gdzie stoją bez żywności i picia. Ten czas ma wystarczyć na takie zgrubienie racic, żeby nie można ich było przeciąć nawet ostrym nożem. Innych zwierząt nie można brać do transportu, po kilku dniach bowiem zdzierają sobie miękkie podeszwy i trzeba je zostawiać w stepie na pastwę losu.

Okolice nad Kerulenem są bardzo żyzne i pełno tu chutorów Buriatów i rosyjskich kolonistów. Pola uprawne pokrywa proso i inne zboże. Mongołów jednak rolnictwo nie pociąga, wolą koczowniczy żywot pasterzy.

Baron Ungern zawarł był umowę z Bogdo-gegenem, by okolice rzek Kerulenu i Selengi były oddane ochotnikom Azjatyckiej Dywizji. Początkowo rząd miał zaopatrywać tych kolonistów w nasiona, narzędzia rolnicze i budulec. W większych koloniach projektowano zorganizowanie stajni zarodowych oraz rogatego bydła. Osobne, wzorowo urządzone mleczarnie miały przerabiać mleko. Urga dzięki pokładom węgla kamiennego i żelaza mogła jako centrum fabryczne zaspokajać potrzeby mieszkańców. W większych punktach handlowych miały stanąć garbarnie i płuczkarnie wełny, fabryki wojłoku i filcu. W ten sposób mogłaby Mongolia zużytkować swe olbrzymie stepy, rozwinąć przemysł wytwórczy i kopalniany, eksportując zamiast surowców własne fabrykaty. Bogactwa ziemne, urodzajność gleby, zarybione jeziora i rzeki, wreszcie miliony bydła i zwierząt pociągowych, pozwalały wierzyć w krociowy obrót i podniesienie kultury tego kraju.

Chińczycy znali i rozumieli bogactwa Mongolii, dlatego wciskali się w najżyźniejsze jej okolice, jako kupcy, rolnicy, przemysłowcy. Lecz ani ich narzędzia, ani przestarzałe sposoby przemysłu i rolnictwa nie odpowiadały potrzebom chwili. Jedynie kupcy

chińscy, dzięki wrodzonej chytrości, oszukiwali Mongołów i ciągnęli z tego kolosalne zyski.

Bolszewicy, zawładnąwszy Urgą, Wan-chure, Dzain-szabi i Chatchyłem, rabowali kraj niemiłosiernie. Stada baranów, bydła i koni, rekwirowane prawem kaduka, szły do Rosji. W zamian karmiono tuziemców komunizmem lub w razie oporu kulą. W ten sposób, zamiast projektowanego rozkwitu bogactw, Mongolia przekształcała się coraz bardziej w wyniszczoną pustynię.

Jednocześnie rozgorzała tu wojna domowa. W księstwie chałchińskim ludność miejscowa wspólnie z oddziałami czerwonych napadała na choszuny, paląc je i niszcząc. Bogatych i licznych „chure" strzegli lamowie, zawzięci przeciwnicy bolszewików.

W rezydencji Cecen-chana, pułkownik K., chwilowy zastępca pułkownika O., miał audiencję u chana, podczas której dowiedział się o pobycie w okolicach Charabuinu oddziału pułkownika Kazagrandi pod wodzą esauła Szyłowa, jak również o istnieniu intendentury pod dowództwem chorążego Baranowa. Ze słów chana wnioskowaliśmy, że zawiera ona kilkanaście tysięcy koni, stada bydła rogatego i wielbłądów, ogromne zapasy żywności i złota. Niedługo niestety cieszyliśmy się nadzieją korzystania w bliskiej przyszłości z tych bogactw. Wkrótce przyszła wiadomość o sprzeczce między porucznikiem Zdanowem a Baranowem, która skończyła się śmiercią tego ostatniego. Wypadek ten zniszczył dyscyplinę. Rozbijano skrzynie, kradziono konie i bydło, sprzedawano je za bezcen Mongołom. Z takiego stanu rzeczy skorzystali Chałchasi, napadli na obóz, a wyrżnąwszy śpiących żołnierzy, zawładnęli jego majątkiem. Zaledwie kilku oficerów i żołnierzy uciekło, między nimi i Zdanow, który ze znacznym zapasem złota udał się do Władywostoku.

Oddziały bolszewickie wpadły na nasz trop i goniły nas zawzięcie. Dlatego za radą chana udaliśmy się znowu w stepy. Bolszewicy jednak nie zostawili nas w spokoju. Pewnego dnia odparliśmy znaczny oddział ich kawalerii, lecz ustępując, musieliśmy borykać się znowu z większymi jeszcze siłami. Tym razem pobici bolszewicy cofnęli się i przez czas dłuższy nie zakłócali nam spokoju.

Komisarze bolszewiccy zmobilizowali konie i siodła u Mongołów i wsadziwszy piechotę na konie, rozpoczęli pościg za nami. Pościg trwał 3 dni, aż wreszcie znudzeni takim stanem rzeczy, wpędziliśmy naszych prześladowców w zasadzkę i wybiliśmy ich doszczętnie. Okazało się potem, że czerwona piechota odparzyła nogi od drewnianych wąskich mongolskich siodeł i nie mogła sobie dać rady z półdzikimi wierzchowcami.

Była to już ostatnia nasza bitwa z regularnym wojskiem sowieckim.

XXXV. PRZEZ PIASKI PUSTYNI SZABARTAJ-GOBI

Po Cagan-chure, weszliśmy znów w bezwodne strony, jedynie przy traktach ciągnęły się studnie lub wytryskały małe źródełka. Toteż marsze trwające po 20 godzin dziennie były dokuczliwe. Na domiar złego znajdowana woda była przeważnie zepsuta, pełna trupów i kości. Należało oczyszczać źródła, następnie dopiero raczyć się napojem, nie bacząc na wydobyte z niego przed chwilą resztki padliny.

Im głębiej wchodziliśmy w Szabartaj-Gobi, tym mocniej zachmurzały się czoła na myśl o nowej męczarni, czekającej nas w pustyni. Mapy nasze nie były zbyt dokładne; często błądząc, musieliśmy szukać pomocy przewodników. W tym czasie wykryto spisek wśród żołnierzy, mający na celu wymordowanie oficerów i poddanie się bolszewikom. Projekt ten wyszedł od naszych żołnierzy-komunistów, którzy na żądanie komendy zostali przez własnych towarzyszów wydani i rozstrzelani.

O powyższym spisku wiedzieli zapewne Chałchasi, gdyż tego samego wieczora, którego został on wykryty, napadli na obóz. Atak ich omal nie wywołał paniki, początkowo bowiem przypuszczano, że rozpoczyna się bratobójcza walka. Dopiero łącznik z placówki wyjaśnił sytuację i ogniem działowym odpędzono rabusiów. Umiejętne wystąpienie dowódcy brygady wobec żołnierzy i oficerów przywróciło jedność i subordynację.

Bolszewicy, nie mogąc nas zwyciężyć, uciekli się w końcu do barbarzyńskiego środka: podpalali trawę na stepie, chcąc w ten

sposób pozbawić nasze konie pożywienia, wyrządzili jednak w ten sposób więcej szkody Mongołom niż nam, gdyż już w tych miejscach zimową porą nie można było paść bydła. Oprócz tego knuli na nas tysiące zasadzek, podburzali Chałchasów do prześladowania naszego oddziału, napadania na nas nocami podczas odpoczynku i do kradzieży koni. Wobec tego zaczęliśmy bezwzględnie tępić zbójeckie watahy.

Jedynie te osady i ułusy, które dawały przewodników oraz zakładników, rekrutujących się z osób wysokiego rodu, były przez nas oszczędzane. Surowy ten sposób postępowania odniósł pożądany skutek: Chałchasi sami zaczęli wyłapywać komunistów i oddawać ich w nasze ręce, a poza tym na każde zawołanie dostarczali nam koni, bydła i produktów. Między osadą Bezen-bułuk a Imone schwytano transport bolszewicki; jedno działo klinowe oraz kilkaset skrzyń z pociskami i prochem, prowadzonych do Urgi, Konwój, składający się z 30 Mongołów i 2 komisarzy, częściowo wybito, częściowo zaś wzięto do niewoli, a działo i pociski zniszczono. Podczas demolowania tych pocisków zaszedł przykry wypadek z żołnierzem Kowalowem, któremu wybuch szrapnela połamał nogi i żebra, ranił głęboko w łopatkę i wybił wszystkie zęby. Kowalowa w stanie prawie beznadziejnym oddano pod opiekę dywizyjnego lekarza.

Posuwaliśmy się teraz stale przez bezbrzeżne stepy, których bujne trawy zabarwiał już jesienny koloryt. Wokół było pusto. Ludzkie siedziby spotykaliśmy bardzo rzadko, za to zwierzyny było pełno. Obok nas migały chyże antylopy, poruszały się wolno dropie, ciągnęły stada gęsi, kaczek, łabędzi, żurawi, napełniając przestworza ostrym krzykiem.

Jesień znaczyła swe panowanie złocistym odcieniem traw i ostatnimi ciepłymi promieniami słońca, które grzały nas po nocnych chłodach, pokrywających już białym szronem ziemię. Deszczów nie było wcale.

W przeciwieństwie do Mongolii zachodniej, pokrytej wzgórzami, wschodnia, którą właśnie przebywaliśmy, jest jak gdyby oceanem traw. Nie widać tu ani drzewa ani kurhanu, od czasu do czasu wyczuwa się tylko z lekka powierzchnię falującą.

Na tej szerokiej, bezgranicznej przestrzeni wspaniałą rozrywką bywa polowanie na dropie na sposób kirgiski.

Sposób ten polega na tym, że poluje się na dropie w czasie, gdy wieczorna rosa lub deszcz, marznąc na skrzydłach ptaka, nie pozwala mu ratować się ucieczką przy pomocy skrzydeł. Ptak, zobaczywszy myśliwego, ucieka po ziemi, zrazu wolno, potęgując stopniowo szybkość biegu. Myśliwy, doganiający dropia na koniu, musi znakomicie powodzić swym wierzchowcem, gdyż ptak często zatacza koła lub zwraca na miejscu. Zabicie dropia uderzeniem nahajki w głowę podczas pełnego galopu konia, wymaga także wielkiej zręczności i wprawy.

Od czasu do czasu zdarza się okazja zapolowania na chytre lisy, skradające się ostrożnie wśród traw po ofiarę, to znowu na rozbójnika stepu – wilka. Wilk, gdy szuka zwierzyny, kłapie nerwowo zębami i nie mogąc kręcić szyją, robi obroty całym ciałem. Gdy zwietrzy zdobycz, kładzie się na ziemi, po czym zaczyna się skradać prawie bez szelestu. Posłyszawszy podejrzany odgłos, drapieżca zatrzymuje się, cały zamieniony w słuch, przykładając niemal głowę do ziemi. Widząc, że jest tropiony, ucieka, co sił starczy, skacząc na sprężystych nogach. Wówczas otaczają go jeźdźcy. Na widok błyskających wokoło szabel zwierzę zbiera ostatek sił i rzuca się w bok, najczęściej do szyi najbliższego konia i wtedy właśnie otrzymuje ostateczny cios szablą w kark. Do tego rodzaju polowania nadają się najlepiej konie mongolskie, które są tak pojętne, że można nimi kierować tylko przy pomocy głosu, więc korzystaliśmy często z tej tak miłej w stepach rozrywki.

Brygada szła wesoło, choć zapasy mąki i cukru były już na wyczerpaniu. Za to mięsa nie brakowało, spożywano je więc w obfitej ilości. Baran dobrze wypasiony wystarczał na cały dzień dla pięciu ludzi.

Skóry świeże zamieniano na wyprawione lub na wojłoki, niezmiernie pożądane wobec panujących chłodów.

Po kilku dniach charakter stepu uległ zmianie. Zjawiły się piaszczyste wydmy, roślinność ograniczała się zaledwie do nikłej trawki lub kolczastej karagany. Trzeba było teraz nie tylko czyścić studnie, lecz filtrować wodę, gdyż pokrywały ją grube warstwy ku-

rzu, A wodę tę spotykaliśmy coraz rzadziej, coraz nędzniejsza była roślinność stepu i jedyną naszą pociechę stanowiły oazy. Dzięki ożywczej krynicy, ginącej kędyś w piaskach, bujna trawa okalała ich brzegi, zaś wydeptane ścieżki świadczyły o licznej zwierzynie, która tu przychodziła gasić pragnienie.

Ale zniknęły wreszcie i oazy. Ziemia niezwilżana deszczem pod gorącymi promieniami słońca, była popękana i twarda. Na dnie wyschłych jezior znajdowaliśmy zamiast wody osad skrystalizowanej soli.

Nastrój brygady pogorszył się znacznie, konie szły smutne i zmęczone. W wyobraźni jeźdźców majaczyły widziadła przebytej niedawno męki pragnienia, od której język sztywniał i pokrywał się bolesnymi krostami.

Na domiar złego wiatr zasypywał nam oczy i uszy czarnym pyłem, a brudną powłoką okrywał całe ciało. Dawno niewidziana w naszych szeregach śmierć zjawiła się, zabierając kilka ofiar.

Z rozpaczą śledziliśmy na mapie odległość, dzielącą nas od jeziora Buir-noru; malała ona z dniem każdym, ale i nam ubywało sił i koni.

XXXVI. PRZEZ BARGĘ DO MANDŻURII

Wreszcie pewnego dnia przednie straże pochwyciły Mongoła na wielbłądzie, który poinformował nas, że znajdujemy się na ziemiach księstwa Bargi, o jeden dzień drogi od olbrzymiego jeziora, nad którym jest dużo bogatych jurt i pastwiska z soczystą trawą. Pełni otuchy, ruszyliśmy za nowym przewodnikiem pieszo, ze względu na zbiedzone konie.

Rzeczywiście następnego dnia w południe ujrzeliśmy szerokie, zielonawe tonie jeziora, obmywające piaszczyste brzegi.

Napojono konie, ale wobec braku paszy ruszyliśmy dalej wzdłuż wybrzeży. Zaledwie ujechaliśmy kilka kilometrów, gdy drogę zastąpiło nam kilkunastu świetnie ubranych Mongołów, oznajmiając, iż przez terytorium księstwa Bargi przejść możemy tylko za odpowiednią opłatą. Sam książę, który wydał ten rozkaz, znajdował się o kilkanaście kilometrów na zimowym koczowisku. Aby załatwić

sprawę pokojowo, udał się do księcia pułkownik K. w otoczeniu kilkunastu oficerów. Tu już droga była dogodniejsza, bo chociaż trawy były prawie wypasione, to przecież nasze zgłodniałe konie mogły się nimi nieco pożywić i nabrać sił. Kiedy w oddali zamajaczyły białe sylwety książęcych jurt, ujrzeliśmy ordynansa naszego dowódcy, który pędząc co koń wyskoczy od księcia, dopadł do dowodzącego w zastępstwie pułkownika oficera i wręczył mu jakąś kartką. W tej samej chwili na rozkaz zastępcy, brygada uformowała się w szyk bojowy. Sotnie nasze otoczyły półkolem jurty Mongołów, ustawiając armaty z lufami wycelowanymi wprost na namiot księcia. Na widok tego manewru, Mongołowie znikli, z jurty zaś pięknie zdobionej deseniami wyszedł pułkownik, prowadząc ku armatom bladego, trzęsącego się księcia, ze słowami: „Jeżeli Gun nie zgodzi się na moje żądanie, to każę natychmiast wystrzelać cały jego dwór i spalić jurty". Po czym dał znak dowódcy baterii, by działo odprzodkowano i otworzono jaszcze. Książę na widok pocisków skurczył się, zmalał i szybko gestykulując, zgodził się na wszelkie warunki. Pułkownik wrócił do namiotu, brygada zaś oddaliła się na biwak.

Władca Bargi stawiał przedtem wygórowane warunki, udzielając brygadzie prawa przejścia przez swoje terytorium: żądał ogromnej liczby koni, paru kulomiotów, kilkuset karabinów, a za żywność opłaty jambami lub wielbłądami. By obniżyć wygórowane żądania księcia, pułkownik K. musiał zagrozić użyciem siły zbrojnej. Groźba ta podziałała tak silnie, że książę nie tylko wyrzekł się swych warunków, ale zobowiązał się dostarczyć nam żywności, koni i przewodników. Natychmiast spędzono stada baranów, które zarżnięto i podzielono między wojsko.

Buir-nor albo Bör-nor jest to ogromne jezioro, liczące około 90 kilometrów długości, 25–30 km szerokości. Południowe brzegi jego są piaszczyste i równe, wschodnie zaś tworzą wały i wzgórza; jedynie ujścia małych potoków są zarośnięte wikliną i sitowiem. Nad tymi potokami stoją domki kupców „rybnych", składy beczek i przyrządów rybackich. W szuwarach nadbrzeżnych żyją duże ilości ptactwa wodnego i błotnego. Na falach pływają najróżnorodniejsze odmiany kaczek, w sitowiu brodzą czaple i czarne bociany

(białych nie widziałem), żurawie i bekasy. Czasem mignie perkoz lub srebrnopióry nurek, gagary, kurki wodne i różne inne błotniaki żerują przy brzegu, napełniając powietrze ostrym krzykiem i piskiem. Gdzieniegdzie widać stojącego na brzegu srebrzystego łabędzia, który muskając się dziobem spogląda, niby zalotna niewiasta, w zwierciadło wód.

Ponad tym rojnym jeziorem unoszą się stada mew i rybitw różnej wielkości i upierzenia, spadających z góry lekko i niezmiernie szybko na upatrzoną zdobycz. Ptactwo to jednak drży znowu przed wspólnymi nieprzyjaciółmi: groźnym jastrzębiem i potężnym orłem. Wspaniały ten król przestrzeni, zataczając w powietrzu ogromne koła, kołysze się nad wodami jakby od niechcenia, aby runąć nad głębiny z szybkością błyskawicy i unieść w silnych swych szponach wybraną ofiarę.

Tonie jeziora są na ogół dość spokojne. Za lada jednak podmuchem marszczą się i wówczas fale, biegnąc jedne za drugimi, uderzają o brzeg i rozpryskują się w tysiące drobniutkich kropelek.

Brygada, po należytym wypoczynku nad jeziorem, ruszyła ku chińskim strażom pogranicznym, trzymając się wybrzeży. W odległości 30 kilometrów od rezydencji księcia, zatrzymaliśmy się na postój. Miejsce tu było dogodne. Obszerna równina, przerżnięta szeroko rozlanym potokiem o grząskich brzegach, porosłych wysoką, żyzną trawą. Nad jeziorem stały domy rybaków. Konie puszczono w step pod opieką koniuchów, rozpalono ogromne ogniska z suchych gałęzi i rozbitych łodzi, warzono strawę, wielu zaś żołnierzy, nie zważając na chłód, rzuciło się w nurty jeziora, by obmyć ślady podróży po pustyni. Inni zajęli się rybołówstwem przy pomocy pożyczonych od rybaków długich sieci. Ryb było w bród i to olbrzymiej wielkości. Długość szczupaków dochodziła do półtora metra, bieługi ważyły kilkanaście funtów. Używano tedy na rybach i ptactwie wodnym, które się dało z łatwością zabijać. Błądząc w wiklinie, zastrzeliłem kilka pięknych perkozów, nurów i kilkanaście nieznanych mi błotniaków z wygiętymi niby szable dziobami. Na jednej maleńkiej wysepce znalazłem zabłąkanego tam przypadkiem pelikana.

Tymczasem dowództwo układało się z chińską pograniczną

strażą o pozwolenie przejścia do „Amurskiego Kraju" przez Mandżurię. Ponieważ nie leżało to w kompetencji dowodzącego strażą chińską, musiał się on porozumieć w tej sprawie z dowódcą okręgu w Chajłarze, generałem Dżan-Kuju. Równocześnie wyjechał tam nasz oficer-esauł, zaopatrzony w glejt i pełnomocnictwo od pułkownika. Miał on również udać się do marszałka polnego Dżan-dzo-lina. Po załatwieniu różnych formalności, zostaliśmy zaproszeni do kwater chińskich na bankiet. Według mnie był to objaw nie tyle przyjacielskich uczuć, co strachu przed znaną z męstwa brygadą.

Pijatyka trwała długo, ale ja osobiście nie brałem w niej udziału, gdyż ujeżdżałem wtedy z kapitanem O. nowe wierzchowce, otrzymane od księcia Bargi. Już w drodze powrotnej do obozu dzikie rumaki zmieniły się w zupełnie posłuszne stworzenia.

Czuć było zbliżającą się burzę. Wiatr wzmagał się i porywał pożółkłe trawy. Czarne chmury czołgały się po niebie niby ciemne potwory, pędzone wichurą. Na jeziorze ryczały fale, bijąc z wściekłością o brzegi, a spłoszone ptactwo wydawało tęskne okrzyki. Jezioro wyglądało wspaniale, oświecone księżycem, który właśnie wypłynął zza chmur. Huk przelewających się fal głośnym echem rozbrzmiewał po stepie. Bałwany o wysokości kilkometrowej, jak gdyby w dzikiej pasji, wypluwały na brzeg wodorosty, ślimaki, nawet trupy baranów i rozbite łodzie.

Pozostawiwszy konie w obozie, staliśmy długo nad brzegiem, podziwiając rozhukany żywioł. Na koniec wiatr przycichł, fale stawały się coraz niższe i słabiej uderzały o brzeg, a echo rozlegało się mniej donośnie. Tylko olbrzymie puchacze i sowy stepowe spadały cicho na wybrzeże i porywały wyrzucone na piasek ślimaki lub ryby.

Słoneczny ranek zastał nas jeszcze na brzegu uspokojonego jeziora. Tysiące wrzaskliwych mew oraz innych wodnych ptaków zlatywały na obfity żer, pozostawiony na lądzie przez fale. Stada bekasów i kulików grzebały dziobami w miękkim mule, gagary i kaczki ciągnęły całe zwoje wodnych roślin, a żurawie, czaple i czarne bociany kroczyły poważnie wśród tej drobnej zgrai, chwytając od czasu do czasu jakąś większą rybę lub żabę. Po cichych teraz falach

pływały barwne nurki, które zanurzając się co kilka chwil pod wodę, otrzepywały później swe piórka z drżących, srebrzystych kropelek. Poza tym zauważyłem jeszcze kilka nieznanych mi gatunków ptactwa, które by mogły stanowić ciekawą zdobycz muzealną.

Dopiero trzeciego dnia ruszyliśmy dalej dobrym kołowym traktem w towarzystwie chińskich oficerów. Skręciwszy na wschód, stanęliśmy z zapadającym wieczorem nad brzegiem Chałcha-goł, dopływu Ursonu i łącznika Buir-noru z Dałaj-norem. Rozstawiliśmy namioty z zamiarem dłuższego postoju, gdy nagle strzały pistoletowe wywołały popłoch. Strzały te, jak się zaraz wykryło, były skierowane przez Kozaków do wygrzewających się w wodzie ryb. Ponieważ strzelać zabroniono, Kozacy, nie chcąc pozbywać się smacznego pożywienia, rzucili się w wodę i szablami natłukli taką masę szczupaków i omuli, iż karmiliśmy się nimi przez całe dwa dni. Ryby, nigdy nie tępione, nie obawiały się ludzi, tak że z bliska można je podejść. Nie jest to jednak rzeczą łatwą wymierzyć cios pod kątem prostym i przeciąć wodę, nieraz bowiem opór fal skręca szablę pod powierzchnią wody i wówczas zamiast ryby można przeciąć własną nogę. Jedynie Kozacy, znakomicie władający szablą, są mistrzami w tego rodzaju łowach,

W ciągu dwudniowego postoju nad Chałcha-gołem zjeżdżało do nas wielu Mongołów z mąką, tytoniem i skórami. Prowadziliśmy handel zamienny. Mniej wytrwałe konie i wielbłądy wymieniano na cukier i wojłoki, a broń na srebro lub futra. Największym popytem cieszyły się pistolety mauzery, za które można było otrzymać do 200 chińskich tajanów.

Trzeciego dnia rankiem przeszliśmy w bród rzekę i ruszyliśmy traktem do Chajłaru. Teraz nie brakowało nam ani wody, ani paszy, a krótkie, zaledwie 30-kilometrowe marsze pozostawiały czas na polowanie. Nad potokami spotykaliśmy chińskie fanzy, wzniesione z gliny, oraz młyny, poruszane końmi. Otaczały je dobre gospodarstwa rolne.

Ponieważ rozeszła się pogłoska, że brygada nasza przechodzi na służbę, Dżan-dzo-lina i ma walczyć z Chunchuzami (rozbójnicy chińscy), przeto Chińczycy koloniści przyjmowali nas bardzo gościnnie.

Nad rzeką Sziwe-goł konny posłaniec generała Dżan-Kuju przywiózł wiadomość, że sam wódz wyjeżdża na nasze spotkanie w towarzystwie swego adiutanta kapitana Dży-łun-dżana.

Nazajutrz przybył rzeczywiście automobil, ale tylko ze świtą generała, gdyż on sam z powodu ważnych spraw nie mógł przybyć. Automobil wrócił do Chajłaru, adiutant zaś został u nas w brygadzie.

Kapitan Dży-łun-dżan był Chińczykiem małego wzrostu, twarzy pociągłej, bez zarostu z wąskimi, chytrze latającymi oczkami. Mówił żargonem rosyjsko-chińskim.

Przywiózł mnóstwo gazet miejscowych wydawanych w Mandżurii oraz kilka bolszewickich. W tych ostatnich był opis śledztwa czeki przeciwko generałowi Ungernowi. Tajemnica więc została rozwiązana. Baron wpadł w ręce bolszewików i był więziony w Nowonikołajewsku.

Czytając te gazety, dawni podwładni Ungerna przekonali się, iż ich dawny, nieustraszony dowódca nie tylko nie wyparł się na śledztwie popełnionych czynów, lecz zapowiedział, że jeśli tylko uda mu się wyrwać z rąk oprawców, do końca życia będzie walczył z bolszewizmem. Niezwykle odważne zachowanie się barona zaimponowało nawet bolszewikom. Gazety szczegółowo opisywały zachowanie się więźnia, porównując go z innymi, np. z ministrem Piepielajewem, który czołgał się na kolanach, błagając rewolucyjny trybunał o łaskę przyjęcia do sowieckiej armii. Nieszczęsny los spotkał, jak dowiedzieliśmy się z gazet, pułkownika Lwowa i Efarickiego, których także pochwycili bolszewicy, zostali rozstrzelani. Próżno powoływali się skazańcy na zasługi w organizacji spisku w „Konnej Azjatyckiej Dywizji". Otrzymali słuszną odpowiedź, iż zdradziwszy raz swego wodza, mogą równie prędko sprzeniewierzyć się i Sowietom.

Zginął także pułkownik Szyszkin, wojujący w Górach Sajańskich i generał Bakicz. Wiadomości tyczące się naszej brygady, były fałszywe. Specjalne oddziały czerwonych miały nas jakoby rozbić w Mongolii, podawane przy tym szczegóły z walk, nazwy miejscowości oraz przedstawiane spisy zabitych oficerów były zupełnie kłamliwe.

Wkrótce warunki, ustalone przez kapitana Dży-łun-dżana i na-

sze dowództwo, zostały nam podane do wiadomości. Brzmiały jak następuje: w Chajłarze mieliśmy oddać broń i konie Chińczykom, za co zobowiązano się wypłacić żołnierzom po 50 tajanów, oficerom zaś po 100. Wyższym szarżom pozwolono sprzedać lub zatrzymać wierzchowce. Wszyscy uczestnicy „Konnej Azjatyckiej Dywizji" mieli zapewnione prawo pobytu w Chinach lub Mandżurii, jak również posiadanie chińskich paszportów. W razie wyjazdu do amurskiego czy primorskiego kraju otrzymywali bezpłatne wizy i wolny przejazd wschodniochińską koleją. Ponadto oficerowie Ungerna mieli otrzymać prawo pierwszeństwa na projektowane stanowiska instruktorów w armii chińskiej. Znalazło się kilku amatorów, pragnących iść z bronią w ręku aż do Władywostoku, większość jednak zgodziła się na przyjęcie powyższych warunków, wobec czego Dży-łun-dżan wysłał posłańca do Chajłaru z wiadomością o zawarciu umowy.

Korzystaliśmy teraz z wszelkich wygód. Wszyscy byli radzi ze zbliżającego się końca tułaczki, niektórzy tylko nie mogli pogodzić się z myślą złożenia broni w ręce obce, gdyż to nie licowało z duchem tak wspaniałej niegdyś brygady.

W dobrym jednak nastroju zbliżaliśmy się do Chajłaru, gdzie rozbrzmiewał niesłyszany od dwu lat świst lokomotywy. Stanęliśmy na niewielkim wzgórzu nieopodal cytadeli. Przed nami ciągnęło się miasto, zabudowane domkami i świątyniami z gliny lub drzewa i otoczone szerokimi wałami. Po ulicach krążyły silne patrole i policja z karabinami. Żydzi w obawie pogromu uciekli do Charbina lub Cycykaru.

Złożenie broni przez brygadę odbyło się w zupełnym spokoju. Wkrótce potem większość uczestników wyprawy barona Ungerna udała się do Władywostoku, ja zaś w towarzystwie kilkunastu kolegów wyjechałem do Charbina.

XXXVII. ZAKOŃCZENIE

„Konna Azjatycka Dywizja" rozpadła się, aby już więcej nie powstać. Podczas odbierania Chabarowska z rąk czerwonych po raz ostatni okryli się ungernowcy nieśmiertelną sławą w szalonej kawaleryjskiej szarży, w której zginęła większa część oddziału.

Sztab generalny, broniący Primoria, pragnąc ocalić ostatnią ostoję białych, zlecił ochronę najsłabszych punktów zagrożonej placówki żołnierzom „krwawego barona". Podczas ataku czerwonych biali, nie mając naboi, zginęli wszyscy w walce na bagnety. Wówczas, gdy pod Nikolskiem topniały resztki wojsk generałów Kappela, Piepielajewa i Ungerna, setki sztabowców i ministrów „primorskiego" rządu, uwożąc złoto i towary, uciekało z Władywostoku za granicę, by pędzić tam podły, ale wolny od trosk żywot.

Bolszewicy zajęli Władywostok, Japonia zaś, Mandżuria i Chiny przepełnione były rosyjskimi emigrantami. Kto miał pieniądze lub protekcję, otrzymywał lepszą czy gorszą posadę, kto tego nie miał, brał się do ciężkiej pracy. W Charbinie wielu byłych oficerów wyższej rangi pracowało w charakterze robotników kolejowych, stróżów lub zamiataczy ulic. Żony dawnych dostojników i magnatów, usługujące w restauracjach w roli kelnerek, obdarzano większymi lub mniejszymi napiwkami, zależnie od ich zewnętrznego powabu. Wśród masy emigrantów żwawo uwijali się agenci bolszewiccy, wciskając się we wszystkie kasty społeczne i zdobywając potrzebne im wiadomości przy pomocy pieniędzy lub podstępu.

Pełnomocnik Dalnie-Wostocznoj Respubliki, były carski kapitan artylerii Kister, znany oficjalnie pod nazwiskiem Ozornin, prowadził akcję komunistyczną i szpiegowską. W jednym z jego gabinetów mieściła się tzw. czarna księga, w której znajdowały się nazwiska i fotografie osób wrogich idei internacjonalizmu. Byli tam wpisani Rosjanie, Amerykanie, Japończycy, Polacy i wielu innych. Szpiegowie Ozornina znali nawet tajne dokumenty różnych konsulatów.

Poza tym mnóstwo komisarzy udawało się przez morze do Europy, podając się za wracających do kraju Polaków, Litwinów lub Niemców. Na okręcie „Porthos", który nas wiózł do Polski, wykryliśmy kilku takich ptaszków, jadących niby to na studia do Francji,

Niemiec i Polski. Byli to Żydzi, których żołnierze nasi znali osobiście. Kapitan Misiewicz, dawny dowódca autokadry 5. Syberyjskiej Dywizji, podał ich właściwe nazwiska departamentom policji francuskiej w Sajgonie. Niestety, pomimo ostrzeżeń policji francuskiej i naszej, komuniści ci dostali się do Polski i zapewne swobodnie dziś hulają po kraju, propagując zasady trzeciej międzynarodówki.

KILKA SŁÓW O MONGOLII I URIANCHAJU

Przejechawszy Mongolię wzdłuż, a częścią wszerz, chciałbym powiedzieć cośkolwiek o bogactwach tego kraju. Ścisłe oznaczenie miejsc, gdzie trafiałem na bogactwa kopalniane, jest już teraz niemożliwe, gdyż skrzętnie prowadzone przeze mnie dzienniki, zbiory i mapy, zatonęły w Selendze.

Mongolia jest krajem niezmiernie bogatym – zwłaszcza pod względem mineralnym. – Bogactwa te leżą prawie na wierzchu, jakby prosząc się o wydobycie z ziemi. Niestety, do tego czasu zrobiono w Mongolii bardzo mało. Wpłynęły na to: brak dróg komunikacyjnych, ogromne oddalenie od środowisk przemysłowych, małe zainteresowanie się kapitału zagranicznego, a głównie może mongolski przesąd, nie dozwalający kopać w ziemi. Lecz i tu widać już było pewne odstępstwa. W oddaleniu 35 km od Urgi rząd mongolski wydobywał doskonały węgiel brunatny i roczna eksploatacja, wynosząca blisko milion kilogramów (pracowało 20–40 robotników niekwalifikowanych), ledwo starczyła na zapotrzebowanie w Urdze. Przedsiębiorstwo to spoczywało w rękach rządu i przynosiło skarbowi państwa bardzo ładny dochód.

Oprócz niezmiernie bogatych pokładów węgla brunatnego koło Urgi, znaleziono w różnych ajmakach jeszcze dziesięć złoży, wychodzących prawie na powierzchnię ziemi. Węgla kamiennego na razie nie odkryto, wiadomo jednak, że tenże znajduje się na znaczniejszej głębokości, a w Mongolii szachty próbne nie przekraczają głębokości 10 m.

Bardzo często natrafia się na rudę miedzi, chociaż bogatsze złoża odkryto dopiero w pięciu miejscach, w szczególności w ajmakach Tuszetu-chana i Cecen-chana oraz w okolicach Kosogołu. Najbogatsze ze znanych dotychczas w Mongolii pokładów rudy miedzianej znajdują się w ajmaku Cecen-chana, zajmują bowiem przestrzeń trzydziestu kilku kilometrów. Podobnie i ruda żelazna znajduje się prawie na całym terytorium północnej Mongolii, dokładnie jednak oznaczono pięć miejsc, posiadających wspomnianą rudę w wielkich ilościach, jak również w najlepszym gatunku. Złoto wydobywano już w wielkich ilościach w Dzun-Modo i na Bajdariku, oprócz

tego znaleziono je także w dużych ilościach w mongolskim Ałtaju. Mnie udało się znaleźć bogatą żyłę tego szlachetnego metalu w olbrzymich złomach kwarcowych w choszunie Aczitu-wana, widziałem również samorodki znalezione w Ulasach koło Ułankomu.

Srebra posiada Mongolia bardzo mało, natomiast rudy ołowianej jest sporo. Grafit i marmur znajduje się w wielkich ilościach koło Kosogołu, sól kamienna w górach Tannu-Ola, osadowa natomiast w mnóstwie słonych jezior.

Mongołowie, widząc moje zainteresowanie się minerałami, znosili mi często najrozmaitsze „kamyki", wśród których nieraz znajdowałem piękne rubiny, ametysty, chryzolity, topazy, akwamaryny, piękne kryształy górskie, granaty, jaspisy i agaty. Szczególnie piękny okaz gniazda rubinów znaleziony w okolicach Wan-chure otrzymałem od jednego lamy, który znalazł to gniazdo, szukając roślin leczniczych w górach odległych o kilka kilometrów od wspomnianego klasztoru.

Olbrzymie jeziora pełne są ryb i ptactwa wodnego, a stepy obfitują w przeróżną zwierzynę. Zimową porą zbierają się niektóre gatunki zwierzyny w stada liczące po parę tysięcy sztuk. Hodowla owiec, koni i bydła rogatego daje setki tysięcy skór, dziesiątki tysięcy kilogramów wełny i sierści.

Mongolia ma przed sobą świetne widoki rozwoju, lecz do tego potrzebne są kapitały i zainteresowanie się świata nauki.

Przez należytą irygację można by odpowiednio wyzyskać kolosalne obszary dla zorganizowania kolonii rolniczych na eksport. Przy racjonalnej hodowli bydła, polepszeniu rasy, zaopatrzeniu w karmę na zimę, stać by się mogła Mongolia żywicielką setek milionów ludzi.

Kraj stepów i pustyń mógłby się pokryć tysiącem kopalń i szybów. Niejeden chory znalazłby prawdziwą pomoc w wodach leczniczych, w które obfituje ten niezmiernie zasobny kraj.

Pod względem naukowym Mongolia przedstawia również szerokie pole do działań: tysiące kurhanów nie rozkopanych, obfity materiał folklorystyczny, setki nie zbadanych dokładnie ruin.

A owa pustynia Gobi, która od czasu do czasu wyrzuca ze swych piasków dziwaczne kości zwierząt przedhistorycznych?

Urianchaj jest znowu miejscem wybranym, do którego śmiało można zastosować biblijne określenie „kraj mlekiem i miodem płynący".

Z bogactw kopalnianych znajdują się tam: żelazo, miedź, rudy ołowiane, sól, siarka i wiele innych minerałów. Marmury, granity, łupki, rozrzucone są wśród olbrzymich łańcuchów górskich wschodniego Urianchaju, azbest w nieprzebranych pokładach nad Kemczikiem, złoto w potokach górskich i w stanie rodzimym. Północnej strony gór Tannu-Oła nie zdołałem przejrzeć, nie mam też o ich bogactwach dokładnych wskazówek.

Dawniej Urianchaj był krajem posiadającym wysoką kulturę rolniczą. Świadczą o tym dobrze do dzisiaj zachowane kanały irygacyjne, idące wzdłuż bezwodnych obszarów. Ziemia jest tu żyzna i wydajna, rodząca najpiękniejszą pszenicę. Koloniści rosyjscy, zadowalając się prymitywnymi sposobami nawadniania, wywozili z Urianchaju rok rocznie miliony pudów najpiękniejszego ziarna.

Ogromne, dzikie jeszcze przestrzenie gór otaczających ze wszystkich stron kotlinę Urianchaju pokryte są dziewiczymi lasami z bezcennym wprost drzewostanem, w lasach tych pełno zwierzyny dostarczającej szlachetnych futer. Podobnie jak w Mongolii i tutaj często w górach napotyka się wielkiej ilości szlachetnych kamieni.

Oba te kraje mają przed sobą świetlaną przyszłość przemysłową i na pewno będą punktem emigracji różnych narodów europejskich, zwyciężą jednak ci, dla których przestrzeń nie jest przeszkodą, zdobywcami zostaną ludzie hartowni, przygotowani do walki z przyrodą i przeciwnościami.

Na razie oba te kraje zajęli bolszewicy, tworząc z nich składowe części sowieckiej republiki. Nie o dobro krajów i ludzi im chodzi, ale o realizowanie utopijnych doktryn, o zdeprawowanie moralne prymitywnych narodów zamieszkujących te ziemie, aby potem łatwiej posiąść ich niezmierzone bogactwa, a Europie przeciwstawić tzw. żółte niebezpieczeństwo.

Książe mongolski ze swą małżonką i świtą

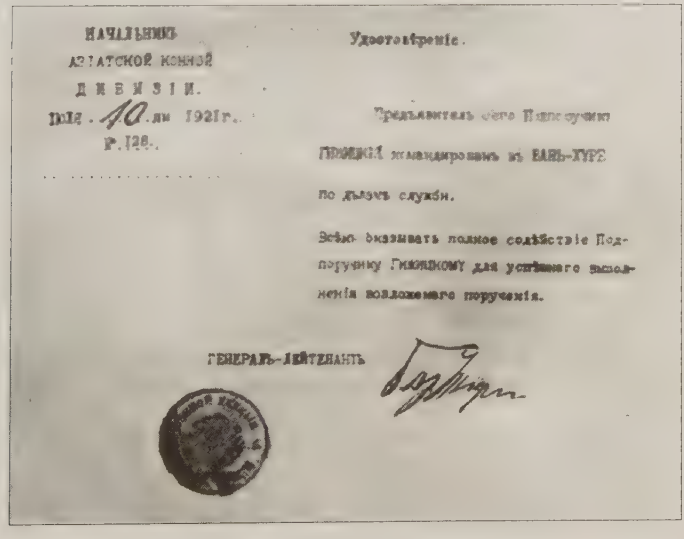

НАЧАЛЬНИКЪ
АЗІАТСКОЙ КОННОЙ
ДИВИЗІИ.
№№ . 10 . дня 1921 г.
г. Ургa.

Удостовѣреніе.

Предъявитель сего Подпоручикъ
ГИЛЯЦКІЙ командированъ въ ХАНЬ-ХУРЕ
по дѣламъ службы.

Всѣмъ оказывать полное содѣйствіе Подпоручику Гилянскому для успѣшнаго выполненія возложеннаго порученія.

ГЕНЕРАЛЪ-ЛЕЙТЕНАНТЪ

Dokument służbowy autora z podpisem generała Ungerna

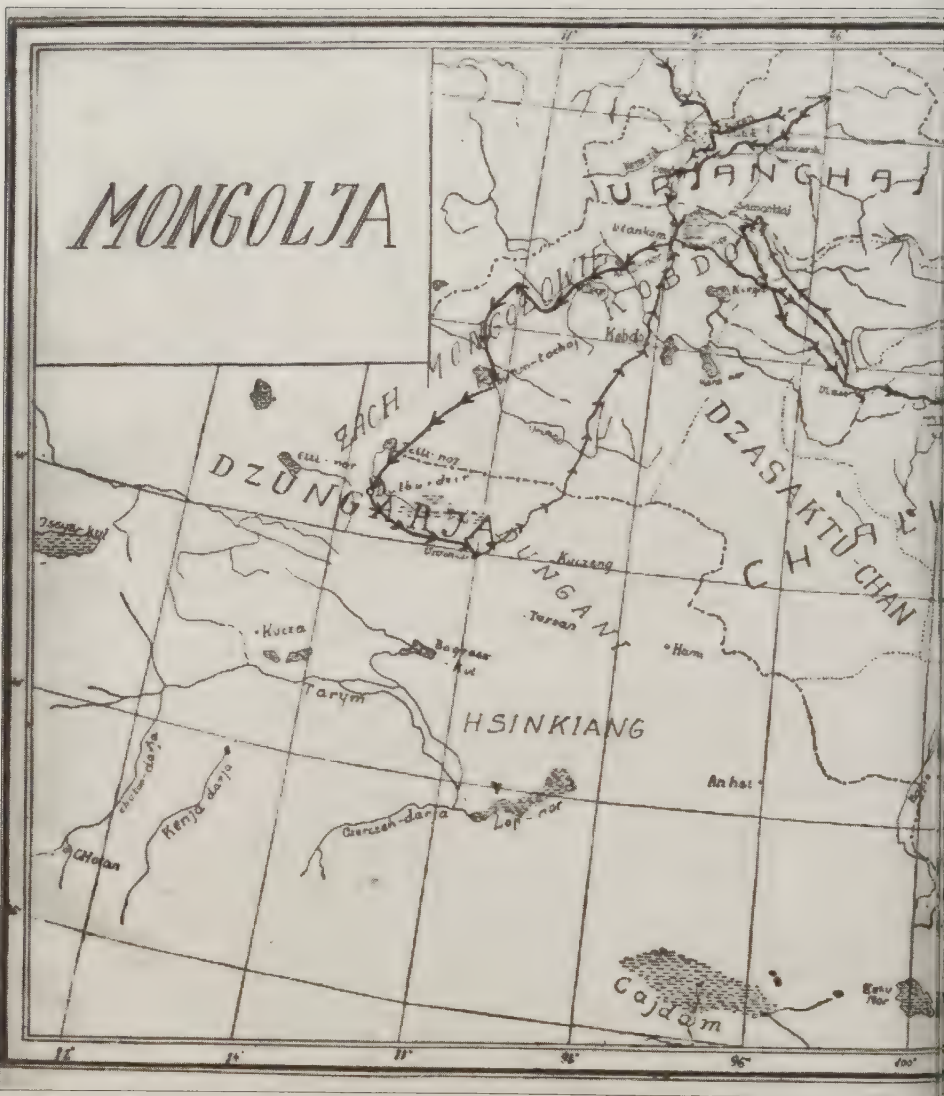
MONGOLJA
DZUNGARIJA
DZASAKTU-CHAN
HSINKIANG
Kuca
Tarym
Kenja-darja
Cajdam
Lop-nor
Kobdo

MONGOŁOWIE
HOLUNG-KIAN
CECEN-CHAN
NEIMAN
Gobi czyli Szamo
WEWNĘTRZNA-MONGOLJA
UROCI
CZILI
Pekin
ORDOS
SZANSI
SZANTUNG
(SZAN DUN)

Lama mongolski przy jurcie

Przeor klasztoru

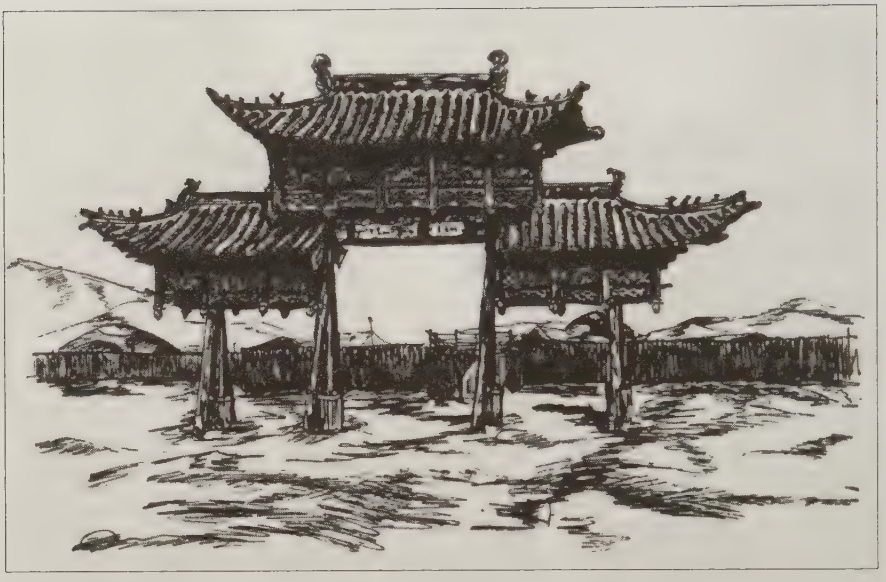

Brama przed świątynią Ariabalo w Urdze

Jedna ze świątyń w klasztorze Erdeni-dżu

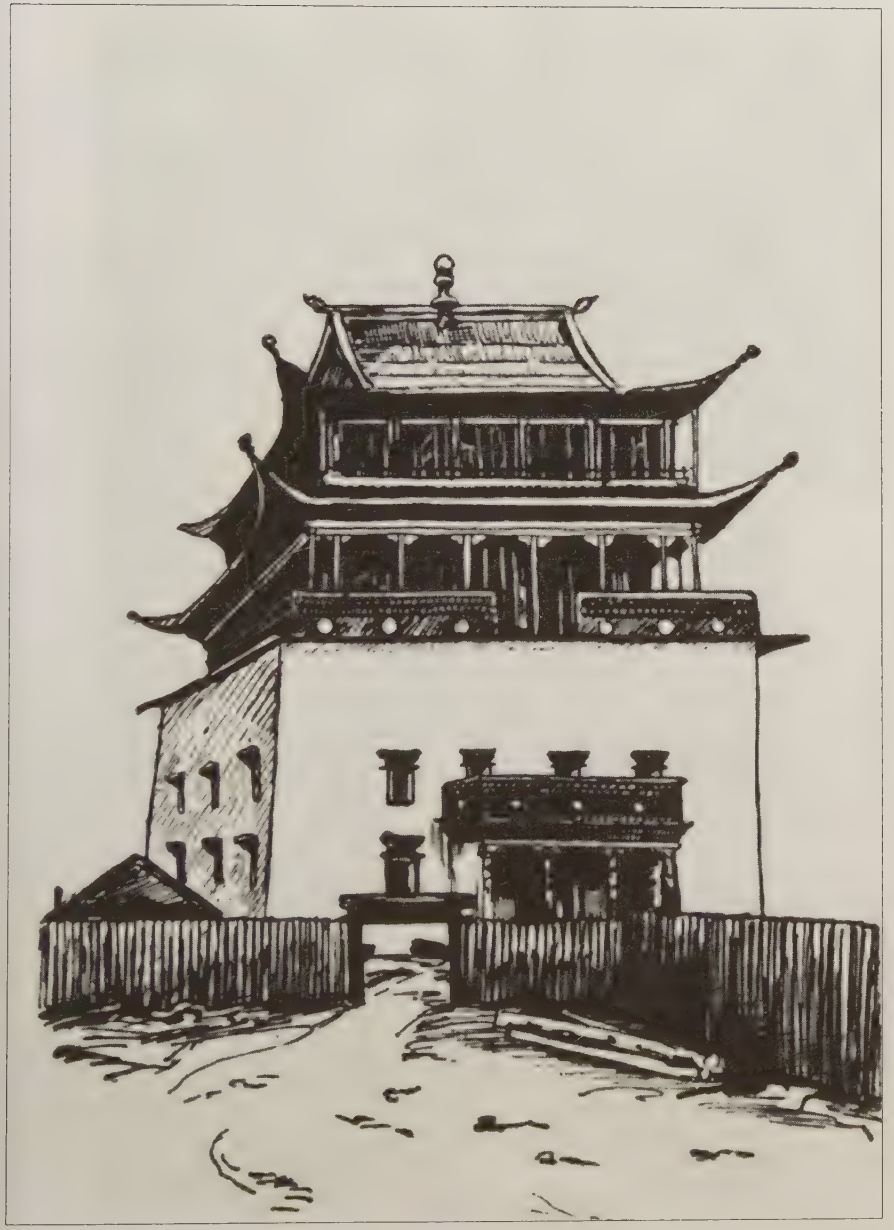

Świątynia Ariabolo w Urdze

Premier ministrów Dżałchancy-gegen

Generał Roman Ungern von Sternberg

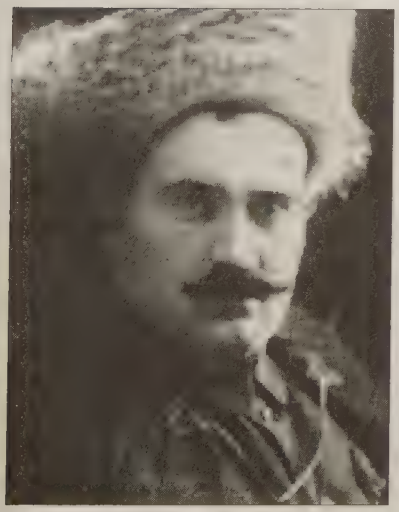

G.M. Simiemionow, hetman Kozaków

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA (*JERZY TULISOW*) 5
OD AUTORA 9
I. W RĘKACH BOLSZEWIKÓW 11
II. WIĘZIENIE I UCIECZKA 14
III. TAJGA 19
IV.W DRODZE DO URIANCHAJU 26
V. URIANCHAJ – PIERWSZE WALKI
Z BOLSZEWIKAMI 32
VI. CIĘŻKIE CHWILE 38
VII. W REZYDENCJI JAN-CZU-CZAO 44
VIII. NA ZACHODZIE MONGOLII 49
IX. NARÓD CZINGIS-CHANA 54
X. WRZENIE W MONGOLII 63
XI. PRZEZ PIASKI DŻUNGARII 67
XII. W STOLICY KOBDOSKIEGO OKRĘGU 75
XIII. PRZEZ BAIT I CHOSZUN ACZITU-WANA .. 78
XIV. W ULASUTAJU 84
XV. TWIERDZA I MIASTO 87
XVI. ANTOMOBILEM DO SAMGAŁTAJ-CHURE . 92
XVII. PO PIERWSZEJ POTYCZCE 98
XVIII. POWRÓT DO ULASUTAJU 103
XIX. TRAKTEM ULASUTAJ-URGA (DA-CHURE) . 107
XX. W DZAIN-SZABI REZYDENCJI
WOJOWNICZEGO PANDITY 115
XXI. WAN-CHURE 118
XXII. W OBOZIE „KRWAWEGO GENERAŁA” .. 120
XXIII. BARON UNGERN VON STERNBERG ... 121
XXIV. ZDOBYCIE URGI 124

XXV. WYPRAWA NA TROICKOSAWSK 128
XXVI. KONNA AZJATYCKA DYWIZJA 130
XXVII. DA-CHURE 132
XXVIII. U BOGDO-GEGENA -
POWRÓT DO WAN-CHURE 137
XXIX. W ZABAJKALSKIM KRAJU 142
XXX. WALKI KOŁO GĘSIEGO JEZIORA
I ODWRÓT 151
XXXI. POWRÓT DO MONGOLII 157
XXXII. BUNT W DYWIZJI 162
XXXIII. NA WSCHÓD! 166
XXXIV. WEJŚCIE W DOLINĘ KERULENU 170
XXXV. PRZEZ PIASKI PUSTYNI
SZABARTAJ-GOBI 174
XXXVI. PRZEZ BARGĘ DO MANDŻURII 177
XXXVII. ZAKOŃCZENIE 184
KILKA SŁÓW O MONGOLII I URIANCHAJU .. 186
ILUSTRACJE 189

POLECAMY

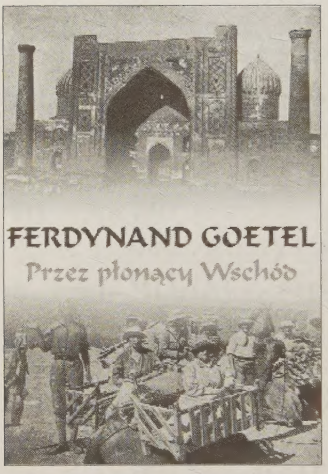

Ferdynand Goetel

PRZEZ PŁONĄCY WSCHÓD

Jest to relacja z życiowej podróży Goetla – z wielkiej ucieczki z sowieckiego Turkiestanu do nowo powstałej Polski. Była to podróż niebezpieczna, nielegalna, odbywana wspólnie z żoną i małymi dziećmi. Droga wiodła przez pilnie strzeżone granice, pustynie, malownicze pasma górskie.

Antoni Ferdynand Ossendowski

PRZEZ KRAJ LUDZI, ZWIERZĄT I BOGÓW

Konno przez Azję Centralną

Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów jest zapisem przygód autora na Wschodzie w okresie, kiedy wraz z polsko-rosyjską grupą „białych" powziął zamiar przedarcia się przez Mongolię do Chin. Wszedł wówczas do dowództwa „białego" oddziału samoobrony, a następnie stał się na krótko doradcą politycznym barona Ungerna. Żywo i barwnie napisana powieść, nasycona elementami przygodowymi, często wręcz awanturniczymi, którą czyta się z zapartym tchem.

Karol Giżycki (1893–1968), podróżnik, żołnierz, pisarz. Od 1914 r. walczył na froncie wschodnim, w 5. Polskiej Dywizji Syberyjskiej, gdzie w baonie inżynierskim sprawował funkcję kierownika warsztatów kompanii technicznej. Po rozwiązaniu Dywizji przedostał się przez Sajany do Urianchaju. Tam zastała go wiadomość o wybuchu wojny polsko-bolszewickiej. W Urianchaju walczył u boku białych, ale wobec przewagi czerwonej partyzantki zmuszony był szukać schronienia w Mongolii. Tam trafił do oddziału barona Romana von Ungerna-Sternberga, który tym czasie, po wypędzeniu Chińczyków ze stolicy Mongolii, szykował się do wznowienia wojny z wszechwładnymi na Syberii bolszewikami. Giżyckiemu powierzono produkcję trujących gazów (według recepty innego Polaka, Ferdynanda Ossendowskiego) i środków wybuchowych. Po nieudanej wyprawie zabajkalskiej i klęsce wojsk „krwawego barona", wraz z resztkami oddziału ungernowców, ruszył przez stepy do chińskiej Mandżurii. Przez jakiś czas był instruktorem w armii „war lorda" Czang Tso-lina, a potem etapami, zdobywając pracą środki na podróż, powrócił do Polski. Książka *Przez Urianchaj i Mongolię* jest literackim owocem przeprawy Karola Giżyckiego przez Środkową Azję. W odróżnieniu od podróżującego w tym samym czasie po tym rejonie świata Ferdynanda Ossendowskiego, który opisał swe wrażenia w książce *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*, Giżycki ściśle trzyma się faktów i nie ubarwia rzeczywistości. Jest mistrzem opisów przyrody i bystrym obserwatorem ludzkich zachowań. Niektóre z podpatrzonych przezeń scenek mówią o życiu ó[w]czesnej Mongolii więcej niż niejedno naukowe opracowanie.

Niniejsze wydanie książki polskiego podróżnika jest jej pierwszym [1]929 r. wznowieniem. Pomimo tego, że książka Giżyckiego powst[ała] w pierwszej połowie ubiegłego wieku, mało się zestarzała – wciąż ba[wi], poucza i zmusza do myślenia. Stanowi nie tylko zapis pewnego fragm[entu] tu historii Mongolii, lecz także opisuje losy polskiego żołnierza, wytr[wa]le walczącego za sprawę swej Ojczyzny poza jej granicami.

ISBN 978-83-7565-016-7

www.ltw.com.pl

133
20zł00gr

T5-AFT-864

ISBN 978-83-7565-0[16-7]
9 788375 650167